

BAŚNIE

OSOBLIWE

RANSOM RIGGS

Media Rodzina

## Spis treści

Do Czytelnika Przedmowa Znakomici ludożercy O księżniczce, co miała wężowy język Pierwsza ymbrynka O kobiecie, która przyjaźniła się z duchami Kokobolo Gołębie od świętego Pawła O dziewczynie, która poskramiała senne koszmary Szarańcza O chłopcu, który potrafił zatrzymać morze Historia Cuthberta

# EX LIBRIS



Tytuł oryginału  
TALES OF THE PECULIAR

Text copyright © Ransom Riggs, 2016  
Illustrations copyright © Andrew Davidson, 2016

The moral right of the author and illustrator has been asserted  
First published in the USA by Dutton Books, an imprint of Penguin Random House LLC, and in Great Britain by Penguin Books 2016

Copyright © for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o., 2017

Edited by Julie Strauss-Gabel i Creative direction by Deborah Kaplan

Design by Lindsey Andrews

Additional images © Shutterstock  
Photograph of Millard Nullings on page 181: Credit: Leah Gallo. 'MISS PEREGRINE'S HOME FOR PECULIAR CHILDREN' © Twentieth Century Fox, 2016. All rights reserved.

Fragment baśni Historia Cuthberta przytoczono w przekładzie Małgorzaty Hesco-Kołodzińskiej i Piotra Budkiewicza (R. Riggs, Miasto cieni, Media Rodzina 2014).

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-349-3

**Media Rodzina Sp. z o.o.**  
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań  
tel. 61 827 08 60  
[mediarodzina@mediarodzina.pl](mailto:mediarodzina@mediarodzina.pl)  
[www.mediarodzina.pl](http://www.mediarodzina.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer** firmy Eli-bri.





Almie LeFay Peregrine,  
która mnie nauczyła kochać opowieści.

*MN*

*Homo sum: humani nil a me alienum puto.*

Terencjusz





Drogi Czytelniku,

Książka, którą trzymasz w rękach, jest przeznaczona wyłącznie dla osobliwych oczu. Jeżeli nie należysz do grona owych anomalii — jeżeli nie zdarza Ci się wyfrunąć w środku nocy z łóżka, kiedy zapomnisz się przywiązać do pośłania, jeśli z Twoich dłoni nie buchają w nieoczekiwanych momentach płomienie albo jeżeli nie przeżuwasz posiłków ustami umieszczonymi z tyłu głowy — będę wdzięczny, jeśli teraz odłożysz książkę na miejsce i zapomnisz o całej sprawie. Nie martw się, nic na tym nie stracisz. Przeciwnie, te baśnie i tak na pewno wydałyby Ci się dziwaczne, niepokojące i zupełnie nie w Twoim guście. Zresztą i tak nic Ci do nich.


Z osobliwymi wyrazami szacunku,

Wydawca





## Przedmowa



JEŚLI SIĘ ZALICZASZ DO ISTOT OSOBLIWYCH — a skoro to czytasz, mam wielką nadzieję, że tak jest — ta książka zapewne nie potrzebuje wprowadzenia.

Te baśnie Cię ukształtowały: były ukochaną częścią Twojego dzieciństwa, na nich opierało się Twoje wychowanie. W okresie dorastania tyle czasu zajmowała Ci ich lektura i tyle razy Ci je czytano na głos, że do dziś potrafisz wyrecytować z pamięci ulubione historie — co do słowa. Ale jeśli masz to nieszczęście, że dopiero odkrywasz własną osobliwość, albo jeśli przyszło Ci dorastać bez dostępu do osobliwej literatury, pozwolę sobie na krótkie wprowadzenie.

Książka *BASŃNIE OSOBLIWE* zawiera nasze najbardziej uwielbiane tradycyjne przekazy. Od niepamiętnych czasów były one przekazywane z pokolenia na pokolenie i dlatego mieszały się w nich historyczne fakty, elementy baśniowe oraz moralne nauki przeznaczone dla młodych osobliwców. Baśnie te pochodzą z wielu stron świata, zarówno z tradycji ustnych, jak i piśmiennych, a każda przeszła na przestrzeni wieków wiele zaskakujących przemian. Przetrwały tak długo, bo są interesujące jako historie, ale nie tylko dlatego. Niosą również ze sobą sekretną wiedzę — na ich stronicach znajdują się wskazówki, gdzie szukać pętli czasu, pod jakimi nazwiskami ukrywają się ważne postacie z osobliwego świata, a także inne informacje, które w osobliwych rękach mogą zapewnić ocalenie w nieprzyjaznej rzeczywistości. Sam coś o tym wiem — *Baśnie* uratowały mi życie i tylko dzięki nim mogę dziś pisać te słowa. Ocaliły nie tylko mnie, ale także moich przyjaciół oraz naszą drogą ymbrynkę. Ja sam, Millard Nullings, jestem żywym dowodem na to, że baśnie nie tracą przydatności pomimo upływu lat.

Dlatego właśnie poświęciłem się dziełu ich krzewienia i ochrony. Podjąłem się zredagowania i opatrzenia przypisami tego specjalnego wydania *Baśni*. Nie jest ono pełne ani wyczerpujące — ja wychowałem się na słynnym opasłym wydaniu w trzech tomach, które razem ważyły więcej niż Bronwyn, moja przyjaciółka — jednak zawarłem w nim swoje najbardziej ulubione opowieści, które uzupełniłem historycznymi przypisami i uwagami na temat tła wydarzeń, tak aby osobliwcy na całym świecie mogli czerpać korzyść ze zdobytej przeze mnie mądrości. Liczę zarazem, że w tym kieszonkowym wydaniu, mniejszym i wygodniejszym od wcześniejszych, *Baśnie* łatwiej będą Ci mogły towarzyszyć w podróży i może przydadzą Ci się tak, jak kiedyś przydały się mnie.

Mam zatem nadzieję, że *Baśnie osobliwe* sprawią Ci wiele przyjemności — najlepiej w mroźny wieczór, przy ogniu trzaskającym w kominku i z niedźwie-

dziem pochrupającym u stóp — ale pamiętaj też o ich poufnej naturze i jeśli musisz je czytać na głos (co bardzo polecam), postaraj się o równie osobliwych słuchaczy.

*dr Millard Nullings*

## BAŚNIE OSOBLIWE





## Znakomici ludożercy



Osobliwi mieszkańcy wioski Swampmuck żyli bardzo skromnie. Byli rolnikami uprawiającymi rośliny na mokradłach (nazwa ich wioski znaczyła tyle co Bagnogrzebki), a choć nie cieszyli się luksusami i mieszkali w chatkach uplecionych z trzciny, to jednak byli zdrowi, weseli i prawie niczego im nie brakowało.

W ich ogródkach obficie rosły pożywne rośliny, w potokach płynęła czysta woda i nawet skromne domostwa wydawały się prawdziwym luksusem, bo pogoda w Bagnogrzebkach była tak ładna, a ludzie tak oddani pracy, że wielu miejscowych po całym dniu grzebania w ziemi po prostu kładło się do snu na uprawianych przez siebie mokradłach.

Ich ulubioną porą roku były żniwa. Pracowali wtedy dzień i noc, żeby zebrać najlepsze wodorosty rosnące na bagnach, a następnie układali je w kopy i ładowali na wózki zaprzęgnięte w osły, żeby plony zawieźć na targ i sprzedać jak najwięcej w oddalonym o pięć dni drogi miasteczku Chipping Whippet. Była to ciężka praca. Bagienne wodorosty były szorstkie i kaleczyły dłonie. Osły były złośliwe i potrafiły ugryźć. Droga na targ była mocno dziurawa, a do tego podróżnych nękali rabusie. Podczas żniw często dochodziło do groźnych wypadków, jak to się przydarzyło choćby gospodarzowi nazwiskiem Pullman, który w porywie zapału niechcący uciął sąsiadowi nogę kosą. Trudno się dziwić, że poszkodowany sąsiad (gospodarz nazwiskiem Hayworth) bardzo się zdenerwował, ale miejscowi byli ludźmi wyrozumiałymi i cała sprawa szybko poszła w niepamięć. Pieniądze, które udawało im się utargować, nie były duże, ale wystarczały na konieczne sprawunki i jeszcze zostawało co nieco na zakup szynek z kozich zadków, które w Bagnogrzebkach były rzadkim frykasem i najważniejszym punktem dożynek, hucznie obchodzonych we wsi przez kilka dni.

Tego roku zaraz po dożynkach, kiedy mieszkańcy zabierali się już z powrotem do mozolnej pracy na bagnach, we wsi pojawiło się troje przyjezdnych. Każdy gość był w Bagnogrzebkach czymś niespotykanym, bo nie było to miejsce, które ktokolwiek chciałby odwiedzać, a już takich gości z pewnością nie oglądano tu nigdy. Byli to dwaj mężczyźni i kobieta, a wszyscy dosiadali arabskich wierzchowców i od stóp do głów przyodziani byli w drogic brokaty. Choć na pierwszy rzut oka było jasne, że przyjezdni są bogaczami, to jednak byli wychudzeni i ślaniali się na wysadzanych klejnotami siodłach.

Zaciekawieni wieśniacy zebrali się wokół przyjezdnych, podziwiając ich wierzchowce i piękne szaty.

— Nie podchodźcie za blisko — ostrzegła ich Sally, jedna z miejscowych

gospodyń. — Wyglądają na chorych.

— Zmierzamy do wybrzeży Meek<sup>1</sup> — wyjaśnił jeden z przyjezdnych. Mężczyzna jako jedyny wydawał się mieć dość sił, żeby mówić głośno. — Kilka tygodni temu napadli nas bandyci. Udało nam się uciec, ale całkiem się przy tym zgubiliśmy. Od tamtej pory jeździmy w kółko, szukając starego rzymskiego traktu.

— Rzymski trakt jest zupełnie gdzie indziej — wyjaśniła gospodyni Sally.

— Wybrzeża Meek tak samo — dodał gospodarz Pullman.

— Czy to daleko stąd? — zapytał przyjezdny.

— Będzie ze sześć dni jazdy — odpowiedziała gospodyni Sally.

— Nie ma mowy, żebyśmy tam dotarli — mrocznym głosem powiedział mężczyzna.

W tej samej chwili odziana w jedwabie dama osunęła się w siodle i spadła z konia.

Poruszeni współczuciem wieśniacy pomimo obawy przed chorobą podnieśli damę i zabrali ją razem z towarzyszami do najbliższego domostwa. Tam podali przyjezdnym wody, przygotowali im wygodne posłania ze słomy i stłoczyli się w kilkunastu, oferując pomoc.

— Nie pchajcie się tak! — ofuknął ich gospodarz Pullman. — Ledwie żyją z wyczerpania, dajcie im odpocząć!

— Wcale nie, im potrzeba lekarza! — zaprotestowała gospodyni Sally.

— Nie jesteśmy chorzy — rzekł mężczyzna. — Jesteśmy głodni. Ponad tydzień temu wyczerpały nam się zapasy i od tamtej pory nie mieliśmy w ustach ani kęsa.

Gospodyni Sally zdziwiła się, dlaczego tak zamożni ludzie nie kupili sobie po prostu czegoś do jedzenia od innych napotkanych wędrowców, ale taktownie o nic nie pytała. Kazała tylko chłopakom z wioski pobiec po trzy miski zupy z bagiennych wodorostów, chleb z jaglanej mąki i resztki koziej szynki pozostałej z dożynek. Kiedy jednak postawili to wszystko przed przybyszami, ci odmówili jedzenia.

— Nie uznajcie tego za nieuprzejmość — wyjaśnił mężczyzna — ale nie możemy tego jeść.

— Rozumiem, że nasza strawa jest uboga — powiedziała gospodyni Sally — a państwo przyzwyczaili się pewnie do uczt godnych królewskiego podniebienia. Ale nic więcej nie mamy.

— Nie w tym rzecz — powiedział mężczyzna. — Zboża, warzywa, zwierzęce mięso... Te rzeczy po prostu nie nadają się dla nas do jedzenia. Nasze ciała nie zdołają ich strawić. Gdybyśmy nawet zmusili się do jedzenia, osłabiłoby to nas jeszcze bardziej.

Wieśniacy nie wiedzieli, co o tym myśleć.

— Skoro nie możecie jeść zboża, warzyw ani zwierząt — zapytał gospodarz

Pullman — to co właściwie możecie jeść?

— Ludzi — odrzekł mężczyzna.

Stłoczeni w chatce wieśniacy odsunęli się o krok od gości.

— Czy jaśnie pan chce przez to powiedzieć, że jesteście... ludożercami? — zapytał gospodarz Hayworth.

— Z natury, nie z własnego wyboru — odpowiedział mężczyzna. — Ale owszem, tak właśnie jest.

Po chwili spróbował uspokoić wstrząśniętych wieśniaków, wyjaśniając, że są ludożercami cywilizowanymi i nigdy nie zabijają niewinnych ludzi. Wraz z innymi podobnymi sobie porozumieli się z królem rządzącym krainą i zobowiązali się nigdy nie porywać i nie pożerać ludzi wbrew ich woli. W zamian zezwolono im odkupywać — za ogromne sumy — ucięte członki ofiar wypadków i ciała powieszonych zbrodniarzy. To było całe ich pożywienie. Teraz podróżowali do nadmorskiej krainy Meek, gdzie zdarzało się najczęściej wypadków i powieszzeń w całej Brytanii, dlatego żywność, choć może nieChoć ludożercy byli w owych czasach ludźmi zamożnymi, dręczył ich niemal nieustanny głód. Jako praworzadni obywatele byli skazani na wieczne niedożywienie. Stale nękał ich apetyt, który tylko z rzadka udawało im się zaspokoić. Ludożercy, którzy pojawili się w Bagnogrzebkach, byli bliscy śmierci głodowej, a tymczasem od Meek dzieliło ich jeszcze wiele dni drogi. W oczy zajrzała im zguba. Słyszając to, mieszkańcy każdej innej wsi — czy to osobiwej, czy najzupełniej normalnej — wzruszyliby tylko ramionami i pozwolili ludożercom szczeznąć z głodu. Jednak w Bagnogrzebkach ludzie byli litościwi niemal ponad miarę, dlatego nikt się nie zdziwił, kiedy gospodarz Hayworth przykuśtykał o kulach i powiedział: — Tak się składa, że parę dni temu utraciłem nogę w wypadku. Wyrzuciłem ją do bagna, ale na pewno uda mi się ją znaleźć, chyba że już ją zjadły węgorze. Ludożercom zabłyśły oczy. — Zrobiłbyś to dla nas? — spytała ludożerczyni, odgarniając kosmyk długich włosów z kościstego policzka. — Przyznam, że trochę to dziwne — powiedział Hayworth. — Ale przecież nie damy wam tak po prostu umrzeć z głodu. Pozostali wieśniacy przytaknęli. Hayworth pokuśtykał na bagna i odnalazł własną nogę. Odgonił skubiące ją węgorze i podał nogę ludożercom na półmisku. Jeden z ludożerców wręczył mu sakiewkę pieniędzy. — A co to takiego? — zapytał Hayworth. — Zapłata — odpowiedział ludożerca. — Tyle musimy płacić królowi. — Nie mogę tego przyjąć — powiedział Hayworth, ale kiedy próbował zwrócić sakiewkę, ludożerca schował ręce za plecy i uśmiechnął się. — Tak będzie uczciwie — wyjaśnił. — Ratujeś nam życie! Wieśniacy taktownie odwrócili wzrok, a ludożercy usiedli do posiłku. Gospodarz Hayworth otworzył sakiewkę, zajrzał do środka i pobladł. Nigdy w życiu nie widział takiej ilości pieniędzy. Przez kilka następnych dni ludożercy jedli i odzyskiwali siły, a kiedy byli gotowi wyruszyć w dalszą drogę do wybrzeży Meek (tym razem zaopatrzeni w dokładne wskazówki), wieśniacy zgromadzili się,

żeby ich pożegnać. Kiedy ludożercy spojrzeli na gospodarza Haywortha, zauważyli, że nie porusza się już o kulach. — Czegoś tu nie rozumiem — stwierdził jeden z ludożerców osłupiały. — Myślałem, że zjedliśmy twoją nogę! — Owszem — odpowiedział Hayworth. — Ale kiedy któryś z osobliwców w Bagnogrzebkach straci rękę albo nogę, kończyny nam odrastają<sup>2</sup>. Ludożerca zrobił dziwną minę, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyślił. Dosiadł wierzchowca i wyruszył w drogę z pozostałymi. Mijały tygodnie. Życie w wiosce wróciło do normy dla wszystkich mieszkańców — z wyjątkiem Haywortha. Gospodarzowi coś nie dawało spokoju. Za dnia często go widywano, jak stał oparty o swój grzebalny kij i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń ponad bagnami. Rozmyślał o sakiewce pieniędzy, którą ukrył w podziemnej jamie. Co z nią zrobić? Znajomi podsuwali mu różne pomysły. — Mógłbyś sobie kupić szafę pełną pięknych ubrań — powiedział gospodarz Bettelheim. — Ale na co mi to? — odpowiedział Hayworth. — Przez cały dzień pracuję na bagnach, ubrania tylko by się zniszczyły. — Mógłbyś sobie kupić bibliotekę pełną ładnie wydanych książek — podsunął gospodarz Hegel. — Przecież ja nie umiem czytać — odparł Hayworth. — W całych Bagnogrzebkach nie ma takiego, co by umiał. Najbardziej nedorzeczny pomysł zaproponował gospodarz Bachelard. — Powinieneś sobie kupić słonia — powiedział. — Mógłby ci wozić wodorosty z bagien na targ. — Przecież słoń zżarłby mi wszystkie wodorosty, zanim dotarłbym do targowiska! — odparł Hayworth, coraz bardziej już zdenerwowany. — Może mógłbym coś zrobić z domem. Trzciniowa plecionka marnie chroni przed wiatrem, a zimą robią się przeciągi. — To może za te pieniądze kup sobie tapety i oklej ściany — podsunął gospodarz Anderson. — Nie bądź głupi — wtrąciła gospodyni Sally. — Kup sobie po prostu nowy dom! Tak właśnie uczynił Hayworth — zbudował sobie drewniany dom, jakiego w Bagnogrzebkach jeszcze nie widziano. Dom był mały, ale solidny, dobrze chronił przed wiatrem, a nawet miał drzwi, które można było otwierać i zamykać, bo były osadzone na zawiasach. Gospodarz Hayworth pękał z dumy, a dom budził zawiść w całej wsi. Kilka dni później we wsi pojawiła się kolejna grupa przyjezdnych. Było ich czworo, trzech mężczyzn i kobieta, a że byli odziani w wykwintne szaty i dosiadali arabskich wierzchowców, wieśniacy zaraz odgadli, że muszą to być praworzadni ludożercy z wybrzeży Meek<sup>3</sup>. Jednak ci ludożercy nie robili wrażenia zagłodzonych. Ciekawscy wieśniacy znowu stłoczyli się wokół przybyszów. Ludożerczyni, która miała na sobie koszulę tkaną ze złotych nici, spodnie zapinane na perłowe guziki i buty z cholewami obszyte lisim futrem, odezwała się pierwsza. — Kilka tygodni temu do waszej wsi zawitali nasi znajomi, a wy okazaliście im wiele życzliwości. Tacy ludzie jak my rzadko spotykają się z życzliwością, dlatego przybywamy, żeby wam podziękować osobiście. Ludożercy zsiadli z koni i pokłonili się wieśniakom, a następnie uścisnęli każdemu dłoń. Wieśniacy nie mogli się nadziwić miękkości skóry ludożerców. — Jeszcze jedno,



zanim stąd odjedziemy... — zaczęła ludożerczyni. — Doszły nas słuchy o waszym wyjątkowym talencie. Czy to prawda, że odrastają wam utracone kończyny? Wieśniacy przytaknęli. — W takim razie — rzekła kobieta — chcemy wam złożyć pewną skromną propozycję. Kończyny, którymi się żywimy na wybrzeżach Meek, rzadko bywają świeże, a nam już się sprzykrzyło nadgniłe jedzenie. Czy nie sprzedalibyście nam nieco własnych? Oczywiście zapłacimy godziwie. Kobieta otworzyła wiszącą u siodła sakwę, pokazując plik banknotów i klejnoty. Wieśniacy gapili się na pieniądze szeroko otwartymi oczami, jednak czuli niepewność. Odeszli na stronę, żeby się naradzić po cichu. — Nie możemy sprzedawać własnych kończyn — wywodził gospodarz Pullman. — Nogi są mi potrzebne do chodzenia! — No to sprzedaj ręce — podpowiedział gospodarz Bachelard. — Ale rąk potrzebujemy do grzebania w bagnie! — próbował powstrzymać transakcję gospodarz Hayworth. — Jak nam zapłacą za ręce, nie będzie już trzeba hodować bagiennych wodorostów — zauważył gospodarz Anderson. — Z naszych upraw i tak nie ma prawie wcale pieniędzy. — Ale to jakoś nie w porządku, żeby samego siebie sprzedawać — powiedział gospodarz Hayworth. — Łatwo ci mówić! — powiedział gospodarz Bettelheim. — Bo sam masz dom z drewna! Tak to wieśniacy dogadali się z ludożercami, że praworęczni będą im sprzedawać swoje lewe ręce, a leworęczni — prawe, a kiedy już ręce odrosną, dobiją targu od nowa. W ten sposób zapewnią sobie stały dochód i nie będą musieli całymi dniami grzebać w bagnie ani mozolić się przy żniwach. Z takiej umowy zadowoleni byli wszyscy oprócz gospodarza Haywortha, który lubił sobie pogrzebać w bagnie i żał mu było, że we wsi skończy się tradycyjne rzemiosło, nawet jeśli nie było zbyt dochodowe w porównaniu ze sprzedażą kończyn ludożercom. Nic jednak nie mógł na to poradzić i tylko przyglądał się bezradnie, jak sąsiedzi porzucają uprawę wodorostów, pozwalają bagnetom leżeć odłogiem, a sami odrąbują sobie ręce (za sprawą ich osobliwości nie bolało to zbytnio, a ręce dość łatwo odchodziły od ciała, trochę jak jaszczurcze ogony). Za zarobione pieniądze kupowali żywność na targu w Chipping Whippet (kozie szynki, które kiedyś jadali raz do roku, teraz stały się codzienną potrawą) i pobudowali sobie drewniane domy, tak samo jak gospodarz Hayworth. Rzecz jasna każdy pragnął mieć drzwi osadzone na zawiasach. Potem gospodarz Pullman wybudował sobie dom piętrowy i zaraz wszyscy inni też zapragnęli piętrowych domów. Wtedy gospodyni Sally zbudowała sobie dom, który miał nie tylko piętro, ale jeszcze i dach ze szczytem, więc wkrótce każdy chciał piętrowego domu ze szczytem. Za każdym razem, kiedy wieśniakom odrastały ramiona i można je było znowu odciąć na sprzedaż, pieniądze szły na rozbudowę domów. W końcu domy zrobiły się tak duże, że prawie nie było między nimi miejsca, a gromadzki plac w wiosce — kiedyś porośnięty sporą łąką — teraz się ścieśnił do rozmiarów wąskiej alejki. Gospodarz Bachelard pierwszy wpadł na pomysł, jak sobie poradzić z brakiem miejsca. Uznał, że kupi dużą działkę na obrzeżach wsi i tam zbuduje

nowy dom, jeszcze większy niż ten, w którym mieszkał (a który, nawiasem mówiąc, miał troje drzwi osadzonych na zawiasach, piętro, dach ze szczytem i do tego jeszcze ganek). Mniej więcej w tym czasie wieśniacy przestali się do siebie zwracać per „gospodarzu” i zaczęli mówić do siebie na „pan” i „pani”, bo nie byli już przecież rolnikami — z wyjątkiem gospodarza Haywortha, który nadal grzebał w bagnie i odmawiał ludożercom sprzedaży swoich kończyn. Upierał się, że jego prosty dom mu zupełnie wystarcza, a zresztą i tak rzadko z niego korzystał, bo po całym dniu ciężkiej pracy lubił sypiać na bagnach. Znajomi uważali, że postępuje nierozsądnie i staroświecko, i przestali do niego zaglądać w odwiedziny. Niegdyś skromne Bagnogrzebki gwałtownie się rozbudowywały — mieszkańcy kupowali coraz to większe działki, żeby budować coraz to większe i bardziej wymyślne domy. Chcąc znaleźć na to wszystko pieniądze, zaczęli sprzedawać ludożercom po rękę i nodze jednocześnie (dla lepszej równowagi zawsze sprzedawali nogę z przeciwnej strony ciała niż rękę) i nauczyli się poruszać o kulach. Ludożercy — których apetyt wydawał się równie niewyczerpany jak ich majątek — byli bardzo zadowoleni. Potem pan Pullman kazał zburzyć swój drewniany dom i na jego miejsce wybudować murowany, co rozpętało rywalizację, kto z mieszkańców zbuduje najokazalszy dom z cegły. Pan Bettelheim przebił wszystkich — zbudował sobie piękny dom z piaskowca o miodowozłotej barwie. W takich domach mieszkali tylko najbogatsi kupcy w Chipping Whippet, jednak było go na to stać, bo sprzedał rękę i obie nogi. — Bettelheim posunął się za daleko! — poskarżyła się pani Sally znad talerza kanapek z kozią szynką w nowej, eleganckiej restauracji, którą zbudowano we wsi. Jej znajome były tego samego zdania. — Jaką przyjemność można mieć z dwupiętrowego domu, kiedy człowiek nie może nawet wejść po schodach? — spytała pani Wannamaker. W tej samej chwili do restauracji wszedł pan Bettelheim... niesiony przez krzepkiego mężczyznę z sąsiedniej wsi. — Nająłem sobie człowieka, który będzie mnie nosił po schodach i gdzie tylko zechcę — rzucił z dumą. — Na co mi nogi?! Panie zaniemówiły. Jednak wkrótce i one posprzedały swoje nogi. Nie upłynęło wiele czasu, a jak wieś długa i szeroka murowane domy burzono i zastępowano wielkimi kamienicami z piaskowca. Tymczasem ludożercy zdążyli już opuścić wybrzeża Meek i sprowadzić się do lasów pod Bagnogrzebkami. Po co mieli przymierać głodem na nędznej diecie złożonej z powieszonych zbrodniarzy i kończyn ofiar wypadków, gdy kończyny wieśniaków były świeższe, smaczniejsze i dostępne w większej obfitości niż to, na co mogli liczyć w Meek? Leśne domy ludożerców były skromne, bo mnóstwo pieniędzy musieli oddawać wieśniakom, ale ludożercy byli zadowoleni — o wiele bardziej woleli żyć skromnie, ale z pełnym brzuchem, niż głodować w wystawnych domach. Mieszkańcy i ludożercy byli od siebie coraz bardziej zależni, a ich apetyty stale rosły. Ludożercy zrobili się tłuści. Kiedy już wypróbowali wszystkie przepisy na potrawy z rąk i nóg, zaczęli się zastanawiać, jak mogą smakować uszy. Miesz-

kańcy odmawiali sprzedaży uszu, które wszak nie odrastały, jednak pewnego razu pan Bachelard (niesiony przez krzepkiego sługę) złożył ludożercom potajemną wizytę w lesie, ciekawy, ile byliby skłonni zapłacić. Przecież wszystko by słyszał i bez uszu, tłumaczył sobie, a choć wiązałoby się to z pewnym oszpeceniem, w zamian cieszyłby się pięknym domem z białego marmuru, który mógłby sobie wystawić za zarobione pieniądze. (Czytelnicy lepiej obeznani w kwestii finansów mogliby zapytać, dlaczego pan Bachelard nie wolał po prostu zaoszczędzić pieniędzy z ciągłej sprzedaży rąk i nóg, aż byłoby go stać na dom z marmuru — było to jednak niemożliwe, bo zaciągnął w banku wysoką pożyczkę na zakup działki, na której postawił sobie dom z piaskowca, więc teraz musiał co miesiąc płacić bankowi równowartość ręki i nogi samych odsetek. Dlatego właśnie musiał odsprzedać uszy). Ludożercy zaproponowali panu Bachelardowi zawrotną sumę. Pan Bachelard uciął sobie uszy, zadowolony, że ma je z głowy, a dom z piaskowca zastąpił wymarzonym domem marmurowym. Był to najpiękniejszy dom w miejscowości, a może nawet w całym hrabstwie Oddford. Choć sąsiedzi w Bagnogrzebkach obmawiali za jego plecami szpetotę pana Bachelarda i mówili sobie, że głupotą jest sprzedaż uszu, które nigdy nie odrosną, to jednak wszyscy składali mu wizyty i kazali się sługom obnosić po marmurowych komnatach i marmurowych klatkach schodowych. Kiedy wychodzili, wszyscy byli zieleni z zazdrości. W tym czasie żaden z mieszkańców z wyjątkiem gospodarza Haywortha nie miał już nóg i mało kto miał jeszcze ręce. Przez pewien czas każdy zostawiał sobie po jednej ręce, żeby móc pokazywać palcem i jadać samodzielnie, ale potem zdali sobie sprawę, że łyżkę albo kielich może im równie dobrze podnieść do ust sługa, a zamiast pokazywać palcami, równie dobrze można powiedzieć: „Przynieś mi to!” czy „Podaj mi tamto!”. Tym samym ręce uznano za niepotrzebny zbytek, a mieszkańcy — z których zostały już tylko kadłuby bez kończyn — poruszali się w jedwabnych chustach, które służący nosili zarzucone na bark. Wkrótce uszy poszły śladem rąk. Wiśniacy udawali przed sobą, że nigdy nie nazywali pana Bachelarda szpetnym. — Wcale nie wygląda źle — powiedział pan Bettelheim. — Możemy przecież nosić nauszniki — podsunął pan Anderson. Poucinali sobie zatem uszy, posprzedawali je i za te pieniądze zbudowali marmurowe domy. Bagnogrzebki zaczęły słynąć z pięknej architektury. Senna kiedyś miejscowość, do której ludzie trafiali najwyżej przypadkiem, stała się powszechnie znanym celem podróży. Powstał w niej hotel i kilka nowych restauracji. Nie było nawet mowy, żeby w którejś podano kanapkę z kozią szynką. Mieszkańcy udawali, że w życiu nie słyszeli o czymś takim, jak kanapki z kozią szynką. Turyści przystawali niekiedy przed skromnym, drewnianym domkiem z płaskim dachem, w którym mieszkał gospodarz Hayworth. Intrygował ich kontrast między jego prostym domem a stojącymi wokół pałacami. Farmer wyjaśniał, że woli własne ręce i nogi oraz swoje proste życie hodowcy bagiennych wodorostów. Pokazywał im swój spłachetek bagna – był to już ostatni skra-

wiek moczarów w całych Bagnogrzebkach, bo całą resztę zasypano piachem pod budowę domów. Oczy całego kraju zwrócone były na Bagnogrzebki z ich pięknymi marmurowymi domami. Właściciele domów rozkoszowali się powszechną uwagą. Każdy rozpaczliwie starał się jakoś wyróżnić, bo domy były niemal jednokowe. Każdy chciał zastąpić jako właściciel najpiękniejszego domu w Bagnogrzebkach, jednak pieniądze za ręce i nogi musieli co miesiąc przeznaczać na spłatę odsetek za zaciągnięte olbrzymie pożyczki, a uszy już posprzedawali. Zaczęli więc podsuwać ludożercom inne pomysły. — Czy pożyczyliby mi państwo pieniądze pod zastaw nosa? — zapytała pani Sally. — Nie — odparli ludożercy. — Ale chętnie odkupilibyśmy pani nos na własność. — Ale jeśli sobie odetnę nos, będę wyglądała jak potwór! — Mogłaby pani owijać twarz szalem — podsunęli. Pani Sally nie zgodziła się i nakazała słudze zanieść się w swojej chuście z powrotem do domu. Potem ludożerców odwiedził pan Bettelheim. — Nie odkupiliby państwo mojego siostrzeńca? — zaproponował przyciszonym głosem, a sługa wypchnął ośmioletniego chłopca przed ludożerców. — W żadnym wypadku! — odparli ludożercy, dali przerażonemu chłopcu cukierków i odesłali go do domu. Po kilku dniach wróciła pani Sally. — No dobrze — westchnęła. — Mogę odsprzedać nos. W jego miejscu nosiła nos sztuczny, zrobiony ze złota, a za uzyskane pieniądze zwieńczyła swój marmurowy dom olbrzymią złotą kopułą. Zapewne odgadliście, do czego to doprowadziło. Cała wieś posprzedawała nosy i wybudowała złote kopuły, wieże i wieżyczki. Potem sprzedawali oczy (każdy po jednym), a za pieniądze otoczyli domy fosami, które napełnili winem i egzotycznymi, pijanymi rybami. Zresztą twierdzili, że patrzenie dwójgciem oczu to luksus, bo mogą się przydać najwyżej do tego, żeby celnie rzucać i łapać. I tak nie mieli rąk, więc było to im zbyt ciężkie, a jedno oko wystarczy, żeby się cieszyć pięknem ich domów. Ludożercy zaś... No cóż, byli ludźmi cywilizowanymi i praworządnymi, ale przecież nie byli święci. Mieszkali w leśnych chatkach i gotowali posiłki nad ogniskiem, a tymczasem mieszkańcy żyli w dworach i pałacach, otoczeni służbą. Ludożercy przeprowadzili się więc do nich. W domach było tyle pomieszczeń, że mieszkańcy nie od razu się zorientowali, ale kiedy już zauważyli, ogarnął ich gniew. — Nigdy nie mówiliśmy, że możecie u nas mieszkać! — zawołali. — Jesteście wstrętnymi kaniibalami, którzy jedzą ludzkie mięso! Idźcie sobie mieszkać do lasu! — Jeśli nam nie pozwolicie mieszkać w swoich domach — odpowiedzieli ludożercy — przestaniemy od was kupować kończyny i powrócimy do Meek. A wtedy nie dacie rady spłacić pożyczek i straciecie wszystko. Mieszkańcy nie wiedzieli, co począć. Nie chcieli mieszkać w jednym domu z ludożercami, ale też nie potrafili sobie wyobrazić powrotu do dawnego życia. Teraz życie byłoby jeszcze trudniejsze: nie tylko byłiby bezdomni, oszpeчени i półślepi, ale w dodatku nie mieliby jak uprawiać wodorostów na bagnach, bo wszystkie zasypali. Coś takiego w ogóle nie wchodziło w grę. Niechętnie się zgodzili, żeby ludożercy zostali. Ci wprowadzili się do

wszystkich domów (oprócz domku gospodarza Haywortha — nikt nie chciał zamieszkać w jego surowej, drewnianej budce). Pozajmowali największe sypialnie z łazienkami, a mieszkańcom kazali się przenieść do sypialni dla gości, z których część nie miała nawet własnych łazienek! Pan Bachelard musiał wręcz zamieszkać w kurniku, a pan Anderson wprowadził się do piwnicy (która jak na piwnicę była całkiem przyjemna, ale mimo wszystko). Mieszkańcy nieustannie narzekali na nowe porządki (w końcu mieli jeszcze języki). — Niedobrze mi się robi od zapachu waszego gotowania — powiedziała pani Sally swoim ludożercom. — Turyści cały czas się o was dopytują, aż mi wstyd! — krzyknął pan Pullman do swoich ludożerców, którzy akurat spokojnie czytali sobie w gabinecie i aż podskoczyli od jego wrzasku. — Albo się wyprowadzisz, albo doniosę władzom, że porywasz dzieci i gotujesz z nich quiche! — groził pan Bettelheim. — Quiche się nie gotuje, to danie pieczone — sprostował jego ludożerca, elegancki Hiszpan na poziomie, który nazywał się Héctor. — Mam to gdzieś! — wrzasnął pan Bettelheim, robiąc się całkiem czerwony na twarzy. Po kilku tygodniach awantur Héctor poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma. zaproponował panu Bettelheimowi, że odda mu wszystkie pieniądze, co do ostatniego grosza, jeśli ten zgodzi się odsprzedać mu własny język. Pan Bettelheim nie odrzucił propozycji od razu. Najpierw dobrze się zastanowił i wszystko sobie rozważył. Bez języka nie mógłby narzekać ani wygrażać Héctorowi. Za to obiecanych pieniędzy wystarczyłoby, żeby na działce zbudować drugi dom, a wtedy nie musiałby już mieszkać razem z Héctorem i tym samym nie miałby więcej powodu do narzekań. A w dodatku kto inny mógłby się poszczycić nie jednym, lecz dwoma marmurowymi domami ze złotą kopułą? Gdyby pan Bettelheim poprosił o radę gospodarza Haywortha, stary przyjaciel na pewno by mu odradził taki interes z ludożercą. „Jeśli ci przeszkadza zapach potraw Héctora, wyprowadź się i zamieszkaż u mnie” — powiedziałby Hayworth. „Miejsca jest u mnie aż nadto”. Jednak pan Bettelheim od dawna unikał Haywortha, tak samo jak pozostali mieszkańcy, więc go nie spytał o radę. A gdyby nawet go spytał, Bettelheim miał przecież swoją dumę i wolał raczej żyć bez języka niż w żalosnej chatce Haywortha. Bettelheim udał się więc do Héctora i powiedział: — Zgoda. Héctor wyciągnął duży nóż kuchenny, który zawsze nosił u boku. — Na pewno? — Na pewno — powiedział Bettelheim i wystawił język. Héctor zrobił, co miał zrobić, a następnie wetknął Bettelheimowi do ust bawełniany gazik, żeby zatamować krwawienie. Język zaniósł do kuchni, usmażył go z odrobiną soli w oliwie aromatyzowanej trufkami i zjadł. Następnie wziął obiecane pieniądze, rozdał je służbie Bettelheima i zwolnił wszystkich z pracy. Wściekły Bettelheim — pozbawiony rąk, nóg i języka — stękał i wił się na podłodze. Héctor podniósł go, wyniósł na zewnątrz i przywiązał do palika w zacienionym zakątku ogrodu. Dwa razy dziennie poił go i karmił, a Bettelheim niczym winorośl przynosił mu plony w postaci kończyn do zjedzenia. Héctor czuł się z tym dosyć źle — ale też nie jakoś bardzo źle.

Z czasem poślubił miłą dziewczynę i założyli ludożerczą rodzinę, której całego pokarmu dostarczał osobliwy człowiek w ogródku za domem. Podobny los spotkał wszystkich mieszkańców miejscowości z wyjątkiem gospodarza Haywortha, który zachował własne kończyny, mieszkał w swoim domku i tak jak dawniej uprawiał wodorosty na bagnach. On nie przeszkadzał nowym sąsiadom, a oni nie przeszkadzali jemu. Miał wszystko, czego mu było potrzeba — i oni również. I tak żyli długo i szczęśliwie. Meek to nazwa historycznej krainy, w której znajdowali schronienie wygnani z kraju banici. Przypuszcza się, że leżała gdzieś na terenach dzisiejszej Kornwalii. ↵


Były takie czasy — świetlana era w odległej przeszłości — kiedy osobliwcy mogli żyć razem, nie kryjąc się, nie potrzebując pętli i nie lękając się prześladowań. Osobliwcy często dzielili się wtedy na grupy o takich samych zdolnościach. Obecnie takie praktyki nie są dobrze widziane, bo zachęcają grupy do zamykania się we własnym gronie i prowadzą do wzajemnej wrogości. ↵

Co było źródłem bogactwa ludożerców? Wyrób cukierków i zabawek dla dzieci. ↵

była dostępna w obfitości, była tam stosunkowo łatwiejsza do zdobycia.



## O księżniczce, co miała węzowy język



Dawno temu w prastarym królestwie Frankenburgii żyła księżniczka, która miała osobliwy sekret — w jej ustach krył się długi język rozszczepiony na dwoje, a jej plecy pokrywała siateczka połyskliwych, czworokątnych łusek.

Ponieważ węzowe cechy księżniczki ujawniły się w wieku nastoletnim i od tamtej pory prawie nie otwierała ust w obawie przed ich wykryciem, udało jej się utrzymać to w tajemnicy przed wszystkimi oprócz własnej służącej. Nie wiedział o niczym nawet jej ojciec, król Frankenburgii.

Życie księżniczki płynęło w samotności, bo rzadko rozmawiała z ludźmi, lękając się, że zauważą jej rozszczepiony język. Jednak prawdziwy kłopot polegał na czymś innym — wkrótce miała poślubić księcia z królestwa Galacji<sup>1</sup>. Narzeczeni jeszcze nie spotkali się osobiście, lecz księżniczka słynęła z urody, dlatego książe zgodził się ją zobaczyć po raz pierwszy dopiero na zaślubinach, które zbliżały się wielkimi krokami. Ich związek miał umocnić stosunki między Frankenburgią a Galacją, zapewnić obu krainom pomyślność oraz doprowadzić do układu obronnego wymierzonego we wspólnego znenawidzonego wroga — księstwo Fryzji. Księżniczka wiedziała, że ze względów politycznych ślub jest koniecznością, ale była przerażona, że książe ją odtrąci, kiedy pozna jej sekret.

— Niech się Wasza Wysokość nie zamartwia — radziła służąca. — Książe zobaczy wasze piękne oblicze, pozna wasze piękne serce i wszystko inne wybaczy.

— A jeśli nie wybaczy? — spytała księżniczka. — Najlepsza szansa na osiągnięcie pokoju legnie w gruzach, a ja resztę życia spędzę w staropanieństwie!

W kraju czyniono przygotowania do królewskich zaślubin. W pałacu rozwieszono tkaniny ze złotego jedwabiu i zewsząd przybyli najlepsi mistrzowie kuchni, żeby przygotować wystawną ucztę. Na koniec przybył książe w królewskim orszaku. Wsiadł z karety i serdecznie powitał króla.

— A gdzie moja przyszła małżonka? — zapytał.

Zaprowadzono go do sali bankietowej, gdzie czekała księżniczka.

— Księżniczko! — zawołał książe. — Wprawdzie mówiono mi, że jesteś piękna, jednak twoja uroda przekracza nawet moje oczekiwania.

Księżniczka uśmiechnęła się i skłoniła głowę, ale nie otworzyła ust.

— A cóż to? — zapytał książe. — Czyżbyś oniemiała, widząc, jak jestem przystojny?

Księżniczka oblała się rumieńcem i przecząco potrząsnęła głową.

— Ach tak — odpowiedział książe. — Zatem wcale nie uważasz, że jestem przystojny. Czy o to chodzi?



Zatrwożona księżniczka znowu potrząsnęła głową — chodziło jej o coś zupełnie innego! — ale widziała, że milcząc, tylko pogarsza sprawę.

— Wyduś coś z siebie, dziewczyno, to nie czas, żeby zapominać języka w gębie! — syknął król.

— Niech Wasza Wysokość wybaczy — wtrąciła służąca — ale może królewska córka poczuje się swobodniej, jeśli pierwszą rozmowę będzie jej wolno odbyć z księciem na osobności?

Wdzięczna księżniczka pokiwała głową.

— Tak się nie godzi — gderał król. — Ale sądzę, że w tych okolicznościach...

Strażnicy zaprowadzili księcia i księżniczkę do komnaty, w której mogli być sami.

— I cóż? — zapytał książę, kiedy strażnicy wyszli. — Jak ci się podobam?

— Myślę, że jesteś bardzo przystojny — odpowiedziała księżniczka, zakrywając usta dłonią.

— Dlaczego zasłaniasz usta, kiedy mówisz? — zapytał książę.

— Taki mam już nawyk — powiedziała księżniczka. — Przykro mi, jeśli wydaje ci się to dziwne.

— Rzeczywiście jesteś dziwna, nie przeczę. Ale dla twojej urody jestem gotów się do tego przyzwyczaić!

Na te słowa serce księżniczki wzleciało niczym ptak, ale zaraz równie szybko spadło na ziemię. Było tylko kwestią czasu, kiedy książę odkryje tajemnicę. Wprawdzie mogłaby poczekać i wyjawić ją dopiero po ślubie, ale wiedziała, że nie ma prawa go okłamywać.

— Muszę ci coś wyznać — powiedziała, nadal zasłaniając usta. — I boję się, że kiedy się dowiesz, nie zechcesz mnie poślubić.

— Nonsens — powiedział książę. — W czym rzecz? O nie... czyżbyśmy byli kuzynami?

— Nie o to chodzi.

— Cóż — rzucił książę pewnym siebie tonem. — W takim razie nic mnie nie zniechęci do ślubu.

— Mam nadzieję, że jesteś człowiekiem słownym — odpowiedziała księżniczka, po czym opuściła rękę i pokazała mu swój rozdwojony język.

— Na niebiosa! — wykrzyknął książę, cofając się o krok.

— To nie wszystko — powiedziała księżniczka. Wysunęła rękę z ramiączka sukni i pokazała mu łuski pokrywające jej plecy.

Książę najpierw osłupiał, a potem wpadł we wściekłość.

— W życiu nie mógłbym poślubić takiego potwora! — zawołał. — Nie mogę uwierzyć, że oboje z ojcem próbowaliście mnie tak oszukać!

— To nieprawda! — zawołała. — Ojciec o niczym nie wie!

— No to zaraz się dowie! — wściekał się książę. — To skandal!

Niczym burza wypadł z komnaty, żeby opowiedzieć o wszystkim królowi, a księżniczka ruszyła za nim, błagając, żeby tego nie robił.

W tej właśnie chwili płatni zabójcy nasłani z Fryzji, którzy przybyli na dwór w przebraniu kucharzy, wyciągnęli sztylety ukryte w weselnych tortach i ruszyli biegiem w stronę komnaty króla.

Książę właśnie miał wyjawić tajemnicę księżniczki, kiedy zabójcy wyłamali drzwi i zabili strażników. Tymczasem tchórzliwy król wskoczył do szafy, gdzie schował się pod stertą ubrań.

Zabójcy rzucili się na księcia i księżniczkę.

— Nie zabijajcie mnie! — zawołał książę. — Jestem tylko zwykłym posłańcem z obcej krainy!

— Zgrabna bajeczka — odpowiedział przywódca zabójców. — Jesteś księciem Galacji i przybyłeś poślubić Książę rzucił się do najbliższego okna i zaczął je otwierać, zostawiając księżniczkę samą w obliczu zabójców. Kiedy zbliżyli się do niej z zakrwawionymi sztyletami w dłoniach, księżniczka poczuła, jak w jej gardle za językiem narasta dziwny ucisk. Zabójcy jeden za drugim rzucali się na nią z nożami, a ona jednemu za drugim bryzgała w twarz strumieniem jadowitej trucizny. Wszyscy oprócz jednego runęli na ziemię, wijąc się z bólu, i skonali. Piąty z zabójców przerażony wypadł z komnaty i uciekł. Księżniczka była nie mniej zdziwiona od nich. Nie wiedziała, że potrafi robić takie rzeczy, ale z drugiej strony nigdy wcześniej nie stanęła oko w oko ze śmiercią. Książę, który zdążył już prawie wygramolić się za okno, teraz z powrotem zsunął się z parapetu do komnaty i zdumiony patrzył na księżniczkę oraz na martwych zabójców. — Czy teraz zgodzisz się mnie poślubić? — zapytała księżniczka. — W żadnym wypadku — odparł. — Ale w dowód wdzięczności nie powiem twojemu ojcu dlaczego. Podniósł porzucony sztylet i podbiegł do zabójców, po kolei dźgając ich martwe ciała. — Co ty wyprawiasz? — spytała oszołomiona księżniczka. Z szafy wynurzył się król. — Czy już nie żyją? — zapytał drżącym głosem. — Tak, Wasza Wysokość — odpowiedział książę, pokazując mu sztylet. — Zabiłem ich wszystkich! Księżniczką wstrząsnęło jego kłamstwo, ale utrzymała język za zębami. — Cudownie! — zawołał król. — Chłopcze, zostałeś bohaterem Frankenburgii, i to w dniu własnych zaślubin! — Ach, jeśli o to chodzi... — zaczął książę. — Niestety, ślubu nie będzie. — Co takiego? — krzyknął król. — Dlaczego nie?! — Właśnie się dowiedziałem, że jesteśmy z księżniczką spokrewnieni — powiedział książę. — Okropna szkoda! Nawet nie oglądając się za siebie, książę wymknął się z komnaty, zebrał orszak i wyruszył kareta w drogę powrotną. — Nedorzecznosc! — złościł się król. — Z tego chłopaka jest taki kuzyn mojej córki, jak ze mnie wuj tego krzesła! Nie zgodzę się na takie traktowanie mojego rodu! Wściekły król odgrażał się, że wypowie wojnę Galacji. Księżniczka wiedziała, że nie może do tego dopuścić, więc

pewnego wieczoru poprosiła o poufną audiencję i wyjawiała królowi długo skrywany sekret. Król odwołał wojenne plany, ale tak przeżył to upokorzenie i tak był zły na córkę, że kazał ją zamknąć w najbardziej zatęchłej celi pałacowych lochów. — Mało tego, że jesteś kłamczuchą i potworem, to jeszcze nie nadajesz się do zamążpójścia! — Splunął do jej celi przez kratę. Zabrzmiało to tak, jakby był to najgorszy występ z możliwych. — Ależ ojciec — powiedziała księżniczka — czyż nie jestem nadal twoją córką? — Już nie — odpowiedział król i odwrócił się do niej plecami. Księżniczka wiedziała, że mocą swego żrącego jadu mogłaby przepalić zamek w kratkach i wydostać się na wolność, ale czekała, licząc, że ojciec nabierze rozumu i jej przebaczy<sup>2</sup>. Przez wiele miesięcy jadła kleistą więzienną breję i dygotała nocami z zimna na kamiennym posłaniu, lecz ojciec nie przychodził. Odwiedzała ją tylko służąca. Pewnego dnia służąca przyniosła jej wieści. — Czy ojciec mi przebaczył? — ożywiła się księżniczka. — Obawiam się, że nie — odpowiedziała. — Obwieścił w całym królestwie, że Wasza Wysokość nie żyje. Jutro będzie pogrzeb. Księżniczce serce pękało z żalu. Tej samej nocy wydostała się z krat i razem ze służącą opuściły granice królestwa, porzucając dawne życie. Nierozpoznana podróżowała przez wiele miesięcy, wędrując po kraju i mając się różnych gospodarskich prac. Żeby uniknąć rozpoznania, pobrudziła sobie twarz ziemią i nie otwierała ust przy nikim oprócz służącej, która tłumaczyła ludziom, że jej brudna towarzyszką podróży jest niemowa. Pewnego dnia usłyszały opowieść o księciu żyjącym w odległym królestwie zwanym Tracją, którego ciało przybierało niekiedy kształt tak osobliwy, że cały kraj pogrążył się w skandalu. — Czy to może być prawda? — spytała księżniczka. — Czy to możliwe, że on jest taki jak ja? — Nie zaszkodzi się przekonać — odpowiedziała służąca. Wyruszyły więc w długą drogę. Dwa tygodnie zajęła im podróż na końskim grzbiecie przez Surowe Pustkowia, a kolejne dwa wyprawa statkiem przez Wielkie Wodogrzmoty. Gdy w końcu dotarły do królestwa Tracji, były spalone słońcem, ogorzałe od wiatru i prawie bez grosza przy duszy. — Nawet nie ma mowy, żebym się w takim stanie pokazała księciu — powiedziała księżniczka. Dlatego ostatnie zarobione pieniądze wydały na wizytę w łaźni, gdzie je umyły, wypchniono i natarto olejkami. Kiedy wyszły z łaźni, księżniczka wyglądała tak pięknie, że oglądali się za nią wszyscy, i mężczyźni, i kobiety. — Już ja pokażę ojcu, że nadaję się do zamążpójścia — oświadczyła księżniczka. — Idziemy poznać tego osobliwego księcia. Udały się więc do pałacu i zapytały o księcia, ale odpowiedź gorzko je rozczarowała. — Przykro mi — powiedział im strażnik stojący w pałacowej bramie — ale księżę nie żyje. — Co mu się stało? — zapytała służąca. — Zapadł na jakąś tajemniczą chorobę i tej nocy zmarł — odpowiedział strażnik. — Wszystko się stało bardzo nagle. — Dokładnie to samo król mówił o Waszej Wysokości — szepnęła służąca księżniczce. Tej nocy wkradły się do pałacowych lochów, gdzie w najciemniejszej i najbardziej zatęchłej celi znalazły olbrzymiego ogrodowego ślimaka bez skorupy, tyle

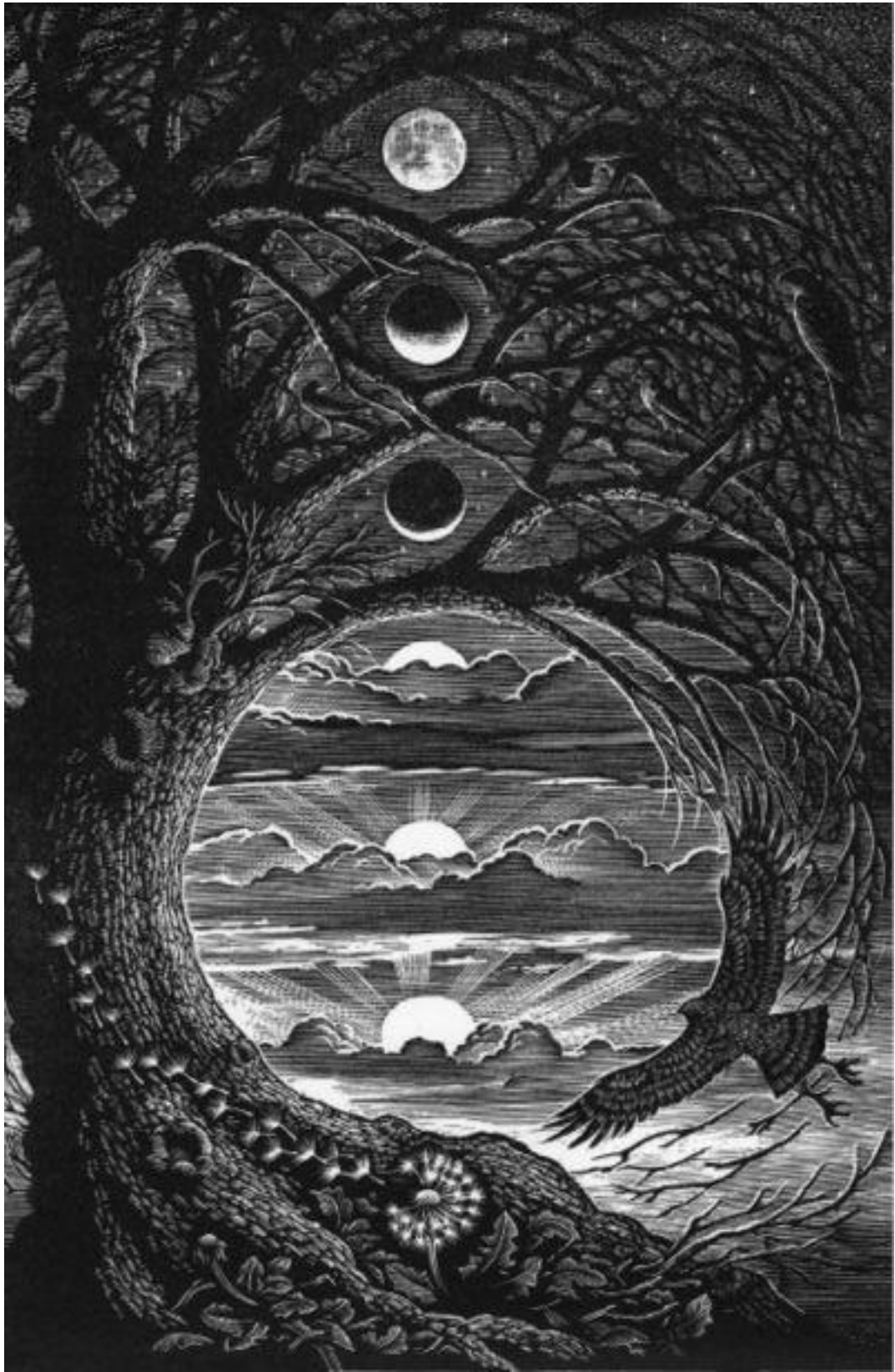
że z głową całkiem przystojnego młodzieńca. — Czy ty jesteś księciem? — spytała go służąca. — Tak — odpowiedziało odrażające stworzenie. — Kiedy jestem przygnębiony, moje ciało przeobraża się w drżącą, galaretowatą masę. W końcu dowiedziała się o tym matka i zamknęła mnie w tym lochu. Jak widzicie, już prawie od stóp do głów zmieniłem się w ślimaka. Książę podpełzł do kraty, ciągnąc za sobą po podłodze ciemny ślad śluzu. — Ale jestem pewien, że matka wkrótce nabierze rozumu i wypuści mnie stąd. Księżniczka i służąca spojrzały po sobie zakłopotane. — No cóż, mamy dla ciebie dwie wiadomości, dobrą i złą — powiedziała służąca. — Zła wiadomość jest taka, że twoja matka powiedziała wszystkim, że nie żyjesz. Książę zaczął jęczeć i rozpaczać, a z głowy natychmiast zaczęła mu wyrastać para galaretowatych słupków. Teraz już nawet jego głowa zmieniała się w ślimaka. — Poczekaj! — zawołała służąca. — Jest jeszcze dobra wiadomość! — Ach tak, zapomniałem. — Książę pociągnął nosem, a słupki przestały się wydłużać. — A jaka? — Oto księżniczka Frankenburgii — odpowiedziała służąca. Księżniczka zrobiła krok do przodu i stanęła w świetle lampy, a książę po raz pierwszy zobaczył jej bajeczną urodę. — Jesteś... księżniczką? — zająknął się książę, patrząc szeroko otwartymi oczami. — Zgadza się — przytaknęła służąca. — Księżniczką, która przyszła ci na ratunek. Książę był zachwycony. — Wprost nie mogę w to uwierzyć! — zawołał. — Ale jak? Słupki na jego głowie kurczyły się, a z wydłużonej masy zaczynał się kształtować tułów z ramionami. Najzwyczajniej w świecie zmienił się w człowieka. — A tak! — powiedziała księżniczka i plunęła strużką żrącego kwasu na zamek w drzwiach celi. Zamek zaczął topnieć, sycząc i dymiąc. Książę cofnął się przerażony. — Kim... czym ty właściwie jesteś? — zapytał. — Jestem osobliwa, tak samo jak ty! — odpowiedziała księżniczka. — Kiedy ojciec dowiedział się o mojej tajemnicy, też mnie wydziedziczył i zamknął w celi. Wiem dokładnie, jak się czujesz! Kiedy do niego mówiła, w jej ustach mignął rozszczępiony język. — A twój język... czy też się jakoś wiąże z twoim... stanem? — spytał książę. — Język i jeszcze to. — Księżniczka wysunęła ramię z sukienki i pokazała mu łuski na plecach. — Rozumiem — powiedział książę, znowu popadając w żałobny ton. — Mogłem się domyślić, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Po policzku spłynęła mu łza, a jego ręce znowu zaczęły znikać, stapiając się z torsem w dygoczącą, ślimakowatą masę. — Dlaczego się zasmuciłeś? — zapytała księżniczka. — Doskonała z nas para. Razem moglibyśmy pokazać rodzicom, że nadajemy się do małżeństwa i wcale nie jesteśmy nic niewarci. Moglibyśmy zjednoczyć nasze królestwa i kto wie, może nawet pewnego dnia zająć należne nam miejsce na tronie! — Chyba oszalałaś! — krzyknął książę. — Jak mógłbym cię kiedykolwiek pokochać? Jesteś odrażającym wybrykiem natury! Księżniczce odjęło mowę. Nie mogła wprost uwierzyć własnym uszom. — Ach, cóż za upokorzenie! — ryczał ślimakowaty książę. Z czoła wyrosły mu słupki, jego twarz zniknęła i od stóp do samej głowy zmienił się w ślimaka, a teraz trząsał się i jęczał, na

próżno próbując płakać bez ust. Księżniczka razem ze służącą odwróciły się, walcząc z mdłościami. Pozostawiły niewdzięcznego księcia, żeby gnął w swoim lochu. — Chyba mi wystarczy książąt na całe życie — powiedziała księżniczka. — Czy to osobliwych, czy każdego innych. Raz jeszcze przeprowiły się przez Wielkie Wodogrzmoty i Surowe Pustkowia, po czym wróciły do Frankenburgii, gdzie — jak się okazało — trwała właśnie wojna z Galacją i Fryzją, które zjednoczyły się przeciw ich krajowi. Króla obalono i uwięziono, a na frankenburskim tronie Fryzyjczycy osadzili innego księcia. Książę był kawalerem, a kiedy już umocnił swą władzę i ugasił niepokoje w nowym państwie, zaczął się rozglądać za żoną. Jego posłańcy odkryli księżniczkę, która akurat pracowała w gospodzie. — Ej, ty tam! — przywołali ją, kiedy sprzątała ze stołów. — Książę szuka sobie żony. — Życzę mu powodzenia — odpowiedziała. — Ale mnie to nie interesuje. — Twoje zdanie nie ma tu nic do rzeczy — odpowiedział posłaniec. — Ruszaj z nami natychmiast. — Ale w moich żyłach nie płynie królewska krew — skłamała. — To też nie ma znaczenia. Książę po prostu szuka najpiękniejszej kobiety w królestwie i kto wie, może to będziesz ty. Księżniczka pomyślała, że uroda chyba staje się dla niej klątwą. Dostała ładną suknię, w której kazano jej stanąć przed obliczem księcia. Na widok jego twarzy przeszedł ją zimny dreszcz. Fryzyjskim księciem okazał się jeden z zabójców, którzy kiedyś próbowali ją zgładzić: jedyny, który wtedy uszedł z życiem. — Czy ja cię już gdzieś nie widziałem? — zapytał książę. — Wyglądasz znajomo. Księżniczka miała już dość ukrywania się i życia w kłamstwie, dlatego powiedziała mu prawdę. — Próbowaleś raz zabić mnie i mojego ojca. Byłam niegdyś księżniczką Frankenburgii. — Sądziłem, że nie żyjesz! — zawołał książę. — Nie — odpowiedziała. — To kłamstwo, które wymyślił mój ojciec. — Czyli nie ja jeden próbowałem cię zabić — uśmiechnął się książę. — No cóż, chyba rzeczywiście. — Podoba mi się twoja uczciwość — powiedział książę — a także twój hart ducha. Jesteś silna, a my, Fryzyjczycy, cenimy takie cechy. Nie mogę się z tobą ożenić, bo jeszcze byś mnie zamordowała we śnie, ale jeśli się zgodzisz, uczynię cię swoją doradczynią. Masz wyjątkowy punkt widzenia, który może się okazać cenny. Księżniczka chętnie przystała na jego propozycję. Razem ze służącą wprowadziły się ponownie do pałacu, gdzie księżniczka objęła wysokie stanowisko w rządzie księcia i nigdy więcej nie zasłaniała ust, kiedy mówiła, bo nie musiała już ukrywać, kim jest. Po pewnym czasie odwiedziła ojca zamkniętego w lochu. Był ubrany w brudne, szorstkie łachmany z workowego płótna i wcale nie wyglądał jak król. — Wynoś się! — warknął na nią. — Jesteś zdrajczynią i nie mam ci nic do powiedzenia. — Ale ja mam coś do powiedzenia tobie — odpowiedziała księżniczka. — Mimo że nadal jestem na ciebie zła, chcę, żebyś wiedział, że ci wybaczam. Teraz rozumiem, że to, co mnie spotkało z twojej ręki, nie było uczynkiem człowieka złego, tylko pospolitego. — No i pięknie, dziękuję za wspaniałą przemowę — powiedział król. — A teraz idź sobie. — Jak sobie życzysz — odparła

księżniczka. Ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się w drzwiach. — A tak przy okazji, jutro rano chcą cię powiesić. Słyszac to, król zwinął się na posłaniu, zaczął płakać i pochlipywać. Wyglądał tak żałośnie, że księżniczkę zdjęła litość. Pomimo tego, co jej uczynił ojciec, poczuła, jak gorycz w niej topnieje. Za pomocą jadu zniszczyła zamek w celi króla, po kryjomu wyprowadziła go z więzienia, przebrała za żebraka i kazała mu uciekać tą samą drogą, którą sama kiedyś opuściła królestwo. Nie podziękował jej, nawet nie obejrzał się za siebie. A kiedy zniknął jej z oczu, ogarnęło ją nagłe, niepohamowane szczęście na myśl o dobrym uczynku, który obojgu przyniósł uwolnienie. Nazwy krajów pojawiające się w opowieści są wprawdzie zmyślane, jednak w różnych miejscowych odmianach pojawiają się także nazwy autentyczne. W jednej z wersji Frankenburgia jest Hiszpanią, a Galacja — Persją, jednak właściwa opowieść pozostaje ta sama. ⇐

Na osobliwym czarnym rynku można było kiedyś nabyć silnie żrący kwas sprzedawany w butelkach owiniętych wężową skórą. Substancją tą dawało się przetrwać nawet metal. Nazywano ją „plwocinami księżniczki”, niewątpliwie nawiązując do tej baśni. Kiedy w związku z substancją doszło do szeregu niefortunnych wydarzeń, osobliwe władze zakazały jego produkcji. Dzisiaj butelki „plwocin księżniczki” stanowią rarytas na rynku kolekcjonerskim. ⇐

ć księżniczkę, żeby zawrzeć sojusz przeciwko nam. Przygotuj się na śmierć!



## Pierwsza ymbrynka



*Uwaga od redaktora:*


*Choć wiemy na pewno, że wiele postaci pojawiających się w Baśniach rzeczywiście żyło i chodziło po świecie, czasami nie wiemy o nich właściwie nic więcej. Zanim opowieści zostały spisane, przez wiele wieków przekazywano je ustnie, co sprawiło, że podlegały wielu przemianom, każdy opowiadający bowiem upiększał je według własnego uznania. Skutkiem tego więcej w nich dzisiaj legendy niż historii, a ich główna wartość — poza emocjonującymi historiami — wiąże się z naukami moralnymi, które przekazują.*

*Pod tym względem opowieść o pierwszej ymbrynke w Brytanii jest ważnym wyjątkiem. To jedna z nielicznych opowieści, których autentyczność została gruntownie potwierdzona, a zdarzenia, o których mówi, nie tylko pozostawiły ślad w licznych źródłach z epoki, ale też znajdują bezpośrednie potwierdzenie ze strony samej ymbrynki (w dobrze znanym zbiorze jej listów, zatytułowanym Pęk piór z ogona). Dlatego moim zdaniem jest to najbardziej znacząca z Baśni, ponieważ łączy moralizującą przypowieść, interesującą historię oraz cenną kronikę wydarzeń z osobliwej historii.*

MN



## Pierwsza ymbrynka



Pierwsza ymbrynka nie była kobietą, która umiała się zmieniać w ptaka, lecz ptakiem, który umiał się zmieniać w kobietę. Przyszła na świat w rodzinie krogulców, zaciekle myśliwych, którzy nie byli zachwyceni tym, że ich siostra w każdej chwili może się zmienić w ciężką, przykutą do ziemi istotę, której nagłe zmiany wielkości wypychały rodzeństwo z gniazda, a dziwne bełkoty płoszyły zwierzyne. Ojciec nadał jej imię Ymeene, co w przeszywających dźwiękach krogulczej mowy znaczy Dziwna. Odkąd po raz pierwszy uniosła głowę, Ymeene musiała samotnie dźwigać brzemię własnej dziwności.

Krogulce to dumne ptaki, które nie tolerują na swoim terenie intruzów i najbardziej ze wszystkiego lubią porządną, krwawą bitkę. Ymeene nie była wyjątkiem. Kiedy wybuchł zatarg między jej rodziną a stadem jastrzębi, walczyła dzielnie, chcąc pokazać braciom, że wcale nie jest gorszym krogulcem od nich. Intruzi byli więksi, silniejsi i mieli liczebną przewagę, ale ojciec Ymeene nie chciał się pogodzić z porażką nawet wtedy, kiedy w potyczkach z przeciwnikiem zaczęły ginąć jego dzieci. Ostatecznie zdołali odpędzić jastrzębie, ale Ymeene wyszła z walk poraniona, a z rodzeństwa został jej tylko jeden brat. Zaczęła się zastanawiać, po co właściwie była im ta cała walka. Zapytała ojca, dlaczego po prostu nie uciekli i nie zamieszkali w nowym gnieździe.

— Trzeba było bronić honoru rodziny — rzekł.

— Ale teraz już nie ma rodziny — odpowiedziała Ymeene. — Co nam po honorze?

— Sądzę, że ktoś taki jak ty nigdy tego nie zrozumie — odpowiedział ojciec. Wygładził dziobem pióra, wzbił się w powietrze i odleciał polować.

Ymeene nie dołączyła do niego. Zbrzydła jej krew, zbrzydły jej też walki i polowania, co u krogulca było nawet dziwniejsze niż to, że od czasu do czasu zmieniała się w człowieka.

„Być może w ogóle nie miałam być krogulcem” — pomyślała sobie, opadając z trzepotem skrzydeł na leśne runo i lądując już na ludzkich nogach. „Może urodziłam się w niewłaściwym ciele”.

Ymeene długo wędrowała. Trzymała się blisko ludzkich osiedli, które obserwowała z bezpiecznego miejsca w koronach drzew. Ponieważ przestała polować, głód w końcu dodał jej odwagi i zapuściła się pieszo do jakiejś wioski, gdzie wykradła trochę ludzkiej żywności: prażone ziarno, które ludzie rzucali kurom, świeżo upieczone paszteciki studzące się na parapecie, garnek zupy pozostawiony bez nadzoru — i stwierdziła, że nowe jedzenie całkiem jej smakuje. Żeby móc się

porozumieć, nauczyła się trochę mowy ludzi i przekonała się, że ludzkie towarzystwo odpowiada jej jeszcze bardziej niż ludzkie pożywienie. Podobało jej się, że ludzie się śmieją, że śpiewają i okazują sobie miłość. Udała się zatem do pierwszej napotkanej wioski, żeby w niej zamieszkać.

Jakiś życzliwy staruszek pozwolił jej nocować u siebie w stodole, a jego żona nauczyła Ymeene szyć, żeby miała w ręku jakiś fach. Wszystko szło gładko do chwili, gdy kilka dni po jej przybyciu miejscowy piekarz zobaczył, jak Ymeene zamienia się w ptaka. W tamtym czasie nie była jeszcze przyzwyczajona do spania w ludzkiej postaci, dlatego co wieczór zmieniała się w krogulca, wlatywała między korony drzew i tam usypiała z głową wsuniętą pod skrzydło. Wstrząśnięci wieśniacy oskarżyli ją o czary i przegonili ze wsi pochodniami.

Rozczarowana, ale niezrażona Ymeene wyruszyła w dalszą wędrówkę i znalazła sobie inną wioskę, w której postanowiła osiąść. Tym razem bardzo uważała, żeby nikt nie zauważył jej przemiany w ptaka, ale mimo to mieszkańcy wsi wydawali się jej nie dowierzać. Większość z nich uważała, że jest w niej coś dziwnego — co było naturalne, bo wychowała się przecież w rodzinie krogulców — toteż wkrótce wypędzono ją i z tej wioski. Zasmuciła się i rozmyślała, czy w ogóle jest jakieś miejsce na świecie, gdzie mogłaby się poczuć naprawdę u siebie.

Pewnego ranka, kiedy była już na skraju rozpacz, położyła się na ziemi i patrzyła, jak słońce wschodzi nad leśną polaną. Widok był tak przepiękny, że na chwilę zapomniała o swoich problemach, a kiedy się skończył, rozpaczliwie zapragnęła zobaczyć go jeszcze raz. Niebo natychmiast zaszło ciemnością, świt rozjarzył się od nowa, a Ymeene uświadomiła sobie, że poza umiejętnością zmieniania własnych kształtów ma jeszcze jeden talent — potrafi sprawić, żeby krótkie chwile powtarzały się wielokrotnie. Przez wiele dni zabawiała się nową umiejętnością, powtarzając sobie pełne gracji jelenie susy albo blask popołudniowego słońca padającego na ziemię ukośnymi snopami, i niezmiernie poprawiło jej to nastrój. Właśnie powtarzała sobie chwilę, w której płatki świeżego śniegu zaczynały otulać ziemię, kiedy przestraszył ją dźwięk ludzkiego głosu.

— Przepraszam, czy to ty tak robisz? — spytał męski głos.

Odwróciła się jak oparzona i zobaczyła chłopaka w krótkim zielonym kaftanie i butach z rybiej skóry. Jego strój był dziwaczny, ale jeszcze dziwniejsze było to, że nieznajomy trzymał pod pachą własną głowę, która w żaden sposób nie łączyła się z szyją.

— To ja przepraszam — odpowiedziała — ale co się stało z twoją głową?

— Bardzo mi przykro! — Chłopak zareagował tak, jakby sobie uświadomił, że ma rozpięty rozporek, i mocno zakłopotany osadził sobie głowę z powrotem na karku. — To bardzo nieuprzejme z mojej strony.

Powiedział, że ma na imię Englebort, a skoro Ymeene i tak nie ma gdzie się podziać, zaprosił ją do swojego obozowiska. Obozowisko było nędzne, składało się

z garstki namiotów i ognisk, na których gotowano żywność. Mieszkało tam kilkadziesiąt osób, a każda była równie dziwna jak Englebert. Byli tak dziwni, że większość przegnano z różnych wiosek, tak samo jak Ymeene. Przyjęto ją tam dobrze, nawet wtedy, kiedy im pokazała, jak się zmienia w krogulca, i oni również pokazali jej swoje niecodzienne talenty. A zatem najwyraźniej nie była jedyna. „Może mimo wszystko jest dla mnie jakieś miejsce na świecie” — pomyślała sobie.

Mieszkańcy wioski byli oczywiście osobliwcami, jednymi z pierwszych w Brytanii. Ymeene nie zdawała sobie sprawy, że trafiła do nich w trakcie jednego z najmroczniejszych okresów w osobliwych dziejach. Wcześniej normalni ludzie darzyli osobliwców akceptacją, a nawet nabożną czcią, i obie grupy żyły ze sobą w zgodzie. Jednak później nastąpiły czasy ciemnoty i zacofania, a zwykli ludzie nabrali podejrzeń wobec osobliwców. Za każdym razem, kiedy dochodziło do jakiejś tragedii, której ludzie nie umieli wyjaśnić na gruncie ówczesnej prymitywnej nauki, osobliwcy stawali się kozłem ofiarnym. Kiedy pewnego ranka mieszkańcy wioski Little Disappointment obudzili się i znaleźli swe owce spalone na skwarki, czy zdali sobie sprawę, że zwierzęta zginęły od piorunów w czasie burzy? Bynajmniej — winę zrzucili na żyjącego wśród nich osobliwca, którego wygnali z wioski na pustkowia. Kiedy pewna szwaczka w miejscowości Stitch nie mogła przestać się śmiać przez cały tydzień, czy sąsiedzi domyślili się, że przyczyną jest zakupiona właśnie partia wełny, w której czyhały roztocza przenoszące zarazki śmiecha? Do podobnych aktów przemocy dochodziło w całej krainie, więc osobliwcy musieli opuścić normalne społeczności i utworzyć grupki podobne do tej, w której znalazła się Ymeene. Nie chodziło im o to, żeby utworzyć jakąś idealną społeczność; po prostu trzymali się razem, bo nikomu innemu nie mogli ufać. Ich przywódcą był osobliwiec nazwiskiem Tombs, rudobrody olbrzym, który na swoje nieszczęście mówił piskliwym głosem wróbla. Jego barwa głosu sprawiała, że innym trudno go było traktować poważnie, jednak on sam podchodził do siebie niezmiernie poważnie i ani na chwilę nie pozwalał nikomu zapomnieć, że jest członkiem Wysokiej Rady Osobliwych Istot<sup>1</sup>. Ymeene unikała Tombsa, bo zadufani mężczyźni trochę jej działali na nerwy. Całe dni spędzała za to ze swoim nowym znajomym: zabawnym i chwilami bezgłowym Englebertem. Pomagała mu pielęgnować ogródek warzywny nieopodal obozowiska i zbierać chrust na ognisko, a on przedstawił jej innych osobliwców. Wszyscy szybko polubili Ymeene, dla której obozowisko stało się nowym domem, a osobliwcy — drugą rodziną. Opowiadała im, jak wygląda życie w postaci krogulca, i zabawiała ich umiejętnością powtarzania czasu: raz udało jej się zapętlić chwilę, w której Tombs potknął się o śpiącego psa, i powtarzała ją dotąd, aż całą wioskę rozbolewały boki ze śmiechu. Oni w zamian opowiadali jej barwne historie z dziejów osobliwców. Przynajmniej na pewien czas zapanował spokój. Ymeene nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła się równie szczęśliwa. Jednak co kilka dni spokój pryskał, bo do obozowiska docierały

ze świata ponure wieści. Stale napływał też tam strumień zdesperowanych osobliw-  
ców uciekających przed terrorem i prześladowaniami. Wszyscy opowiadali tę samą  
znajomą historię: przez całe życie mieszkali spokojnie między zwykłymi ludźmi,  
aż któregoś dnia spadało na nich oskarżenie o jakąś absurdalną zbrodnię i skazy-  
wano ich na wygnanie – i to w najlepszym przypadku, bo niektórym, tak jak nie-  
szczęsnym siostrom ze Stitch, nie udało się nawet ująć z życiem. Przybyłych  
witano gościnnie, tak samo jak wcześniej przyjęto Ymeene, jednak po niemal mie-  
siącu ich stałego napływu wioska rozrosła się z piętnastu do pięćdziesięciu osób.  
W obozowisku zaczęło brakować miejsca i pożywienia. Nie mogło to trwać w nie-  
skończoność, więc osobliwców ogarnęło złe przeczucie. Pewnego dnia do obozo-  
wiska przybył kolejny członek Wysokiej Rady Osobliwych Istot. Chodził z ponurą  
miną i na całe godziny zaszywał się w namiocie Tombsa, a kiedy wreszcie obaj  
wyszli, kazali się wszystkim zgromadzić i wysłuchać złych wieści. Normalni ludzie  
już wcześniej wypędzali osobliwców z różnych wsi i miejscowości, ale teraz posta-  
nowili przegnać wszystkich bez wyjątku z całego hrabstwa Oddford. Zgromadzili  
zbrojny oddział, który już nadciągał do osobliwego obozowiska. Pytanie brzmiało,  
czy powinni walczyć, czy raczej uciekać. Nie trzeba mówić, że osobliwcy zatrwo-  
żyli się i wpadli w rozterkę. Pewna młoda kobieta spojrzała po nich i rzekła: — To  
wzgórze i nasze nędzne namioty nie są tego warte, żeby za nie umierać. Może spa-  
kujemy dobytek i ukryjemy się w lesie? — Nie wiem jak wy, ale ja mam już dość  
uciekania — powiedział Tombs. — Moim zdaniem powinniśmy stanąć do walki.  
Trzeba odzyskać godność! — Tak też brzmi oficjalne zalecenie Rady. — Ponury  
wysłannik pokiwał głową. — Ale my nie jesteśmy żołnierzami — powiedział  
Englebert. — W ogóle nie umiemy walczyć! — Ich oddział jest mały i słabo uzbro-  
jony — wyjaśnił Tombs. — Biorą nas za tchórzy, którzy uciekną na sam widok  
siły. Ale nas nie doceniają. — A czy my nie potrzebujemy broni? — zapytał ktoś.  
— Miecz albo pałek? — Dziwię ci się, Eustachy — odpowiedział Tombs. — Czy  
nie wystarczy, że pociągniesz kogoś za nos, żeby mu odwrócić twarz na lewą  
stronę? — Rzeczywiście — przyznał skruszony mężczyzna. — A ty, Milicencjo  
Neary? Nieraz widziałem, jak oddechem rozpalasz ognisko. Wyobraź sobie, jak  
przerażeni będą ludzie, kiedy na nich zapalisz ubrania! — Aż mam to przed  
oczami! — odpowiedziała Milicencja. — Rzeczywiście, to byłoby naprawdę coś,  
gdyby dla odmiany to oni musieli uciekać. Na te słowa w tłumie rozległy się  
pomruki: „Tak, to byłoby coś”, „Normalni już dawno na to zasłużyli”, „A słyszeli-  
ście, co zrobili z Tytusem Smithem? Porąbali go na kawałki i rzucili na pożarcie  
świniom!”, „Jeśli się teraz nie postawimy, nigdy się to nie skończy!”, „Trzeba  
wymierzyć sprawiedliwość za Tytusa!”, „Sprawiedliwość za nas wszystkich!”.  
W ten sposób członkowie Rady bez większego wysiłku rozjątrzyli osobliwców.  
Nawet łagodny Englebert rwał się do walki. Ymeene — której zrobiło się niedo-  
brze na pierwsze słowa o bitwie — nie mogła tego dłużej słuchać. Po cichu

wymknęła z wioski i ruszyła na długi spacer po lesie. Wróciła o zmroku i zobaczyła Engleberta, który siedział przy ognisku. Nieco opadły w nim emocje, ale nie gotowość do walki. — Chodź stąd razem ze mną — powiedziała mu Ymeene. — Zaczniemy od nowa w jakimś innym miejscu. — A dokąd pójdziemy? — zapytał. — Chcą nas przepędzić z całego Oddford! — Jest tyle innych hrabstw! Wont. The-reford. Peacewick. Co wolisz: umrzeć w Oddford czy żyć w jakimś innym miejscu? — Jest ich tylko kilkudziesięciu — powiedział Englebert. — Jak by to wyglądało, gdybyśmy uciekli przed tak znikomym zagrożeniem? Nawet jeśli zwycięstwo było niemal pewne, Ymeene nie chciała mieć z tym nic wspólnego. — Jak by to wyglądało? Dla wyglądu nie warto poświęcić nawet włosa z głowy, a co dopiero czyjeś życie! — Czyli nie staniesz do walki? — Ja już straciłam na wojnie rodzinę. Nie zamierzam patrzeć, jak następna wystawia się na zgubę. — Jeśli sobie pójdziesz, uznają cię za zdrajczynię — powiedział Englebert. — Nie będziesz mogła wrócić. Popatrzyła na niego. — A ty za kogo mnie uznasz? Englebert wpatrywał się w płomienie, próbując dobrać słowa. Zapadłe milczenie wystarczyło jej za odpowiedź, dlatego Ymeene wstała i poszła do swojego namiotu. Kiedy ułożyła się do snu, ogarnął ją wielki smutek. Była przekonana, że to jej ostatnia noc w ludzkiej postaci. Opuściła wioskę o pierwszym brzasku, kiedy wszyscy jeszcze spali. Wiedziała, że nie zniesie pożegnań. Doszła do skraju obozowiska i tam zmieniła się w krogulca. Zerwała się do lotu, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś znajdzie grupę — czy to ludzi, czy ptaków — która przyjmie ją do siebie. Po paru minutach spędzonych w powietrzu Ymeene zauważyła w dole oddziały normalnych ludzi. Nie była to jednak luźna brygada złożona z kilkudziesięciu osób — maszerująca armia liczyła setki żołnierzy, których połyskujące zbroje pokrywały całe zbocza wzgórz. Osobliwców czeka rzeź! Natychmiast zawróciła i poleciała ich przestrzec. Znalazła namiot Tombsa i opowiedziała członkowi Rady, co zobaczyła. Nie wydawał się zaskoczony. Doskonale o tym wiedział. — Dlaczego im nie powiedziałaś, że nadciąga tyle wojska? — spytała Ymeene. — Okłamałaś ich! — Byliby przerażeni — wyjaśnił. — Nie zdołaliby zachować godności. — I o to chodzi, żeby byli przerażeni! — krzyknęła. — Już dawno trzeba było uciekać! — To nic by nie dało — powiedział. — Król normalnych ludzi nakazał oczyścić Brytanię z osobliwców od gór aż po morskie wybrzeża. W końcu i tak by nas znaleźli. — Nie znaleźliby nas, gdybyśmy opuścili Brytanię — powiedziała Ymeene. — Opuścili Brytanię? — Tombs był wstrząśnięty. — Żyjemy tu od stuleci! — A teraz przez kolejne stulecia będziemy tu martwi — odpowiedziała Ymeene. — To kwestia honoru — odparł. — Nie sądzę, żeby ptak był w stanie to zrozumieć. — Rozumiem aż za dobrze — odpowiedziała i wyszła z namiotu, żeby ostrzec pozostałych. Było już jednak za późno — armia podchodziła do ich obozu i w oddali było widać rojowisko ciężkozbrojnych żołnierzy. Co gorsza, osobliwcy nie mieli dokąd uciekać — normalni ludzie zamykali ich ze wszystkich stron. Przerażeni osobliwcy stłoczyli się w obo-

zowisku. Śmierć wydawała się nieunikniona. Ymeene mogła bez trudu zmienić postać i odlecieć w bezpieczne miejsce — osobliwi przyjaciele wręcz ją do tego namawiali — ale nie potrafiła się na to zdobyć. Jej przyjaciele zostali oszukani, wystrychnięci na dudka, dlatego ich ofiara nie była już dobrowolna. Gdyby teraz uciekła, nie miałyby poczucia, że postępuje zgodnie ze swoimi zasadami, tylko że zdradza i porzuca przyjaciół. Dlatego przeszła przez obozowisko, mocno przytulając przyjaciół. Englebert przytulił ją najmocniej, a kiedy ją puścił, długo nie spuszczał z niej wzroku. — Co robisz? — zapytała. — Staram się zapamiętać twarz przyjaciółki — powiedział — żeby ją pamiętać nawet po śmierci. Umilkli, a w całym obozowisku również zapadła cisza. Przez jakiś czas słychać było tylko grzmot kroków i szcęk broni nadciągającej armii. Nagle zza ciemnej chmury wyszło słońce i skąpało krajobraz w połyskliwym świetle. Ymeene poczuła, że ten widok jest tak piękny, iż chciałaby go zobaczyć raz jeszcze, zanim wszyscy zginą. Powtórzyła go więc, a osobliwcy byli tak urzeczeni, że powtórzyła go raz jeszcze. Dopiero wtedy zauważyli, że przez tych parę minut, gdy przyglądali się słońcu, armia nie zdołała się zbliżyć. Za każdym powtórzeniem wrogowie blaknęli, znikali i pojawiali się z powrotem kilkaset metrów dalej. W tamtej chwili Ymeene zrozumiała, że jej umiejętność tworzenia czasowych pętli można wykorzystać w sposób, którego wcześniej nie rozumiała — a który miał na zawsze odmienić losy osobliwej społeczności, choć oczywiście wtedy nie mogła jeszcze tego wiedzieć. Stworzyła dla wszystkich bezpieczne miejsce: bankę nieruchomego czasu, w której osobliwe istoty mogły się przypatrywać zafascynowane, jak armia normalnych ludzi raz za razem przybliżyła się, blaknie i znika, zamknięta w trzyminutowej pętli. — Jak długo możesz to powtarzać? — zapytał Englebert. — Nie wiem — przyznała. — Niczego jeszcze nie powtarzałam więcej niż kilka razy. Ale wydaje mi się, że dość długo. Tombs wypadł z namiotu, zdeorientowany i wściekły. — Co ty wyprawiasz? — krzyknął do niej. — Przestań! — Dlaczego mam przestać? — spytała. — Ratuje nam wszystkim życie! — Tylko odwlekasz nieuniknione — odparł Tombs. — Mocą władzy Wysokiej Rady nakazuję ci natychmiast przestać! — Niech diabli wezmą waszą Radę! — zawołała Milicencja Neary. — Zwykli z was kłamcy! Tombs zaczął wyliczać kary, które spadną na każdego, kto się sprzeciwi poleceniom Rady, ale podszedł do niego Eustachy Corncrake i pociągnął go za nos, wywracając mu twarz na lewą stronę. Tombs (teraz z miękką, różową głową) zaskowyczał i uciekł, miotając pogrózki. Tymczasem Ymeene nie przestawała zapętlać czasu. Osobliwi towarzysze zebrali się wokół niej i nie szczędzili jej słów zachęty, lecz w głębi duszy martwili się, że nie zdoła tego przeciągać w nieskończoność. Ymeene obawiała się tego samego — musiała powtarzać pętlę co trzy minuty, co oznaczało, że nie może spać, a zatem w końcu jej ciało odmówi posłuszeństwa, a groźnie majacząca w oddali armia zbliży się i ich zmiażdży. Po dwóch dniach i jednej nocy Ymeene poczuła, że w każdej chwili może zasnąć, więc

Englebert zaoferował się, że usiądzie obok i będzie ją szturchał za każdym razem, kiedy zaczną jej się zamykać oczy. Po trzech dniach i dwóch nocach, kiedy już nawet Englebert zaczynał przysypiać, zgłosił się Eustachy Corncrake, mówiąc, że będzie siedział obok i szturchał Engleberta oraz pryskał mu wodą w twarz, kiedy ten zamknie oczy. W końcu całe obozowisko osobliwców siedziało długim rzędem i pomagało sobie nawzajem pomagać Englebertowi pomagać Ymeene, żeby nie usnęła. Po czterech dniach i trzech nocach Ymeene nie opuściła jeszcze ani jednego powtórzenia pętli, jednak z wyczerpania zaczynała już dostawać halucynacji. Wydawało jej się, że na spotkanie przybyli dawno utraceni bracia: pięciu krogulców zataczających własne pętle nad obozowiskiem. Przenikliwym głosem wykrzykiwali słowa, które wydawały się bez sensu: *Raz jeszcze, i raz!*

*I znowu! I znów!*

*Zapętl swą pętlę, podwój ją i wznów!*

Zacisnęła powieki, potrząsnęła głową i łyknęła wody, którą Milicencja Neary właśnie spryskiwała Eustachego Corncrake'a. Kiedy znowu podniosła wzrok, widmowych braci już nie było, ale ich słowa tkwiły jej w głowie. Zaczęła się zastanawiać, czy może bracia — albo jakieś jej własne, ukryte instynkty — nie próbują jej przekazać czegoś cennego. *I znowu, i znów.*

Odpowiedź nasunęła jej się piątego dnia. Nie miała pewności, czy jest właściwa, ale była całkowicie pewna, że kolejnego dnia już nie wytrzyma. Jeszcze trochę i żaden szturchaniec nie uratuje jej przed zaśnięciem. A zatem odnowiła pętlę (już dawno straciła rachubę, ile razy kazała słońcu wyjrzeć zza chmury, ale musiały być tego tysiące). A następnie, kilka sekund po odnowieniu pętli, stworzyła kolejną — wewnątrz pierwszej. Skutek był natychmiastowy i niezwykle dziwaczny. Wszystko w ich otoczeniu — słońce, chmura, odległa armia — uległo dziwnemu podwojeniu, tak jakby jej oczy zaszyły mgłą. Chwilę trwało, zanim obraz świata wyostrzył się na nowo, ale kiedy to nastąpiło, wszystko było odrobinę starsze niż przedtem. Słońce kryło się głębiej za chmurą. Armia znajdowała się w większej odległości. Tym razem trzeba było sześciu minut zamiast trzech, zanim słońce wyjrzało zza chmury. Zatem znowu podwójnie zapętliliła swoją pętlę, co przedłużyło ją do dwunastu minut, a kiedy zrobiła to po raz trzeci, pętla miała już dwadzieścia cztery minuty. Kiedy wydłużyła pętlę do godziny, chwilę się zdrzemnęła. Potem zaczęła zapętląć pętlę dalej i dalej, mając takie wrażenie, jakby napelniała naczynie powietrzem albo wodą — czuła, że jego brzegi się rozszerzają coraz bardziej, żeby pomieścić coraz to więcej czasu, aż w końcu naczynie napięło się jak skóra bębna i poczuła, że już więcej czasu się w nim nie zmieści. Pętla Ymeene miała teraz całą dobę długości i zaczynała się poprzedniego ranka, na długo przed pojawieniem się wrogiej armii na horyzoncie. Wdzięczni osobliwcy byli pod takim wrażeniem, że próbowali zwracać się do Ymeene „Królowo” i „Wasza Wysokość”, ale kazała im przestać. Była po prostu Ymeene i największą radość sprawiało jej to, że stworzyła bez-

pieczne miejsce — gniazdo — dla swoich przyjaciół. Choć teraz byli zabezpieczeni przed napaścią normalnych ludzi, ich problemy wcale się nie skończyły. Armia, która o mały włos ich nie zniszczyła, teraz zwróciła się przeciw innym osobliwcom w całej krainie i kiedy rozeszła się wieść o pętli czasu w Oddford, zaczęło do nich napływać coraz więcej ocalałych uchodźców<sup>2</sup>. Nie minęło kilka tygodni, a liczba mieszkańców podwoiła się z pięćdziesięciu do stu. Było wśród nich kilku członków Wysokiej Rady Osobliwych Istot (w tym Tombs, którego twarz przekreśliła się już z powrotem na właściwą stronę). Członkowie Rady wprawdzie nie dążyli już do zamknięcia pętli, za to próbowali okazać swoją władzę, wzbraniając wstępu nowym przybyszom. Jednak wszyscy woleli słuchać Ymeene — w końcu to jej dziełem była pętla — a ona nie chciała nawet słuchać o odtrącaniu nowo przybyłych, mimo że obozowisko pękało w szwach. Członkowie Rady rozżalili się i zaczęli wszystkim grozić karami. Na to ludzie również ogarnął gniew. Oskarżyli Radę, że kłamstwem i podstępem popchnęła ich ku wojnie. Członkowie Rady rzucili winę na Tombsa, mówiąc, że działał w pojedynkę — co było oczywistą nieprawdą — i że pozostali członkowie nie dali zgody na kłamstwo, którego się dopuścił. Zwrócili się także przeciw Ymeene i oskarżyli ją, że bezprawnie sprawuje władzę, która powinna należeć do nich, co stanowiło przestępstwo karane wygnaniem na Surowe Pustkowia. Słyszając to, ludzie stanęli w jej obronie. Zaczęli ciskać w członków Rady błotem (niewykluczone, że z domieszką różnych nieczystości) i przegnali ich ze swojej pętli<sup>3</sup>. Po tych wydarzeniach osobliwcy oddali się przywództwu Ymeene. W następnych tygodniach nie tylko utrzymywała czas w zapełnieniu, ale też proszono ją, żeby rozstrzygała prywatne zatargi i decydowała, które z licznych zasad i reguł stworzonych przez Radę mają zachować, a które odrzucić, jak należy karać osoby łamiące zasady i tak dalej. Ymeene szybko się przystosowała do nowej roli, ale była też nią mocno zbita z tropu. Ze wszystkich osobliwców w pętli to ona była najmłodsza i najmniej doświadczona. Przecież w ludzkiej postaci żyła w pełni dopiero od sześciu miesięcy! Jednak towarzysze uważali, że brak doświadczenia działa na jej korzyść: miała świeże i bezstronne spojrzenie, była neutralna i uczciwa, a jej sposób bycia miał w sobie mądrość i godność właściwą raczej światu ptaków niż ludzi. Jednak przy całej swojej mądrości Ymeene nie potrafiła rozwiązać ich największego problemu: jak ponad setkę osobliwców zmieścić w obozowisku mającym niewiele ponad sto kroków długości. Do raz utworzonej pętli można było dołożyć więcej czasu, ale nie przestrzeni, a Ymeene otoczyła nią tylko ich niewielkie obozowisko złożone z kilkudziesięciu namiotów. Nie mieli za wiele żywności i choć zapasy odnawiały się codziennie za powtórzeniem pętli, jedzenia nigdy nie starczało dla wszystkich. (Na zewnątrz pętli nastąpiła surowa zima i nie było wielu okazji do polowania czy zbierania leśnych owoców. Łatwiej niż na posiłek można się było natknąć na czyhającą gromadę normalnych ludzi ogarniętych obsesją odnalezienia osobliwców, którzy wciąż znikali im przed



nosem). Pewnego wieczoru Ymeene rozmawiała o tym z Englebertem, kiedy siedzieli przy ognisku w tłumie innych osób. — Co począć? — spytała. — Jeśli tu zostaniemy, czeka nas śmierć z głodu, a jeśli się stąd ruszymy, upolują nas jak zwierzynę. Englebert zdjął głowę, położył ją sobie na kolanach i obiema dłońmi drapał się po jej czubku, jak to miał w zwyczaju, kiedy się nad czymś mocno zastanawiał. — Czy dałabyś radę stworzyć większą pętlę gdzieś indziej, gdzie będzie więcej pożywienia? — zapytał. — Gdyby udało się wymknąć niepostrzeżenie, moglibyśmy się wszyscy przenieść w jakieś inne miejsce. — Może kiedy przyjdzie odwilż. Gdybym teraz zrobiła nową pętlę, pewnie i tak zamarzlibyśmy na śmierć. — No to zaczekajmy — powiedział. — Trzeba będzie trochę pogłodować, dopóki nie przyjdzie porządna odwilż. — A wtedy co? — spytała. — Pojawią się następni osobliwcy w trudnej sytuacji i zaraz przestaniemy się mieścić w nowej pętli. Tak czy inaczej dojdziemy do ściany. Nie mogę brać na siebie takiej odpowiedzialności. Englebert westchnął i podrapał się po głowie. — Gdybyś tak mogła samą siebie skopiować... Ymeene zrobiła dziwną minę. — Co powiedziałaś? — Gdybyś tak mogła samą siebie skopiować — powtórzył Englebert. — Wtedy mogłabyś zrobić więcej pętli, a my nie musielibyśmy się tak tłoczyć. Martwię się, że jest nas aż tyle w jednym miejscu. Zaraz się porobią grupki, zaczną się niesnaski i bójki. A gdyby naszą pętlę spotkała jakaś tragedia, Brytania za jednym zamachem straciłaby połowę osobliwej ludności. Ymeene siedziała naprzeciwko Engleberta, ale wzrok miała utkwiony w przestrzeń. — O co chodzi? — spytał. — A może wpadłaś na jakiś sposób, żeby samą siebie skopiować? — Być może — odpowiedziała. — Być może. Nazajutrz Ymeene zgromadziła osobliwych towarzyszy i wyjaśniła, że na jakiś czas musi ich opuścić. Zapewniła ich, że zdąży wrócić i odnowić pętlę, ale i tak przez tłum przeszła fala paniki. Błagali, żeby nie zostawiała ich samych, ale wyjaśniła, że od tego zależy ich ocalenie. Powierzyła zwierzchnictwo Englebertowi, przybrała ptasie kształty i wyfrunęła z pętli po raz pierwszy od jej utworzenia. Unosząc się nad zamarzniętymi lasami Oddford, każdemu napotkanemu ptakowi zadawała to samo pytanie: „Czy znasz jakieś ptaki, które potrafią się zmieniać w człowieka?”. Szukała przez cały dzień i całą noc, ale wszędzie słyszała same przeczące odpowiedzi. Wróciła do pętli późnym wieczorem zmęczona i zniechęcona, lecz nie poddała się. Odnowiła pętlę, odpowiedziała wymijająco na pytania Engleberta i znowu odfrunęła bez chwili odpoczynku. Szukała tak i szukała, aż z wysiłku rozbolały ją skrzydła i oczy. Myślała sobie: „Przecież to chyba niemożliwe, żebym na całym świecie była jedna jedyna”. Kiedy kolejny długi dzień upłynął jej na bezskutecznych poszukiwaniach, była niemal przekonana, że na świecie nie ma drugiej takiej jak ona. Na myśl o tym poczuła rozpacz — oraz rozpaczliwą samotność. I wtedy, kiedy słońce zachodziło i już miała wracać do swojej pętli, przelatując nad leśną polaną, zauważyła pod sobą grupkę pustulek, a między nimi młodą kobietę. Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Pustułki dostrzegły ją,

zerwały się do lotu i rozpierzchły nad puszczą. W tym zamieszaniu młoda kobieta jakby zniknęła. Ale jak mogła zniknąć tak szybko? Czyżby zmieniła się w pustułkę i odleciała z pozostałymi? Ymeene zanurkowała w powietrzu i zaczęła ścigać ptaki, poszukując ich przez całą godzinę. Jednak pustułki w naturze często padają ofiarą krogulców, dlatego Ymeene budziła w nich przerażenie. Trzeba będzie do tego podejść inaczej. Zrobiło się ciemno. Ymeene wróciła do pętli, odnowiła ją, łapczywie pochłonęła pięć uprażonych kłosów zboża i dwie miski zupy z porów — od latania przez cały dzień nabrała wielkiego apetytu — i następnego ranka powróciła do lasu pustulek. Tym razem nie dotarła na polanę z powietrza jako krogulec, lecz pieszo, w ludzkiej postaci. Na jej widok pustułki wzbiły się powietrze i usiadły na drzewach, przyglądając jej się uważnie, ale bez obawy. Ymeene stanęła na środku polany i odezwała się do nich — nie w mowie ludzkiej ani krogulczej, lecz łamanym językiem pustulek, na tyle na ile go znała i mogła go z siebie wydać ludzkim gardłem. — Jedna z was jest inna od reszty — powiedziała. — Do tej młodej kobiety zwracam się teraz. Jesteś i ptakiem, i człowiekiem. Nie wiem, czy to kłątwa, czy błogosławieństwo, ale jestem taka sama i bardzo chcę z tobą porozmawiać. Istota ludzka mówiąca językiem pustulek była takim widowiskiem, że przez korony drzew poniosła się fala gorączkowego ćwierkania, po czym Ymeene usłyszała trzepot skrzydeł. Parę chwil później zza pnia drzewa wychyliła się młoda kobieta. Miała ciemną, gładką skórę, krótko przycięte włosy i wysoką, kościstą sylwetkę, która przywodziła na myśl ptaka. Przed chłodem chroniło ją odzienie z futra i skóry. — Rozumiesz mnie? — Ymeene zapytała po angielsku. Młoda kobieta niepewnie skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Trochę”. — Znasz język ludzi? — zapytała Ymeene. — *Si, un poco* — odpowiedziała kobieta. Ymeene rozpoznała ludzką mowę, ale nie zrozumiała słów. Może kobieta należy do wędrownego klanu i nauczyła się mówić w jakimś innym kraju. — Nazywam się Ymeene — powiedziała, wskazując na siebie. — A ty? Młoda kobieta odchrząknęła i wydała głośny okrzyk w języku pustulek. — Może na razie będę do ciebie mówić „panno Pustulko” — powiedziała Ymeene. — Panno Pustulko, chciałabym ci zadać ważne pytanie. Czy kiedyś zrobiłaś tak, żeby coś się stało więcej niż raz? Zakreśliła palcem szeroki krąg w powietrzu, mając nadzieję, że kobieta zrozumie, o co jej chodzi. Panna Pustulka przybliżyła się o parę kroków z szeroko otwartymi oczami. W tej samej chwili z gałęzi posypał się na ziemię śnieg, a panna Pustulka machnięciem ramion sprawiła, że śnieg zniknął z ziemi i znowu spadł z drzewa. — Świetnie! — zawołała Ymeene. — Ty też to potrafisz! Ona również machnęła ręką i sprawiła, że śnieg spadł raz jeszcze, a panna Pustulka aż otworzyła usta ze zdumienia. Ze śmiechem podbiegły do siebie i chwyciły się za ręce, pokrzykując z podnieceniem i obejmując się nawzajem, a każda trajkotała z ożywieniem w języku, który druga tylko z trudem mogła zrozumieć. Pustułki w koronach drzew też były uszczęśliwione. Odgadując, że Ymeene ma przyjazne zamiary, sfrunęły ze

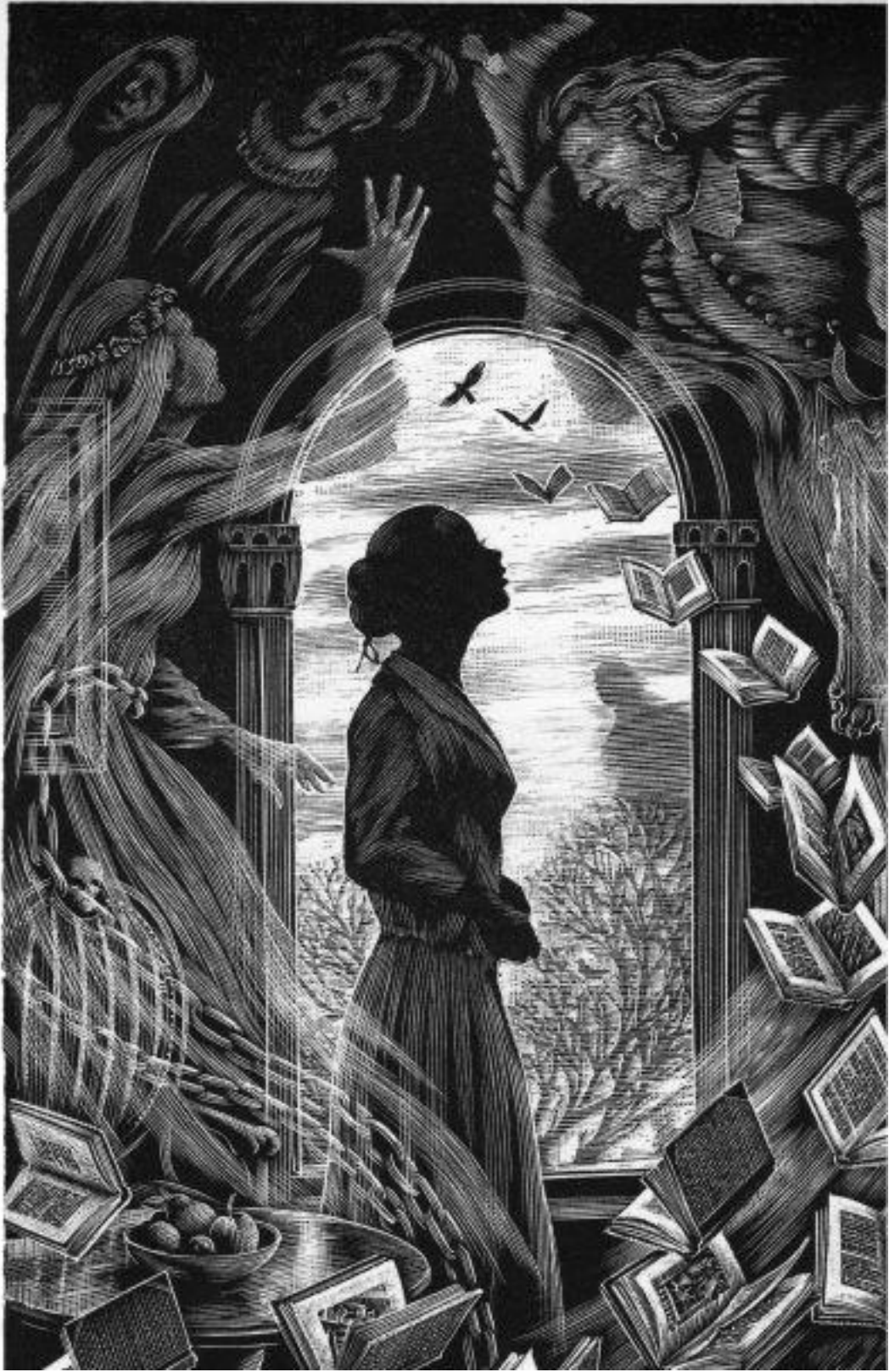
swoich gałęzi i trzepotały wokół kobiet skrzydłami, ćwierkając z ekscytacji. Ymeene poczuła trudną do opisania ulgę. Choć sama stanowiła osobliwość nawet wśród osobliwców, teraz już wiedziała, że nie jest sama. Takich jak ona jest więcej, a zatem — kto wie — być może osobliwa społeczność nie musi już odchodzić od zmysłów ze strachu i może będą mogli żyć bezpiecznie, wolni od krótkowzrocznych kaprysów zadufanych w sobie mężczyzn. Był to zaledwie pierwszy przebłysk tego, jaki kształt przybierze ich społeczeństwo, ale wiedziała, że odnalezienie panny Pustułki jest momentem ważnym i przełomowym. Rozmawiały swoim łamanym językiem prawie godzinę, a na koniec panna Pustułka zgodziła się polecieć za Ymeene do jej pętli. Reszta, jak to mówią, jest historią. Panna Pustułka zamieszkała wśród osobliwców. Ymeene nauczyła ją wszystkiego, czego się dowiedziała o pętlach czasu, i wkrótce panna Pustułka sama potrafiła utrzymać ich pętlę w istnieniu. Dzięki temu Ymeene mogła wyruszyć na dalsze wyprawy w poszukiwaniu kobiet-ptaków, które tak jak one umiałyby zapętląć czas. W ten sposób ich liczba urosła do pięciu i kiedy nowo przybyłe odebrały szkolenie, a surowa, głodna zima stopniała i zmieniała się w wiosnę, podzieliły pomiędzy siebie osobliwych towarzyszy i wyruszyły w różne strony ich krainy, żeby utworzyć kolejne stałe pętli. Miejsca te traktowano jako bezpieczną przystań: miejsca wolne od strachu, w których panował ład i porządek. Wieść niosła się szybko i szukali w nich schronienia ocaleni osobliwcy z całej Brytanii, choć zanim dołączyli do pozostałych, musieli obiecać, że będą przestrzegać zasad ustalonych przez kobiety-ptaki. Kobiety nazywano ymeenami na cześć pierwszej z nich, jednak upływ czasu i zmiany językowe w Brytanii sprawiły, że słowo to zmieniło się w „ymbrynkę”. Dwa razy do roku ymbrynki spotykały się na posiedzeniach własnej rady, gdzie mogły się dzielić mądrością i ustalać zasady współpracy. Przez wiele lat spotkaniom przewodniczyła sama Ymeene, która patrzyła z dumą na rosnącą sieć ymbrynek i ich pętli, w których chroniły się już setki osobliwych towarzyszy. W szczęściu dożyła pięknego wieku stu pięćdziesięciu siedmiu lat. Przez cały ten czas dzieliła z Englebertem wspólny dom (ale nie pokój), bo darzyli się nawzajem spokojną i zażyłą miłością. Na koniec zabrała ją z tego świata zaraza zwana Czarną Śmiercią, która wielokrotnie bez litości spadała na Europę. Po odejściu Ymeene żyjący jeszcze osobliwi towarzysze, których ocaliła, wyprawili się z narażeniem życia przez wrogie ziemie, żeby w wielkim orszaku zanieść jej ciało do puszczy, a Englebert — na tyle, na ile sam pamiętał — pokazał im drzewo, w którego gałęziach przyszła na świat. Tam pochowali ją wśród jego korzeni<sup>4</sup>. Wysoka Rada Osobliwych Istot, w której zasiadali wyłącznie mężczyźni, powstała na długo przed Radą Ymbrynek. Liczyła sobie dwunastu członków i spotykała się dwa razy do roku, żeby spisywać i zmieniać prawa obowiązujące osobliwców. Prawa dotyczyły głównie rozstrzygania sporów (pojedynki były dozwolone) i okoliczności, w których osobliwcy mogli korzystać ze swoich zdolności przy normalnych ludziach (kiedy tylko chcieli), a także wyli-

czały niezliczone kary za łamanie zasad (od nagany aż po wygnanie). ⇐


Choć baśń o tym nie wspomina (zapewne dlatego, że byłaby wtedy zbyt długa), w tym samym okresie dokonano wielu nadzwyczajnych odkryć związanych z naturą i działaniem pętli czasu. Wystarczy tu wymienić zjawisko zatrzymanego starzenia, ograniczenia dotyczące dostępu do pętli dla normalnych ludzi, podwójne wyjścia z pętli prowadzące w przeszłość i przyszłość, a być może nawet zręby teorii strumieni czasu i problemy związane ze strumieniami równoległymi. Sprawia to, że Ymeene była nie tylko pierwszą ymbrynką w Brytanii, ale także pionierką naukowego badania zjawiska pętli czasu. Nie należy również zapominać o zasługach jej przyjaciela Engleberta, który w swojej zdejmowanej głowie nosił przenikliwy umysł naukowca, i gdyby nie jego szczegółowe notatki, wiele z przełomowych odkryć Ymeene poszłoby w zapomnienie. ⇐

To zarzewie oddolnego buntu dało początek matriarchalnym rządóm ymbrynek w świecie osobliwców, jednak odchodzenie od rządów mężczyzn nie dokonało się z dnia na dzień. Rada i jej poplecznicy nie oddali łatwo władzy i w późniejszych latach zorganizowali wiele nieudanych zamachów stanu. Ale to już opowieść na zupełnie inną porę. ⇐

Przez wiele lat do drzewa Ymeene przybywali osobliwi pielgrzymi, jednak miejsce, w którym się znajdowało, dawno już popadło w zapomnienie. Zachowała się za to jedna z brązowo-czarnych lotek z jej ogona, którą do dziś można oglądać w Panteonie Znakomitości, gdzie jest bezpiecznie przechowywana za szkłem. ⇐  
wicy? Bynajmniej — obwinili dwie osobliwe siostry, które zaraz powiesili.



## O kobiecie, która przyjaźniła się z duchami



Była raz pewna osobliwa kobieta imieniem Hilda. Miała wysoki, roześmiany głos, ciemnobrązową skórę i widziała duchy. Wcale się ich nie bała. Jej siostra bliźniaczka utonęła w dzieciństwie i kiedy Hilda dorastała, siostra była jej najlepszą przyjaciółką. Wszystko robiły razem: biegały wokół domu po polach porośniętych makami, bawiły się na błoniu w kije-tęgobije i do później nocy opowiadały sobie przerażające historie o żywych ludziach. Duch siostry nawet chodził z nią do szkoły. Siostra rozśmieszała Hildę, strojąc do nauczycielki niegrzeczne miny, których nikt inny nie widział, i pomagała jej na egzaminach, zaglądając innym uczniom do zeszytów i szepecząc jej odpowiedzi do ucha. (Równie dobrze mogłaby je krzyczeć na głos, bo i tak nie usłyszałby jej nikt oprócz Hildy, ale szeptanie wydawało im się roztropniejsze — nigdy nic nie wiadomo).

Kiedy Hilda obchodziła osiemnaste urodziny, siostra musiała wyjechać w jakiejś sprawie związanej z duchami.

— Kiedy wrócisz? — zapytała strapiona Hilda.

Odkąd siostra umarła, nie rozstawały się nawet na jeden dzień.

— Nie będzie mnie przez wiele lat — odpowiedziała siostra. — Będę za tobą okropnie tęsknić.

— Na pewno nie tak, jak ja za tobą — powiedziała Hilda zrozpaczonym tonem.

Siostra przytuliła ją z widmowymi łzami w oczach.

— Spróbuj się z kimś zaprzyjaźnić — poradziła i zniknęła.

Hilda spróbowała pójść za radą siostry, ale jeszcze nigdy nie przyjaźniła się z żywą osobą. Przyjęła zaproszenie na przyjęcie, ale nie potrafiła się zmusić do rozmowy. Ojciec umówił ją na podwieczorek z córką kolegi z pracy, jednak Hilda zachowywała się sztywno i niezręcznie, a jedyne pytanie, jakie jej przyszło do głowy, to: „Czy bawiłaś się kiedyś w kije-tęgobije?”.

— To zabawa dla dzieci — odpowiedziała kobieta, a następnie znalazła jakąś wymówkę, żeby się pożegnać przed końcem podwieczorku.

Hilda przekonała się, że woli towarzystwo duchów niż żywych ludzi, więc postanowiła zaprzyjaźnić się z jakimś duchem. Kłopot polegał na tym, że nie wiedziała jak. Wprawdzie widziała duchy, ale nie było łatwo z nimi rozmawiać. Rzecz w tym, że duchy są trochę jak koty — nigdy ich nie ma, kiedy tego chcemy, i rzadko reagują na wołanie<sup>1</sup>.

Hilda udała się na cmentarz. Całymi godzinami stała i czekała, ale żaden duch nie podchodził, żeby z nią porozmawiać. Przyglądały jej się tylko z daleka,

nieufne i niechętnie. Pomyślała, że już od dawna nie żyją i może dlatego nauczyły się nie ufać żyjącym. W nadziei, że łatwiej jej będzie zaprzyjaźnić się z kimś niedawno zmarłym, zaczęła chodzić na pogrzeby. Ponieważ jej znajomi nie umierali zbyt często, musiała chodzić na pogrzeby nieznanym osobom. Kiedy żałobnicy pytali ją, co robi na pogrzebie, Hilda kłamała, że jest daleką krewną, a potem pytała, czy zmarły był miły i czy lubił biegać po polach albo bawić się w kije-tęgo-bije.

Żałobnicy brali ją za dziwaczkę (trzeba przyznać, że mieli rację), a duchy, wyczuwając dezaprobatę krewnych, odtrącały przyjaźń Hildy.

Mniej więcej w tym czasie zmarli rodzice Hildy.

„Może z ich duchami uda się zaprzyjaźnić” — pomyślała sobie, ale nic z tego, rodzice dołączyli do jej zmarłej siostry i Hilda została całkiem sama.

Wpadła na nowy pomysł: sprzeda dom rodziców, a za uzyskane pieniądze kupi dom nawiedzony, gdzie duch będzie częścią transakcji! Zaczęła się rozglądać za nowym domem. Sfrustrowana agentka nieruchomości uznała ją za dziwaczkę (trzeba przyznać, że miała rację), bo co jej pokazała jakiś ładny dom, Hilda pytała tylko, czy doszło w nim do jakiejś potworności, na przykład morderstwa albo samobójstwa, a najlepiej jednego i drugiego, i w ogóle nie zwracała uwagi na przestronną kuchnię ani doskonale doświetlony salon, tylko szła się rozejrzeć po strychu i piwnicach.

W końcu znalazła dom, który był nawiedzony jak należy, i ten kupiła. Jednak dopiero po przeprowadzce zdała sobie sprawę, że duch nawiedzał dom zaledwie na część etatu. Pojawiał się co kilka nocy, żeby trochę pobrzęczeć łańcuchami i potrzaskać drzwiami.

— Nie idź jeszcze — poprosiła Hilda, biegnąc za duchem, który właśnie opuszczał dom.

— Przepraszam, ale mam jeszcze kilka innych domów do nawiedzenia — odpowiedział duch i pośpiesznie się oddalił.

Hilda poczuła się oszukana. Tyle się natrudziła, żeby znaleźć nawiedzony dom, a ten, który kupiła, najwyraźniej był nawiedzony za mało! Doszła więc do wniosku, że musi znaleźć najbardziej nawiedzony dom na świecie. Nakupowała książek o nawiedzonych domach i zaczęła gromadzić na ich temat informacje. Dopytywała się też ducha straszącego u niej na część etatu, wykrzykując za nim pytania, kiedy biegał po domu, żeby tu i ówdzie szczerknąć łańcuchem albo trzasnąć drzwiami (duch zawsze wydawał się spóźniony na jakieś wyjątkowo ważne nawiedzenie, ale Hilda starała się nie brać tego do siebie).

Duch rzucił coś o jakiejś „Kłimbrze” i pośpiesznie się oddalił. Hilda odkryła, że rzeczywiście istnieje takie miasto w Portugalii (jego nazwę pisało się Coimbra). To wiedząc, już dość łatwo znalazła najbardziej nawiedzony dom w mieście. Skontaktowała się z mieszkającym tam człowiekiem, a on odpisał, że dzień i noc doku-

czają mu bezcielesne wrzaski, a butelki same spadają u niego ze stołu. Hilda odpi-  
sała, że brzmi to niezwykle przyjemnie. Mężczyzna uznał to za dziwactwo z jej  
strony, ale jej list był bardzo miły, więc kiedy zaproponowała, że odkupi od niego  
dom, odmówił jej najuprzejmiej, jak potrafił. Wyjaśnił w liście, że dom pozostaje  
w jego rodzinie od wielu pokoleń, i w ich rękach musi pozostać. Ten dom — wyja-  
śnił — to jego osobiste brzemię.

Hildę zaczynała ogarniać rozpacz. W pewnym szczególnie trudnym momen-  
cie przyszło jej nawet do głowy, czy nie mogłaby sama kogoś zabić w nadziei, że  
będzie ją wtedy nawiedzać duch ofiary, jednak taki pomysł nie wydał jej się obie-  
cującym początkiem przyjaźni i zaraz się rozmyśliła.

W końcu zdecydowała, że skoro nie może kupić najbardziej nawiedzonego  
domu na świecie, to zbuduje go sobie sama. Najpierw wybrała najbardziej nawie-  
dzone miejsce, jakie jej przyszło do głowy: szczyt wzgórza, gdzie w zbiorowej  
mogile pochowano ofiary zarazy. Następnie zebrała najbardziej nawiedzone mate-  
riały budowlane, jakie udało jej się znaleźć — drewno z rozbitego statku, z którego  
katastrofy nikt nie ocalał, cegły z krematorium, kamienne kolumny z domu pracy  
przymusowej dla dłużników, który spłonął z setkami zamkniętych w nim więź-  
niów, a także okna z pałacu szalonego księcia, który otruł całą swoją rodzinę. Hilda  
urządziła dom meblami, dywanami i ozdobami zakupionymi z innych nawiedzo-  
nych domów. Nowy znajomy z Portugalii przesłał jej biurko, z którego codziennie  
punktualnie o trzeciej nad ranem dobiegał płacz niemowlęcia. Dla pewności  
pozwoliła jeszcze przez miesiąc osieroconym rodzinom urządzać w saloniku stypy  
po zmarłych, a następnie doznała rozczarowania — a przynajmniej nie tak od razu.  
Duchy były wszędzie! W domu brakowało wręcz miejsca dla nich wszystkich. Tło-  
czyły się w piwnicy i na strychu, walczyły o miejsca pod łóżkiem i w schowkach,  
a pod drzwiami do łazienki cały czas ustawiała się kolejka. (Oczywiście duchy nie  
korzystały z łazienki, ale lubiły sprawdzać w lustrze fryzury, żeby się upewnić, czy  
ich włosy są należycie rozczochrane i przerażające). O każdej porze dnia i nocy  
tańczyły na trawniku — nie to, żeby duchy jakoś szczególnie lubiły tańczyć, jednak  
ludzie pochowani pod jej domem zmarli podczas epidemii płasawicy<sup>2</sup>. Duchy  
dzwoniły w wodociągowe rury, trzaskały oknami i zrzucały książki z półek. Hilda  
chodziła od pokoju do pokoju, żeby się przedstawić. — Ty nas widzisz? — zapytał  
duch młodego mężczyzny. — I nie boisz się? — W ogóle — odpowiedziała Hilda.  
— Lubię duchy. Czy bawiłeś się kiedyś w kije-tęgobije? — Niestety nie — bąknął  
duch i odwrócił się plecami. Robił wrażenie rozczarowanego, tak jakby bardzo  
liczył, że kogoś przestraszy, a ona pozbawiła go tej szansy. Dlatego kiedy w kuchni  
zobaczyła następnego ducha — starszą kobietę, która sprawiała, że kuchenne noże  
unosyły się w powietrzu — Hilda udąła przestraszoną. — Aaaaa! — krzyknęła  
Hilda. — Co się dzieje z moimi nożami! Czyżbym traciła rozum? Staruszka wyglą-  
dała na ucieszoną. Cofnęła się o krok i uniosła ręce, żeby unieść noże jeszcze



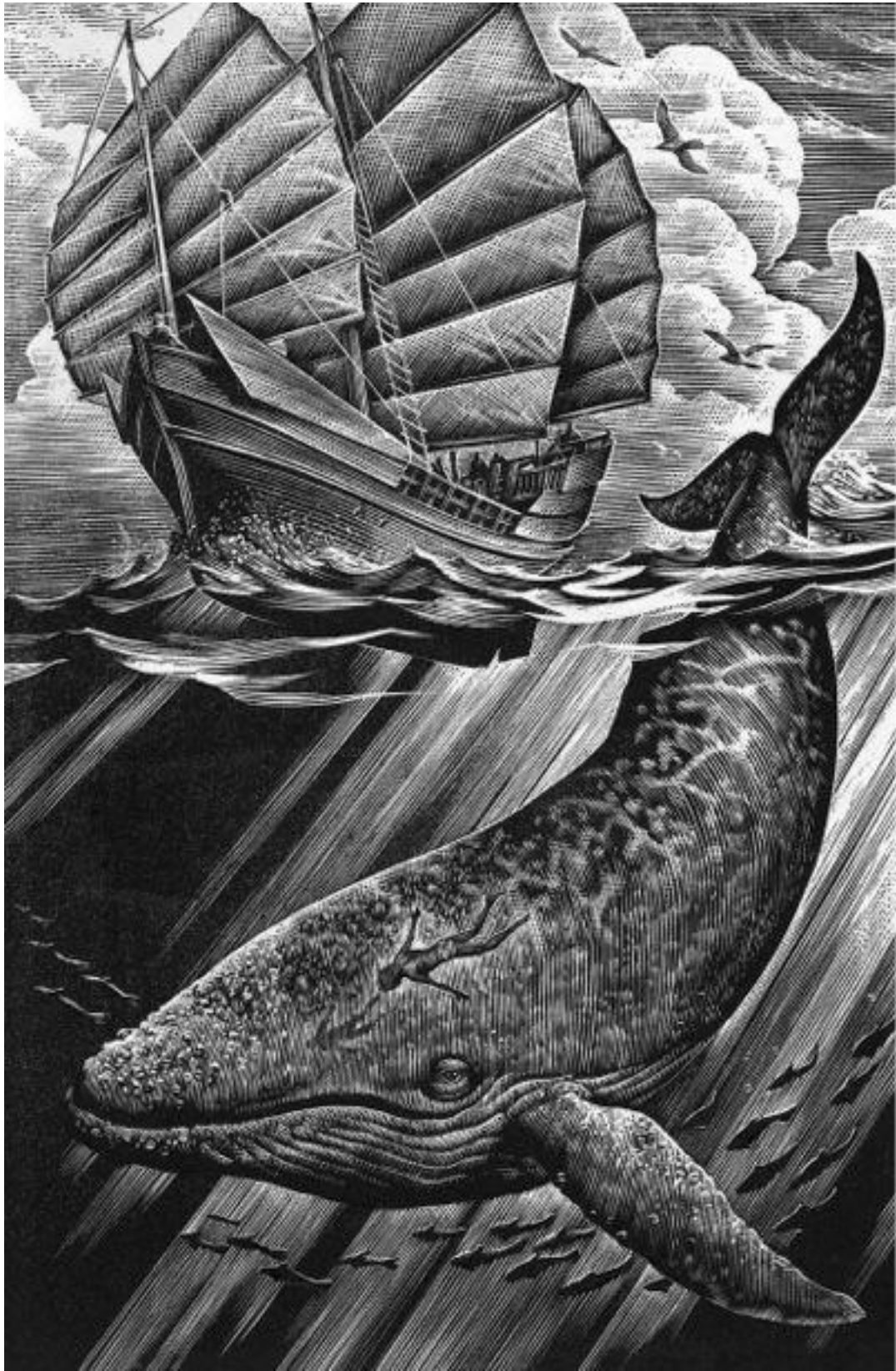
wyżej — i wtedy potknęła się o innego ducha, który akurat czołgał się po podłodze za jej plecami. Duch staruszki padł plackiem na ziemię, a noże pospadały ze szczękiem na kuchenny blat. — Co ty tu wyprawiasz?! — duch staruszki wrzasnął na ducha czołgającego się po podłodze. — Nie widzisz, że tu ludzie pracują? — Trzeba patrzeć, gdzie się idzie! — odwarknął czołgający się duch. — Ach tak, to ja mam patrzeć, dokąd idę? Hilda wybuchła śmiechem, po prostu nie mogła się powstrzymać. Duchy przestały się kłócić i wlepiły w nią wzrok. — Ona chyba nas widzi — powiedział duch czołgający się po podłodze. — Tak, najwyraźniej — odpowiedział duch staruszki. — I wcale się nas nie boi. — Ależ nie, okropnie się boję! — Hilda zdusiła śmiech. — Naprawdę! Duch staruszki wstał i otrzepał się z kurzu. — Tylko tak mówisz, żeby mi nie zrobić przykrości — powiedziała. — Przez całą śmierć jeszcze mnie nikt tak nie upokorzył! Hilda nie wiedziała, co ma robić. Spróbowała być szczerą i nic z tego nie wyszło; próbowała zachowywać się tak, jak jej zdaniem chciały duchy, ale i to nic nie dało. Zniechęcona wyszła do przedpokoju, gdzie duchy stały w kolejce do łazienki, i zapytała: — Czy ktoś z was nie chciałby się ze mną zaprzyjaźnić? Jestem bardzo miła i znam wiele przerażających historii o żywych ludziach, spodobają się wam. Ale duchy tylko zaszurały nogami, utkwily wzrok w podłodze i nic nie powiedziały. Widziały jej desperację i poczuły się niezręcznie. Po dłuższej chwili milczenia Hilda zgarbiła się i poszła sobie z policzkami płonącymi od wstydu. Usiadła na ganku i przyglądała się duchom płaszącym przed domem. Najwyraźniej poniosła porażkę. Człowieka nie da się zmusić do przyjaźni — nawet takiego, który już nie żyje. Poczucie, że nikt nie zwraca na nią uwagi, było jeszcze gorsze od samotności, dlatego Hilda postanowiła sprzedać dom. Pierwszych pięć osób, które przyszły go obejrzyć, nawet nie dotarło do drzwi, zanim się wszyscy wystraszyli i uciekli. Hilda próbowała nieco zmniejszyć skalę nawiedzenia, odsprzedając część nawiedzonych sprzętów pierwotnym właścicielom. Napisała list do znajomego w Portugalii, żeby zapytać, czy nie chciałby odkupić z powrotem swojego szlochającego biurka. Zaraz odpisał, że biurka wprawdzie nie chce, ale ma nadzieję, że u niej wszystko w porządku. List podpisał: „Twój oddany przyjaciel, João”. Hilda przez kilka minut patrzyła na te wyrazy. Czy naprawdę może nazwać tego człowieka przyjacielem? A może on tylko próbuje być... przyjacielski? Odpisała mu. Próbowała zachować lekki i żartobliwy ton. Skłamała, że u niej wszystko dobrze, i zapytała, co słyhać u niego. List podpisała: „Twoja oddana przyjaciółka, Hilda”. João i Hilda wymienili jeszcze kilka listów. Były krótkie i proste — zwykłe uprzejmości i uwagi o pogodzie. Hilda nadal nie była pewna, czy João naprawdę uważa ją za przyjaciółkę, czy tylko tak się podpisuje z uprzejmości. Wtedy jednak João zakończył swój list słowami: „Gdybyś kiedyś była w Coimbrze, będę zaszczycony, jeśli mnie odwiedzisz”. Tego samego dnia Hilda zarezerwowała bilet kolejowy do Portugalii, wieczorem spakowała do kufra mnóstwo ubrań i następnego ranka przed jej dom zajechała dorożka,

żeby ją zawieźć na stację. — Do widzenia, duchy! — zawołała pogodnie od drzwi. — Za kilka tygodni wracam! Duchy nie odpowiedziały. Usłyszała tylko, że coś się tłucze w kuchni. Hilda wzruszyła ramionami i podeszła do dorożki. Podróż do domu João w Coimbrze oznaczała tydzień jazdy w kurzu i upale. Podczas długiej podróży próbowała się przygotować na niechybne rozczarowanie. Listownie dogadywali się niezłe, ale wiedziała, że pewnie nie przypadnie mu do gustu w osobistym kontakcie, bo nie przypadła do gustu jeszcze nikomu. Trzeba się było z góry odpowiednio nastawić, bo ból kolejnego odrzucenia z pewnością by ją załamał. Dotarła do jego domu: widmowe dworzyszczce na wzgórzu zdawało się na nią patrzeć oczami popękanych okien. Kiedy Hilda ruszyła w stronę ganku, z uschniętego dębu przed domem zerwała się z wrzaskiem chmura czarnych wron. Zauważyła, że z balustrady balkonu na drugim piętrze dynda na sznurze jakiś duch, więc mu zamachała. Zbity z tropu duch odmachnął. João otworzył drzwi i wpuścił Hildę do środka. Był miły i uprzejmy — pomógł jej zdjąć zakurzony płaszcz podróżny i nakrył do stołu, podając ciasta i herbatę z mlekiem i cynamonem. Zagadnął, jak minęła jej podróż, jaką miała po drodze pogodę i jak pija się herbatę w jej ojczystym kraju. Jednak Hilda cały czas się jąkała, przekonana, że robi z siebie kompletną idiotkę, a im bardziej myślała o tym, jak idiotyczne rzeczy wygaduje, tym trudniej było jej wydusić z siebie choćby jedno słowo. Wreszcie po chwili wyjątkowo niezręcznego milczenia João zapytał: „Czyżbym cię jakoś obraził?” i Hilda pojęła, że zmarnowała najlepszą w życiu szansę na znalezienie prawdziwego przyjaciela. Poczula, że zbiera się jej na płacz, więc chcąc ukryć łzy, wstała od stołu i wbiegła do sąsiedniego pokoju. João nie poszedł za nią od razu, żeby dać jej chwilę prywatności. Stała w rogu jego gabinetu i cicho płakała z dłońmi przyciśniętymi do twarzy, wściekła na siebie i okropnie, ale to okropnie zawstydzona. Po jakimś czasie usłyszała za plecami łupnięcie i odwróciła się. Przy biurku stał duch młodej dziewczyny i zrzucał na podłogę wieczne pióra i przyciski do papierów. — Przestań — powiedziała Hilda, ocierając łzy. — Robisz tylko bałagan w domu João. — Ty mnie widzisz — stwierdziła dziewczyna. — Owszem, i widzę, że jesteś już za duża, żeby płać ludziom takie dziecięce figle. — Tak jest, proszę pani — odparła dziewczyna i zniknęła w ścianie. — Ty mówiłaś do ducha — powiedział João, a Hilda aż podskoczyła, widząc, że patrzy na nią przez otwarte drzwi do pokoju. — Tak. Widzę je i mogę z nimi rozmawiać. Ona już nie będzie ci zawracać głowy, a przynajmniej nie dzisiaj. João osłupiał. Usiadł i opowiedział Hildzie, jak strasznie duchy uprzykrzają mu życie: jak nie pozwalają mu spać w nocy, straszą mu gości i niszczą jego rzeczy. Próbował do nich mówić, ale nigdy go nie posłuchały. Raz nawet wezwał księdza, żeby się ich pozbyć, ale duchy tylko się rozzłościły i następnej nocy potłukły jeszcze więcej sprzętów. — Z duchami trzeba zdecydowanie, ale też z wyrozumiałością — wyjaśniła Hilda. — Wcale nie tak łatwo być duchem. Tak jak każdy, chcą być traktowane z szacunkiem. — Czy


myślisz, że mogłabyś z nimi porozmawiać w moim imieniu? — poprosił pokornie João. — Zawsze można spróbować — powiedziała Hilda. Nagle uświadomiła sobie, że rozmawiają już od kilku minut, a ona ani razu się nie zająknęła i ani na moment nie zapadła między nimi niezręczna cisza. Hilda tego samego dnia zabrała się do pracy. Duchy próbowały się chować, ale wiedziała, gdzie szukać ich ulubionych kryjówek, i po kolei namawiała je, żeby wylazły i z nią porozmawiały. Niektóre rozmowy trwały wiele godzin — Hilda nieustępliwie przekonywała duchy, a João przyglądał się jej z milczącym podziwem. Zajął jej to trzy dni i trzy noce, ale w końcu zdołała skłonić większość duchów do opuszczenia domu. Te nieliczne, które odmówiły, poprosiła, żeby przynajmniej były cicho, kiedy João próbuje zasnąć, a jeśli już muszą coś zrzucić ze stołu, to niech to chociaż nie będą rodzinne pamiątki. Dom zmienił się nie do poznania, a João wraz z nim. Przez trzy dni i trzy noce przyglądał się Hildzie, i przez trzy dni i trzy noce pogłębiało się jego uczucie do niej. Hilda je odwzajemniała — przekonała się, że potrafią swobodnie rozmawiać na każdy temat, i nabrała pewności, że są prawdziwymi przyjaciółmi. Nie chciała jednak wyjść na osobę natrętą i nadużyć jego gościnności, dlatego czwartego dnia spakowała rzeczy i pożegnała się z João. Postanowiła wrócić, przeprowadzić się do jakiegoś nienawiedzonego domu i raz jeszcze poszukać sobie żyjących przyjaciół. — Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, João — powiedziała Hilda. — Będę za tobą tęskniła. Może ty kiedyś odwiedzisz mnie? — Chętnie — odparł João. Przed domem czekała już dorożka, która miała zabrać Hildę na stację. Pomachała mu na pożegnanie i ruszyła w stronę ulicy. — Zaczekaj! — zawołał João. — Nie odchodź! Hilda zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na niego. — Dlaczego? — Bo jestem w tobie zakochany — odpowiedział João. Wtedy Hilda zrozumiała, że ona także go kocha. Wbiegła z powrotem po schodach i zarzuciła mu ręce na szyję. Na ten widok nawet duch dyndający z balkonu na drugim piętrze musiał się uśmiechnąć. Hilda i João pobrali się i zamieszkali u niego w Coimbrze. Nieliczne pozostałe w domu duchy odnosiły się do niej przyjaźnie, choć teraz Hilda nie potrzebowała już przyjaźni duchów, bo przecież miała João. Nie minęło wiele czasu, nim urodziła im się córka, a potem syn. Życie Hildy stało się pełniejsze, niż to sobie wyobrażała w najśmielszych marzeniach. Jakby tego było mało, pewnego razu o północy rozległo się pukanie do frontowych drzwi, a kiedy Hilda otworzyła, był to nikt inny, tylko duchy rodziców i siostry unoszące się nad ziemią. — Wróciliście! — zawołała uszczęśliwiona Hilda. — Wróciliśmy już dawno — odpowiedziała siostra. — Ale ty się wyprowadziłaś! Szukaliśmy cię tyle czasu! — Mniejsza o to — powiedziała mama Hildy. — Teraz jesteśmy już razem! Na ganek wyszła dwójka dzieci Hildy w towarzystwie João, który tarł zaspane oczy. — *Pai* — zapytała tatę córeczka. — Dlaczego *Mamãe* rozmawia z powietrzem? — Mama wcale nie rozmawia z powietrzem — uśmiechnął się João do żony. — Kochanie, czy to są ci, o których myślę? Hilda jedną ręką przytuliła męża, drugą — siostrę i czując,

że serce za chwilę jej pęknie z radości, przedstawiła swoją zmarłą rodzinę żyjącej. I żyli długo i szczęśliwie. To samo można powiedzieć o niedźwiedziach, chyba że nawiążą z kimś szczególną więź. ⇐

Płasawica pochłonęła wprawdzie miliony istnień ludzkich, ale za to jej ofiary wynalazły fokstrota, charlestona i krok do cha-chy. Miała więc plusy i minusy. ⇐  
nie równo o północy wprowadziła się do domu podczas szalejącej burzy.



## Kokobolo



Ogromnym szacunkiem i podziwem Zheng otaczał swojego ojca w dzieciństwie. Było to w czasach, kiedy nad starożytnym chińskim cesarstwem panował Kubilaj-chan, na długo zanim na morzach zaczęły rządzić europejskie okręty. Ojciec chłopca, Liu Zhi, był sławnym morskim odkrywcą. Ludzie mówili, że w jego żyłach płynie morską wodą. Przed ukończeniem czterdziestego roku życia Liu Zhi osiągnął więcej niż jakikolwiek inny żeglarz. Sporządził mapę całego wschodniego wybrzeża Afryki, nawiązał kontakty z nieznanymi plemionami w sercu Borneo i Nowej Gwinei, a także przyłączył do chińskiego cesarstwa wiele nowych ziem. Przy tym wszystkim toczył walki z piratami i morskimi rabusiami, stłumił bunt załogi i dwa razy uszedł z życiem z morskich katastrof. Na portowym nabrzeżu w mieście Tiencin wystawiono mu ogromny żelazny pomnik, na którym tęsknym wzrokiem wpatrywał się w morze. Posąg był jedynym, co Zhengowi pozostało z ojca, ten bowiem zniknął, kiedy chłopiec miał zaledwie dziesięć lat.

Ostatnia wyprawa Liu Zhi miała doprowadzić do odkrycia wyspy Kokobolo, długo uważanej za zwykłą legendę, o której mówiono, że na drzewach rosną tam rubiny, a w ogromnych jeziorach gromadzi się płynne złoto. Przed wyruszeniem w podróż ojciec powiedział Zhengowi:

— Gdybym nie wrócił, obiecaj, że kiedyś przybędziesz mnie szukać. Nie pozwól, żeby pod stopami wyrosła ci trawa!

Zheng złożył obietnicę, której zażyczył sobie ojciec, sądząc, że nawet dziki ocean nie zdoła pokonać takiego bohatera — ale Liu Zhi nigdy nie wrócił. Gdy rok upłynął bez żadnej wieści, cesarz urządził odkrywcy wystawny pogrzeb. Zheng był niepokieszony i wiele dni szlochał u stóp posągu ojca. Kiedy jednak dorósł, dowiedział się o ojcu rzeczy, których za jego życia nie mógł zrozumieć, i jego zdanie o ojcu zaczęło się zmieniać. Okazało się, że Liu Zhi był człowiekiem dziwnym, a pod koniec życia zdziwaczał jeszcze bardziej. Krążyły plotki, że stracił rozum.

— Codziennie przez wiele godzin pływał w morzu, nawet w zimie — powiedział Zhengowi najstarszy brat. — Z trudem mógł wytrzymać na lądzie.

— Zdawało mu się, że potrafi rozmawiać z wielorybami — zaśmiał się Ai, wuj Zhenga. — Raz nawet słyszałem, jak próbował do nich mówić w wielorybim języku.

— Chciał, żebyśmy z nim wyjechali i zamieszkali na wyspie gdzieś na pustkowiu — dodała matka Zhenga. — Powiedziałam mu: „Chodzimy na bankiety do pałacu! Nasz dom odwiedzają księżęta i dostojnicy! Dlaczego mam rezygnować z takiego życia, żeby mieszkać w ziemiance, jak jakaś dzikuska?”. Prawie się do

mnie potem nie odzywał.

Ludzie twierdzili, że Liu Zhi osiągnął bardzo wiele jako młody człowiek, ale później zaczął gonić za mrzonkami. Poprowadził wyprawę, która miała odkryć krainę gadających psów. Opowiadał o jakimś miejscu na samych północnych krańcach cesarstwa rzymskiego, gdzie mieszkają kobiety zmieniające kształty, które potrafią zatrzymać czas<sup>1</sup>. W dobrym towarzystwie zaczęto go unikać i z czasem szlachetnie urodzeni przestali mu dawać pieniądze na wyprawy, dlatego zaczął je finansować sam. Kiedy roztrwoniał majątek i prawie doprowadził żonę i dzieci do nędzy, uroił sobie, że znajdzie Kokobolo i tam zdobędzie bogactwa.

Zheng zrozumiał teraz, że dziwactwa ojca doprowadziły go do upadku. Kiedy sam wszedł w wiek męski, bardzo starał się nie powtórzyć błędów Liu Zhi. Tak samo jak ojciec, Zheng miał w żyłach morską wodę, i tak samo jak ojciec został żeglarzem, ale całkiem innego rodzaju. Nie wyruszał na czele odkrywczych wypraw, nie zdobywał nowych lądów dla cesarza. Był osobą na wskroś praktyczną: kupcem, który doglądał floty handlowych statków. Unikał ryzyka, omijał szlaki nawiedzane przez piratów, trzymał się wyłącznie znanych wód. Powodziło mu się doskonale.

Jego życie na stałym lądzie było równie konwencjonalne. Chodził na uczty do cesarskiego pałacu i dbał o znajomości z wpływowymi osobami. Z jego ust nigdy nie padło gorszące słowo, nie wypowiadał żadnych kontrowersyjnych opinii. W nagrodę cieszył się wysoką pozycją społeczną i korzystnym małżeństwem z wychowaną w luksusach cioteczną wnuczką cesarza, zatem szlachecką godność miał już na wyciągnięcie ręki.

Żeby nie stracić tego wszystkiego, Zheng postarał się odciąć od ojca. Nigdy nie wspominał o Liu Zhi. Zmienił nazwisko i udawał, że nie są spokrewnieni. Jednak im był starszy, tym trudniej było mu od siebie odepchnąć pamięć o ojcu. Starsi krewni często zauważali, jak bardzo Zheng przypomina ojca sposobem mówienia i gestami.

— Twój chód, cały twój sposób bycia — mówiła Xi Pen, jego ciotka. — Nawet słowa, których używasz... Mam wrażenie, jakby tu stał przede mną twój ojciec!

Zheng spróbował się zmienić. Zaczął naśladować posuwisty krok Denga, swojego starszego brata, którego nigdy nie porównywano do ojca. Zanim się odezwał, przestawiał w głowie kolejność wyrazów i zamieniał je na inne o podobnym znaczeniu. Nie mógł jednak zmienić sobie rysów twarzy i za każdym razem, kiedy przechodził nabrzeżem, posąg ojca przypominał Zhengowi, jak bardzo są do siebie podobni. Dlatego pewnej nocy wymknął się do portu, dźwigając linę i kabestan, po czym z wielkim trudem obalił posąg.

Kiedy skończył trzydzieści lat, zaczęły się sny. W nocy dręczyły go wizje ojca — wygłodzonego, ogorzałego, z białą brodą sięgającą kolan, w niczym już

niepodobnego do Zhenga — jak rozpaczliwie macha do niego z pustkowiec na brzegu spieczonej słońcem wyspy. Zheng zrywał się przed świtem z czołem zlanym potem, nękany poczuciem winy. Złożył ojcu obietnicę i nawet nie spróbował jej dotrzymać.

*Przybądź i znajdź mnie.*

Zielarz przygotował mu mocną leczniczą miksturę — Zheng zażywał jej co noc przed udaniem się na spoczynek, żeby zapaść w głęboki, niezmacony sen do samego rana. Nie znajdując dostępu do jego snów, ojciec nie dawał mu spokoju na inne sposoby. Kiedy pewnego dnia Zheng stał obok portowych doków, poczuł niewytłumaczalny impuls, żeby wskoczyć do oceanu i popływać — w środku zimy. Stłumił go w sobie i przez wiele tygodni nie pozwalał sobie nawet spojrzeć na morze.

Niedługo potem prowadził handlową wyprawę do Szanghaju, gdy pod pokładem usłyszał wielorybią pieśń. Przyłożył ucho do desek kadłuba i nasłuchiwał. Przez moment *Ko... ko... bo... lo!* Zapchał sobie uszy watą, wbiegł na górę i odtąd odmawiał zejścia pod pokład. Zaczął się martwić, czy nie traci rozumu, tak jak kiedyś ojciec. Kiedy znalazł się na suchym lądzie i wrócił do domu, przyśnił mu się nowy sen, którego nie zdołała przytłumić nawet przyjmowana co noc lecznicza mikstura. We śnie Zheng przedzierał się z maczetą przez tropikalną wyspę, słysząc, jak z drzew z miękkimi pacnięciami spadają na ziemię rubiny. W parnym powietrzu usłyszał coś jak oddech wymawiający jego imię — Zheng, Zheng — i choć wyczuwał wokół siebie obecność ojca, nie widział nikogo. Wyczerpany położył się na splechietku trawy. Ta nagle wyrosła wysoko, a darń zaczęła się odrywać od ziemi, żeby go otulić duszącym uściskiem. Zerwał się ze snu, czując potworne swędzenie stóp. Odrzucił pościel i z lękiem zauważył, że jego stopy są całe pokryte trawą. Próbował ją strzepnąć, jednak każde źdźbło było do niego przyrośnięte. Trawa wyrastała mu z podeszew stóp. Przerażony, że dowie się o tym żona, Zheng wyskoczył z łóżka, wpadł do łazienki i ogolił sobie stopy. „Wielkie nieba, co się ze mną dzieje?” — pomyślał. Odpowiedź była jasna — traci rozum, tak jak kiedyś stracił go jego ojciec. Następnego ranka po przebudzeniu stwierdził, że nie tylko trawa znowu wykiełkowała mu na stopach, ale w dodatku pod pachami wyrosły mu długie sznury wodorostów. Popędził do łazienki, wyrwał wodorosty (bolało okropnie) i po raz drugi ogolił stopy. Kiedy obudził się następnego dnia, znalazł znajome odrosty na stopach i pod pachami, a do tego nowy problem — w pościeli leżało mnóstwo piasku, którego ziarenka sypały mu się w nocy z porów skóry. Poszedł do łazienki, powyrywał wodorosty i ogolił stopy, wciąż przekonany, że to nic innego, tylko przejawy obłądzenia. Kiedy jednak wrócił, łóżko nadal było pełne piasku, który pokrywał też skórę i włosy żony. Żona nie spała i była wściekła, na próżno próbując otrząsnąć z siebie piach. Jeśli ona to widzi, uświadomił sobie Zheng, piasek musi być prawdziwy. Piasek, trawa — wszystko. A to oznacza, że wcale nie osza-



łał. Coś się z nim dzieje. Udał się do zielarza i dostał cuchnącą maść, którą miał sobie nacierać całe ciało. Gdy to nie pomogło, poszedł do chirurga, który powiedział, że jedynym ratunkiem będzie odjęcie mu stóp i zaklejenie porów skóry. To rzecz jasna nie wchodziło w rachubę, więc poszedł do mnicha, żeby się razem z nim modlić, jednak Zheng podczas modlitwy zasnął, a kiedy się obudził, zauważył, że zasypał całą celę piaskiem. Wściekły mnich wygonił go od siebie. Nie było wiadomo, co mu jest, ale najwyraźniej nie istniało na to lekarstwo, a objawy pogarszały się nieustannie. Trawa na stopach zaczęła mu rosnąć bez przerwy, nie tylko w nocy. Wodorosty sprawiały, że było go czuć niczym plażę podczas odpływu. Żona przeniosła się na noc do osobnego łóżka w drugiej sypialni. Martwił się, że jeśli o jego kłopotach dowiedzą się ludzie, z którymi robi interesy, zaczną go unikać, a to oznaczałoby ruinę. W desperacji zaczął się zastanawiać, czy jednak nie uciąć sobie stóp i nie zalepić porów skóry klejem, kiedy nagle w głowie mignął mu przebłysk wspomnienia i usłyszał ostatnie słowa, które wypowiedział do niego ojciec. „Nie pozwól, żeby pod stopami wyrosła ci trawa”. Tajemnicze życzenie, nad którym Zheng zastanawiał się przez wiele lat, teraz nabrało sensu. To była wiadomość — ukryta wiadomość. Ojciec wiedział, że to właśnie spotka Zhenga. Wiedział, bo jego spotkało to samo! Łączyło ich coś więcej niż rysy twarzy, chód czy sposób mówienia — obaj byli dotknięci tą samą dziwną przypadłością. „Przybądź i znajdź mnie” — powiedział ojciec. „Nie pozwól, żeby pod stopami wyrosła ci trawa”. Liu Zhi nie wyruszył szukać mitycznych bogactw. Wyruszył szukać lekarstwa. A jeśli Zheng chce się pozbyć dziwnej przypadłości i znowu wieść normalne życie, musi dotrzymać obietnicy złożonej ojcu. Podczas kolacji oznajmił swoje zamiary krewnym. — Zorganizuję wyprawę, żeby odnaleźć ojca. Rodzina wysłuchała go z niedowierzaniem. Przypomnieli mu, że inni bez skutku próbowali już tego samego. Cesarz opłacił poszukiwania, lecz nikt nie znalazł ani śladu ojca i jego wyprawy. Jak on, kupiec, który nigdy nie zapuszczał się poza bezpieczne handlowe szlaki, może liczyć na więcej szczęścia? — Uda mi się, przekonacie się — powiedział Zheng. — Muszę tylko odnaleźć wyspę, której poszukiwał ojciec. — Nigdy jej nie znajdziesz, choćbyś był najlepszym nawigatorem pod słońcem — powiedziała ciotka Xi. — Jak znaleźć miejsce, które nie istnieje? Zheng wyszedł z domu z mocnym postanowieniem — udowodni krewnym, że się mylą. Wyspa istnieje naprawdę, a on wie, jak ją odnaleźć, wystarczy, że przestanie przyjmować nasenne lekarstwo, a sny same go do niej zaprowadzą. A jeśli to nic nie da, będzie słuchał wielorybów! Jego pierwszy oficer również próbował odwieść go od tego pomysłu. — Nawet jeśli wyspa istnieje — powiedział mu — każdy marynarz, który ją rzekomo widział, przysięga, że nie da się do niej dopłynąć. Mówiono, że wyspa w nocy zmienia położenie. — Kapitanie, jak mamy lądować na wyspie, która przed nami ucieka? — Zamówimy najszybszy okręt, jaki kiedykolwiek zbudowano — odpowiedział. Zheng wydał znaczną część majątku na budowę statku,

któremu nadał imię „Niebywały”. Prawie doprowadził się do ruiny: żeby wynająć załogę, musiał się zadłużyć pod zastaw weksli. Żona aż dygotała z wściekłości. — Przez ciebie wylądujemy w więzieniu dla dłużników! — szlochała. — Będę się musiała najać jako praczka, żebyśmy nie umarli z głodu! — Kiedy znajdzie Kokobolo, wypcham sobie kieszenie rubinami — odpowiedział Zheng. — Po powrocie będę jeszcze bogatszy niż dotąd. Przekonasz się! Na „Niebywałym” postawiono żagle. Krążyły pogłoski, że Kokobolo leży na Oceanie Indyjskim, gdzieś na południowy zachód od Cejlonu, jednak wyspy nigdy nie widziano dwa razy w tym samym miejscu. Zheng przestał zażywać nasenny napar i czekał na prorocze sny. Tymczasem „Niebywały” wziął kurs na Cejlon. Po drodze wymieniali się informacjami z napotkanymi statkami, szukając wieści o Kokobolo. — Trzy tygodnie temu widziałem wyspę na horyzoncie po stronie wschodu — powiedział im rybak, wskazując ręką nad błękitnym morzem. — Tak jak się płynie na Morze Arabskie. Ku rozczarowaniu Zhenga noce mijały bez snów, więc popłynęli na wschód. Na Morzu Arabskim napotkany kapitan powiedział, że widział wyspę dwa tygodnie temu. — To było na zachodzie, niedaleko Sumatry — powiedział. Tymczasem Zheng znowu zaczął miewać sny, jednak były one pozbawione sensu, więc pożeglowali na zachód. U wybrzeży Sumatry jakiś mężczyzna zawołał z wysokiego urwiska, że Kokobolo widziano na południowym wschodzie, niedaleko Thinadhoo. — Minęliście się o włos — powiedział. Tak wyglądała ich wyprawa przez kilka miesięcy. Marynarze zaczęli się burzyć i szeptać o buncie. Pierwszy oficer przekonywał Zhenga, że trzeba zrezygnować z poszukiwań. — Gdyby wyspa rzeczywiście istniała, do tej pory zdążylibyśmy ją znaleźć — powiedział. Zheng poprosił go o cierpliwość. Tej nocy modlił się o prorocze sny, a nazajutrz zszedł pod pokład i przycisnął ucho do burty, nasłuchując wielorybich pieśni. Nie przyszły jednak ani sny, ani pieśni i Zheng zaczął tracić nadzieję. Jeśli wróci do domu z pustymi rękami, czeka go ruina, a lekarstwa nadal nie będzie. Żona z pewnością go opuści. Krewni zaczną go unikać. Inwestorzy odmówią mu pieniędzy, a jego interes runie. Zniechęcony stał na dziobie i patrzył, jak dziób statku pruje pianę na zielonej wodzie. Nagle ogarnęła go przemożna chęć, żeby popływać. Tym razem się nie bronił. Uderzył o wodę z niewiarygodną siłą. Prąd był silny i szokująco zimny, zaczął go wciągać pod wodę. Zheng nie walczył. Czuł, że tonie. Z mroków wynurzyło się olbrzymie oko zawieszzone wśród ściany szarego cielska. Był to wieloryb, który zbliżał się szybko. Zanim się z nim zderzył, wieloryb zanurkował i zniknął mu z oczu. W tej samej chwili stopy Zhenga dotknęły czegoś twardego. Wieloryb wypychał go na powierzchnię od spodu. Wynurzyli się równocześnie. Zheng wykaształ wodę z płuc. Ktoś rzucił mu z pokładu linę. Obwiązał ją sobie wokół bioder, a kiedy marynarze wciągali go na pokład, usłyszał pod sobą śpiew wieloryba. Pieśń brzmiała: *Płyń za mną*. Kiedy go wyciągano na pokład, Zheng zauważył, że wieloryb odplywa. Choć cały drżał z zimna i z trudem chwycił oddech,

resztką sił zawołał: — Płyńcie za tym wielorybem! Marynarze rzucili się trzymować żagle i „Niebywały” ruszył w pościg. Płynęli za wielorybem cały dzień i całą noc, śledząc jego położenie po fontannach wodnej mgiełki, którą zwierzę wyrzucało oddechem. Kiedy wzeszło słońce, na horyzoncie zobaczyli wyspę — wyspę, której nie było na mapie. To nie mogło być nic innego niż Kokobolo. Pomknęli ku wyspie tak prędko, jak tylko zdołał ich nieść wiatr. Z początku była ledwie kropką na horyzoncie, ale przez cały dzień stale rosła im w oczach. Jednak zanim do niej dotarli, zapadł zmrok, a kiedy słońce wzeszło, wyspa znowu była tylko kropką na horyzoncie. — Jest tak, jak mówili — powiedział zadziwiony Zheng. — Ona się porusza. Gonili ją przez trzy dni. Każdego dnia zbliżali się, aż zdawało się, że wyspa jest tuż-tuż, lecz nocą wymykała im się od nowa. Wreszcie silny podmuch wiatru popchnął ich szybciej i „Niebywały” zdołał przybić do brzegu. Zarzucili kotwicę w piaszczystej zatoczce, kiedy słońce akurat kładło się na horyzoncie. Zheng marzył o Kokobolo od miesięcy i w marzeniach mocno puścił wodze fantazji, lecz rzeczywistość w niczym nie przypominała jego wyobrażeń — nie było tu wodospadów, z których spływałoby do morza złoto, ani górskich zboczy, na których drzewa połyskiwałyby rubinami. Wyspa była pofałdowana pagórkami porośniętymi roślinnością i niczym się nie różniła od tysięcy wysp, które mijali w podróży. Rozczarowania dopełniał fakt, że nie widzieli ani śladu wyprawy ojca. Zheng wyobrażał sobie, jak w zatoczce znajduje na wpół zatopiony statek ojca, a na plaży czeka na niego z lekarstwem w dłoni staruszek, który dwadzieścia lat spędził na wyspie jako rozbitek. Tymczasem zobaczył tylko sierp zatoczki okolonej białym piaskiem, a w głębi ścianę palm kołysanych wiatrem. Statek zarzucił kotwicę, a Zheng zeskokczył do wody i dobrnął do brzegu z pierwszym oficerem i oddziałem uzbrojonych marynarzy. Powiedział sobie, że za wcześnie na rozczarowanie, jednak po kilku godzinach poszukiwań nie znaleźli ani Liu Zhi, ani żadnych śladów ludzkiej bytności i poczuł się rozczarowany jak nigdy. Światło zaczynało rzednąć. Właśnie mieli rozbijać obozowisko, gdy wśród drzew rozległ się szelest. Z zarośli wypadły dwa jaguary i wydały z siebie przerażający ryk. Ludzie rozpierzchli się. Strzelali do jaguarów z luków, ale to jeszcze bardziej rozjuszało wielkie koty. Jeden skoczył w kierunku Zhenga, który rzucił się do ucieczki. Pędził co sił w nogach przez dżunglę, aż poczuł, że płuca mu płoną, a ubranie ma całe w strzępach, i stanął. Kiedy odzyskał oddech, zaczął nasłuchiwać swoich ludzi, ale nic nie usłyszał. Był sam, zagubiony, a wokół było prawie ciemno. Zaczął się rozglądać za schronieniem. Po jakimś czasie natrafił na kilka jaskiń. W regularnych odstępach czasu przez ich otwory wpadał i wypadał gorący, wilgotny wiatr. Pomyślał, że nie znajdzie lepszego miejsca na przeczekanie nocy, więc schylił się i wszedł do środka. Wykopał w ziemi małe zagłębienie i rozpałił ogień. Kiedy tylko podniosły się płomienie, ziemię pod jego stopami przebiegł skurcz, a z głębi jaskini dobiegło echo ogłuszającego krzyku. — Zgaś to! Zgaś ogień! — krzyczał tubalny głos. Przerażony Zheng

nagarnął stopami ziemi i zasypał ognisko. Kiedy płomienie wygasły, grunt przestał się trząść. — Dlaczego zadajesz mi ból? — zapytał potężny głos. — Co takiego ci zrobiłem? Zheng nie wiedział, z kim rozmawia, ale wiedział, że musi coś powiedzieć. — Nie chciałem nikomu zadać bólu! — wyjaśnił. — Chciałem tylko ugotować sobie coś do jedzenia. — A jak ty byś się poczuł, gdybym to ja ci wykopał dziurę w skórze i rozpalił ogień? Zheng spuścił wzrok na wygasłe ognisko i zobaczył, że zagłębienie szybko wypełnia się płynnym złotem. — Kim jesteś? — zapytał głos. — Nazywam się Zheng. Pochodzę z portowego miasta Tiencin. Zapadła długa cisza, po czym z jaskini dobiegł huragan serdecznego śmiechu. — Nareszcie jesteś! — powiedział głos. — Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że cię widzę, drogi chłopcze! — Nie rozumiem — powiedział Zheng. — Kim jesteś? — Jak to, nie poznajesz głosu własnego ojca? — Ojciec?! — zawołał Zheng i popatrzył w głąb jaskini. — Gdzie? W jaskini znowu zahuczał śmiech. — Wszędzie wokół ciebie! — odpowiedział głos, a następnie uniosła się obok niego bryła ziemi i wzięła go w piaszczyste objęcia. — Zheng, jak strasznie za tobą tęskniłem! Wstrząśnięty Zheng uświadomił sobie, że nie rozmawia z olbrzymem ukrytym w jaskini, ale z samą jaskinią. — Nie jesteś moim ojcem! — zawołał, próbując się wyrwać z uścisku. — Mój ojciec jest człowiekiem! — Kiedyś byłem człowiekiem — powiedział głos. — Jak widzisz, od tamtej pory dosyć się zmieniłem. Ale zawsze będę twoim ojcem. — Chcesz mnie oszukać. Nazywasz się Kokobolo, poruszasz się w nocy, a w twoich zagłębieniach gromadzi się płynne złoto. Tak mówią legendy. — To właśnie się dzieje z każdym człowiekiem, który przemieni się w wyspę. — Czyli są jacyś inni podobni do ciebie? — Owszem, tu i tam<sup>2</sup>. Widzisz, Kokobolo to nie jest jedna wyspa. Wszyscy jesteśmy Kokobolo. Ale to ja jestem twoim ojcem. — Uwierzę ci, jeśli to udowodnisz — powiedział Zheng. — Jak brzmiały ostatnie słowa, które do mnie wypowiedziałeś? — Przybądź i znajdź mnie — odparł głos. — I nie pozwól, żeby pod stopami wyrosła ci trawa. Zheng padł na kolana i zapłakał. A więc to prawda — jego ojciec jest wyspą, a wyspa jest jego ojcem. Jaskinie były jego nosem i ustami, ziemia była jego skórą, trawa jego włosami. Złoto, które wypełniło zagłębienie wykopane przez Zhenga, było jego krwią. Jeśli ojciec przybył tu, szukając lekarstwa, jego starania poszły na marne, a to znaczyło, że jemu też się nie uda. Stracił nadzieję i ogarnęła go rozpacz. Czy i on ma się stać czymś takim? — Ojczy, to straszne, po prostu straszne! — To nic strasznego — odpowiedział ojciec nieco urażonym tonem. — Odpowiada mi to, że jestem wyspą. — Naprawdę? — Oczywiście nie od razu się przyzwyczaiłem, ale to jest bez porównania lepsze niż ta druga możliwość. — A co w tym złego, że ktoś jest człowiekiem? — Tym razem Zheng poczuł się trochę urażony. — Ależ nic — powiedział ojciec — o ile jest ci pisane być człowiekiem. Ja nie miałem być człowiekiem na zawsze, choć przez wiele lat nie chciałem się z tym pogodzić. Zaciekle walczyłem z ogarniającymi mnie zmianami, które teraz ogarniają i ciebie. Szuka-

łem pomocy u lekarzy, a gdy to nic nie dało, udałem się do odległych kultur po radę do czarowników i szamanów, jednak nikt nie umiał tego powstrzymać. Wprost nie da się wyrazić, jak mi było źle. W końcu nie mogłem już tego znieść: opuściłem dom, zamieszkałem w odległym zakątku oceanu i pozwoliłem piaskowi się sypać, a trawie rosnać. Na niebiosach, cóż to była za ulga... — I naprawdę jesteś szczęśliwy w tym stanie? Jako spląchatek dżungli pełnej jaguarów, gdzieś na środku morza? — Owszem — odpowiedział ojciec. — Choć przyznam, że odkąd stałem się wyspą, dokucza mi czasem samotność. W tych stronach jest tylko jeden inny Kokobolo, pewien męczący, stary zrzęda. Jeśli odwiedzają mnie jacyś ludzie, to tylko po to, żeby mi upuścić krwi. Ale gdybym tak miał u boku syna... Ach, wtedy nie brakowałoby mi niczego do szczęścia! — Przykro mi — powiedział Zheng — ale nie po to tutaj przybyłem. Nie chcę być wyspą. Chcę być normalny! — Ale ty czy ja nie jesteśmy normalni — odpowiedział ojciec. — Po prostu zbyt łatwo się poddałeś i tyle. Musi istnieć jakieś lekarstwo! — Nie, synu — powiedziała wyspa, wydając tak potężne westchnienie, że na głowie Zhenga poruszyły się włosy. — Nie ma żadnego lekarstwa. To nasza naturalna postać. Dla Zhenga wieść ta była gorsza od wyroku śmierci. Przytłoczony gniewem i poczuciem beznadziei szalał i szlochał. Ojciec próbował go pocieszać. Przygotował mu wygodne posłanie z miękkiej trawy. Kiedy nadeszła ulewa, nachylił liście palm, żeby schroniły syna przed deszczem. Gdy zmęczony Zheng usnął, ojciec groźnymi pomrukami odganiał koty zamieszkujące dżunglę. Rano Zheng obudził się już wolny od poczucia beznadziei. Kryła się w nim żelazna wola, która nie pozwoliła mu się pogodzić z utratą ludzkiej postaci. Postanowił walczyć — czy to za pomocą lekarstwa, czy bez niego, będzie walczyć choćby do samej śmierci. Co do ojca, sama myśl o nim przeszywała Zhenga tak nieznośnym smutkiem, że postanowił go wyrzucić ze swoich myśli. Podniósł się i ruszył w stronę brzegu. — Zaczekaj! — powiedział ojciec. — Proszę cię, zostań tu i dołącz do mnie. Obaj będziemy wyspami: ty i ja, nasz mały archipelag! Będziemy mogli stale się cieszyć swoim towarzystwem. Taki jest nasz los, synu! — To nie żaden los — gorzko odpowiedział mu Zheng. — Ty dokonałeś wyboru. I pomaszerował przez dżunglę. Ojciec nie próbował go zatrzymać, choć mógłby to zrobić bez trudu. Z pieczary jego ust rozległ się żalony jęk, a przez całą wyspę niosły się fale jego gorącego oddechu. Kiedy płakał, pnienie drzew trzęsły się i falowały, zrzucając z gałęzi miękkie deszcz rubinów. Zheng od czasu do czasu przystawał, żeby ich nazbierać do kieszeni. Zanim dotarł do zatoczki i wsiadł z powrotem na statek, nazbierał dość łez ojca, by opłacić marynarzy i napełnić puste kufry w domowym skarbczyku. Marynarze na jego widok podnieśli radosny okrzyk, bo myśleli, że zginął podczas ataku jaguarów. Na jego komendę podnieśli kotwicę i wzięli kurs na Tiencin. — A co z twoim ojcem, kapitanie? — pierwszy oficer dyskretnie zapytał Zhenga. — Mam już pewność, że nie żyje — krótko odpowiedział Zheng, a oficer skinął głową i nie

zadawał więcej pytań. Nawet kiedy Kokobolo zniknął w oddali za rufą statku, Zheng wciąż słyszał szlochanie ojca. Walcząc z falą smutku wzbierającą mu w piersi, stanął na dziobie i nawet nie spojrzął za siebie. Przez cały dzień i całą noc w morskiej pianie, którą ciągnął za sobą statek, towarzyszyło im stado wielorybów, które śpiewały do Zhenga: *Nie odchodź. Nie odchodź. Jesteś synem Kokobolo.* Zatkanął sobie uszy i starał się nie zwracać na nie uwagi. Podczas długiej podróży do domu Zhenga ogarnęła obsesja, żeby powstrzymać zachodzące w nim przemiany. Golił sobie stopy i przycinał wodorosty wyrastające mu spod pach. Jego skóra była niemal stale pokryta pylistą warstewką piasku, który wydobywał się z jego porów, dlatego zaczął nosić wysokie kołnierzyki i długie rękawy, a do tego co rano zażywał kąpieli w morskiej wodzie. Kiedy wrócił do domu, Zheng nawet nie przywitał się z żoną, lecz od razu udał się do chirurga. Polecił mu zrobić wszystko, co trzeba, żeby powstrzymać zachodzącą w nim przemianę. Chirurg podał mu silną nasenną miksturę, a kiedy Zheng się obudził, pachy miał zaklejone smołą, całą skórę pokrywał klej zalepiający pory, a jego stopy zostały amputowane i zastąpione drewnianymi protezami. Zheng obejrzał się w lustrze i poczuł odrazę. Wyglądał dziwnie, ale w zaciętości ducha liczył, że ta ofiara pozwoli mu ocalić jego ludzką naturę. Zapłacił lekarzowi i pokuśtykał do domu na nowych stopach z drewna. Na jego widok żona niemal zemdląła. — Coś ty ze sobą zrobił? — zawołała. Zmyślił jakieś kłamstwo o ranach, które rzekomo odniósł, ratując komuś życie na morzu. Zaklejoną skórę wytłumaczył gwałtowną reakcją na tropikalne słońce. Te same kłamstwa powtórzył jeszcze krewnym i ludziom, z którymi robił interesy. Opowiedział też wszystkim, że odnalazł na Kokobolo ciało ojca<sup>3</sup>. — Liu Zhi — oznajmił — już nie żyje. Krewnych bardziej zainteresowały rubiny, które przywiózł ze sobą. Przez pewien czas wszystko szło dobrze. Dziwaczne odrosty przestały się pojawiać. Wprawdzie musiał kuśtykać na drewnianych stopach, ale to było do zniesienia, bo przestał być dziwolągiem, a stał się stosunkowo zwyczajnym kaleką. Przywiezione rubiny oprócz bogactwa przyniosły mu sławę odkrywcy: nie tylko odkrył Kokobolo, ale nawet zdołał powrócić. Na jego cześć urządzano zabawy i uczy. Zheng próbował sobie wmówić, że jest szczęśliwy. Licząc, że zdusi w ten sposób cichutki jęk żalu, który czasami rozlegał się w jego sercu, spróbował samego siebie przekonać, że ojciec rzeczywiście nie żyje. „To wszystko się działo tylko w twojej głowie” — tłumaczył sobie. „Ta wyspa to nie mógł być ojciec”. Jednak czasami, kiedy musiał się udać do portu w interesach, miał wrażenie, że nadal słyszy pieśni wielorybów, które przyzywały go z powrotem na Kokobolo. Niekiedy patrząc przez lunetę na ocean, był gotów przysiąc, że na horyzoncie widzi znajomy punkt, niebędący statkiem i nieoznaczony na mapach. Z upływem tygodni czuł, jak narasta w nim dziwny ucisk. Najmocniej odczuwał go, kiedy się zbliżał do wody. Miał wtedy wrażenie, jakby ucisk próbował przypomnieć jego ciało, czym pragnie się stać. Kiedy stał na końcu portowego doku i długo patrzył w ocean, czuł, jak uwię-

zione w nim ziarna piasku, trawa i wodorosty próbują z całej siły wydostać się na zewnątrz. Przestał więc zbliżać się do wody. Obiecał sobie uroczyście, że jego stopa nigdy więcej nie postanie na pokładzie statku. Zakupił dom w głębi ładu, skąd nie było widać ani skrawka oceanu. Ale nawet tego było mało: ucisk w środku powracał za każdym razem, kiedy brał kąpiel, mył twarz albo przemókł na deszczu. Przestał więc brać kąpiele i myć twarz, i nie wychodził z domu, jeśli na niebie była choćby jedna ciemna chmura. Nie chciał nawet wypić kubka wody w obawie, że rozpali to w nim pragnienia, których już nie zdoła okiełznać. Kiedy to było konieczne, ssał zmoczoną szmatkę. — Ani jednej kropli — nakazał żonie. — W tym domu nie może być nawet jednej kropli wody. I tak to szło. Przez wiele lat Zheng nawet nie dotknął wody. Kiedy był już stary i wyschnięty na piach, zaczął przypominać wielki rodzynek, lecz ani odrosty, ani dziwne pragnienia więcej nie powróciły. Nie mieli z żoną dzieci — częściowo dlatego, że Zheng był od stóp do głów pokryty klejem, ale również dlatego, że lękał się przekazać swoją dolegliwość następnemu pokoleniu. Pewnego dnia Zheng zaczął porządkować swoje rzeczy, żeby spisać testament. Na dnie szuflady znalazł małą, jedwabną sakiewkę, a kiedy ją odwrócił, na dłoń wypadł mu pojedynczy rubin. Pozostałe klejnoty sprzedał już dawno i ten również uważał za stracony, ale oto znowu trzymał w ręce chłodny i ciężki kamyk. Do tej chwili przez całą drugą połowę życia Zheng ani razu nie pomyślał o ojcu. Zaczęły mu drżeć ręce. Schował rubin i powrócił do swoich spraw, ale już nie mógł zatrzymać tego, co mu wzbierało w środku. Nie wiedział nawet, skąd się w nim bierze wilgoć: od trzech dni nie posiadał nawet wilgotnej tkaniny, a mimo to świat zaczął mu się zacierać w oczach, które zachodziły wilgocią, tak jakby utworzył się w nim jakiś utajony zbiornik. — Nie! — uderzył w stół pięściami. — Nie, nie, nie! Rozpaczliwie rozejrzał się po pokoju, chcąc jakoś odwrócić swoją uwagę. Policzył od dwudziestu do jednego. Zaśpiewał niedorzeczną piosenkę. Ale nic już nie mogło tego powstrzymać. Kiedy w końcu nadeszło, samo wydarzenie okazało się tak niepozorne, że aż się zdziwił, dlaczego tak się nim przejmował. Po jego policzku spłynęła łza, skapnęła mu z podbródka i spadła na podłogę. Stał jak wryty, patrząc na ciemną plamkę, którą pozostawiła na drewnie. Długą chwilę trwał bez ruchu i w ciszy. Potem stało się to, czego się najbardziej obawiał. Zaczęło się od znajomego, strasznego ucisku wewnątrz ciała, który po kilku chwilach stał się nie do zniesienia. Miał wrażenie, że jego ciałem targa trzęsienie ziemi. Klej oblepiający mu skórę popękał i odpadł. Ze skóry zaczął się sypać piasek. Smoła, którą zatkałe były jego pachy, rozpadła się w proch, a z jego ciała z niewiarygodną prędkością wystrzeliły sznury wodorostów. Nie minęła minuta, a wodorosty wypełniły niemal cały pokój. Wiedział, że albo się wydostanie na zewnątrz, albo dom ulegnie zniszczeniu. Wybiegł więc wprost na rześistą ulewę. Na ulicy przewrócił się, a piasek tryskał z niego na wszystkie strony wraz z łodygami wodorostów. Na jego widok ludzie uciekali z krzykiem. Jego drewniane stopy

odpadły gwałtownie, a z kikutów bez końca wydobywały się snopy trawy. Całe ciało zaczęło mu rosnąć: deszcz i trawa mieszały się z piaskiem, tworząc glebę, która otuliła go zewsząd licznymi warstwami niczym druga skóra. Wkrótce zajmował całą szerokość ulicy i był wysoki jak własny dom. Zebrał się tłum, który rzucił się na niego. Zheng z trudem wstał na swoich trawiastych kikutach i zaczął uciekać. Przewrócił się, miażdżąc jakiś dom pod swoim ciężarem. Znowu wstał i brnął przed siebie, wdrapując się na wzgórze grzmiącymi krokami, od których w powierzchni ulicy robiły się dziury. Do goniącego za nim tłumem dołączyli żołnierze, którzy zaczęli mu strzelać w plecy z łuków. Z ran trysnęło płynne złoto, co zachęciło kolejnych ludzi do napaści. Przez cały ten czas Zheng nie przestawał rosnąć, aż w końcu stał się dwukrotnie szerszy od ulicy i trzy razy wyższy od domu. Jego kształty szybko przestawały przypominać człowieka — ręce i nogi zniknęły w olbrzymiej kuli ziemi stanowiącej jego tułów. Do szczytu ulicy dotarł na chybotliwych kikucikach, a po chwili i one się wchłonęły, i nic już nie utrzymywało go w równowadze. Jego okrągłe ciało zaczęło się staczać drugą stroną wzgórza — z początku powoli, potem coraz szybciej i szybciej. Nie dawało się go już zatrzymać: miażdżył po drodze domy, wozy i ludzi, i nie przestawał rosnąć. Zatoczył się do portu, gdzie zsunął się po pękającym na drzazgi doku i z pluskiem runął do morza, podnosząc ogromną falę, która przytopiła okoliczne statki i łodzie. Znoszony przez wodę zaczął rosnąć jeszcze szybciej, a jego trawa, ziemia, piasek i wodorosty rozrastały się na powierzchni wody, aż powstała z nich niewielka wyspa. To przeobrażenie tak go pochłonęło, że nawet nie zauważył, jak zbliża się do niego kilka wojennych okrętów cesarza. Poczul je dopiero, kiedy otworzyły ogień z armat. Ból był niewiarygodny. Od jego krwi morze pokryło się w słońcu złotym blaskiem. Pomyślał, że oto nadszedł kres jego życia — ale wtedy usłyszał znajomy głos. To ojciec wołał go po imieniu. Kokobolo z potężnym łoskotem wpadł pomiędzy niego i okręty. Fala, którą podniósł, przewracała flotę cesarza jak dziecięce zabawki. Zheng poczuł, że coś go chwyta pod powierzchnią wody i ojciec zaczął go ciągnąć na otwarte morze. Kiedy się oddalili od niebezpieczeństwa i wszystko ucichło, ojciec zaczął przyginać kokosowe palmy, wyrzucając jak z katapulty grudy ziemi, które spadały do dziur przestrzelonych w ciele Zhenga. — Dziękuję — powiedział Zheng głosem, który zabrzmiał jak przeciągły łoskot. Sam nie wiedział, skąd się wydobywa. — Nie zasłużyłem na twoją dobroć. — Oczywiście, że zasłużyłeś — odpowiedział ojciec. — Czekales na straży — stwierdził Zheng. — Tak — potwierdził ojciec. — Przez te wszystkie lata? — Tak — powtórzył ojciec. — Czulem, że kiedyś możesz potrzebować mojej pomocy. — Ale ja cię tak okrutnie potraktowałem. Ojciec na chwilę umilkł. Potem powiedział: — Jesteś moim synem. Krwawienie Zhenga ustało, ale poczuł gorszy ból — ból niewiarygodnego wstydu. Poczucie wstydu nie było mu obce, ale takiego nie doświadczał jeszcze nigdy. Wstydzil się na myśl o okazanej mu dobroci. Wstydzil się na myśl



o tym, jak potraktował biednego ojca. Ale najgorszy ze wszystkiego był wstyd, że kiedyś się wstydził samego siebie i doprowadził się aż do takiego stanu. — Przykro mi, ojcie — płakał. — Tak bardzo mi przykro. Płacząc, Zheng czuł, jak rośnie: jak coraz szerzej rozciągają się jego granice z piasku, ziemi i trawy, a jego wodorosty tworzą gęstwinę podwodnych zarośli. Koralowa rafa wokół ojca połączyła się z zaczątkiem rafy powstającej wokół Zhenga i starszy Kokobolo łagodnie ciągnął młodszego ku otwartemu morzu. — Jest taki piękny zakątek niedaleko Madagaskaru, tam będziemy mogli bezpiecznie odpocząć — powiedział ojciec. — Chyba dobrze ci zrobi porządna, przyjemna drzemka. Zheng pozwolił się ciągnąć i z upływem dni zaczął odczuwać coś cudownego i zupełnie dla siebie nowego. Poczł się sobą. Najwyraźniej pogłoski o brytyjskich ymbrynkach niosły się szeroko po świecie i stały się częścią legend opowiadanych nawet przez normalnych ludzi. ⇐

Dzisiaj w świecie osobliwych istot w zasadzie nie występują żywe wyspy. Jeśli jakieś istnieją, dobrze się kryją i trudno je za to winić: przez wieki na takich wyspach wydobywano ich krew, co było procesem równie bolesnym i groteskowym, jak na to wskazuje sama nazwa. ⇐

Ściśle rzecz biorąc, nie było to kłamstwo, wyspa Kokobolo bowiem rzeczywiście była ciałem jego ojca. ⇐

miał wrażenie, jakby rozumiał przeciągłe, nieziemskie sylaby pieśni.



## Gołobie od świętego Pawła




*Od redaktora:*

*Baśń o gołębiach i ich katedrze to jedna z najstarszych opowieści w osobliwej tradycji, zatem przez wieki pojawiała się ona w wielu odmiennych wersjach. Choć najczęściej spotykane wersje ukazują gołobie jako budowniczych, poniższy wariant, w którym gołobie występują jako burzyciele, wydaje mi się znacznie bardziej interesujący.*

*MN*

## Gołębie od świętego Pawła



Dawno, osobliwie dawno temu, długo przedtem zanim w Londynie pojawiły się wieże, wieżyczki czy inne wysokie budynki, wszystkie gołębie mieszkały wysoko w koronach drzew i trzymały się z dala od ludzkiego gwaru i krzątania. Gołębie nie przepadały za zapachem ludzi, za dziwnymi odgłosami, które wydobywały się z ich ust, ani za ogólnym zamętem, który ludzie siali wokół siebie. Za to bardzo im się podobały najzupełniej jadalne rzeczy, które upuszczali na ulicę albo wyrzucali na śmietniska. Gołębie lubiły więc trzymać się blisko ludzi, ale nie za blisko. Idealna odległość wynosiła jakieś dwadzieścia do czterdziestu stóp ponad ludzkimi głowami.

Potem jednak Londyn zaczął się rozrastać — nie tylko wszerz, ale i w górę, bo ludzie wznosili teraz także strażnicze wieże, kościoły z dzwonicami i inne budowle wdzierające się w świat, który gołębie traktowały jako swoją własność. Ptaki zwołały zatem wiec i w kilka tysięcy zgromadziły się na pustej wyspie pośrodku rzeki Tamizy<sup>1</sup>, żeby uzgodnić, co zrobić z ludźmi i ich rosnącymi budynkami. Gołębie rządzą się demokratycznie, dlatego wygłosiły przemówienia i podały sprawę pod głosowanie. Niewielka grupa opowiedziała się za tym, żeby cierpliwie znosić ludzi i dzielić z nimi przestworza. Jeszcze mniejsza grupa przekonywała, że należy całkiem wynieść się z miasta i znaleźć jakieś spokojniejsze miejsce na mieszkanie. Jednak ogromna większość ptaków zagłosowała za wypowiedzeniem wojny.

Oczywiście ptaki wiedziały, że nie wygrają wojny z ludźmi i wcale tego nie chciały — gdyby wszyscy ludzie zginęli, kto rozrzuciłby dla nich jedzenie? Jednak gołębie to prawdziwi mistrzowie sztuki sabotażu. Sprytnie połączyły dokuczliwe przeszkadzanie z grubszymi aktami wandalizmu, rozpoczynając tym samym wielowiekową walkę o to, by zatrzymać ludzi na ich właściwym miejscu, czyli na powierzchni ziemi. Z początku było to łatwe, bo ludzie budowali z drewna i słomy. Wystarczyło kilka żarzących się węgli wsuniętych pod dach kryty słomianą strzechą i już irytująco wysoki budynek obracał się w popiół i zgliszcza. Ludzie nie dawali się jednak zniechęcić i ku zaskoczeniu ptaków stale odbudowywali swoje siedziby. Gołębie nie nadały z paleniem wyższych budowli, które ludzie natychmiast odbudowywali.

W końcu ludzie zmyśleli i zaczęli budować wieże i dzwonnice z kamienia, więc znacznie trudniej było je spalić — dlatego gołębie zmieniły taktykę i próbowały przeszkadzać w budowie. Dziobały murarzy po głowach, przewracały im rusztowania i paskudziły na rysunki architektów. To nieco spowolniło ludzi, ale ich

nie powstrzymało i z biegiem lat ponad korony najwyższych londyńskich drzew wyrosła ogromna kamienna katedra. Gołębie uważały ją za szkaradztwo i zniewagę wobec należnej im władzy nad przestworzami. Zrobiły się okropnie zrzęдлиwe.

Na szczęście niedługo potem przybyli wikingowie, którzy złupili Londyn i zburzyli katedrę, a z nią dużą część miasta. Gołębie wprost uwielbiały wikingów, którzy nie lubili wysokich budynków i wszędzie rozrzucali smakowite odpadki. Jednak po latach wikingowie opuścili miasto, a budowniczowie dzwonnicy znowu wzięli się do pracy. Wybrali wysokie wzgórze nad rzeką i wzniesli na nim olbrzymią katedrę, która przerosła wszystkie wcześniejsze budynki. Nazwali ją katedrą świętego Pawła. Gołębie raz za razem próbowały ją spalić, ale ludzie stworzyli dla jej ochrony całą armię strażaków i wszystkie starania gołębi spęzły na niczym.

Sfrustrowane i wściekłe gołębie zaczęły podpalać okoliczne budynki, wybierając miejsca, z których porywiste wiatry mogłyby roznieść płomienie dalej. Wczesnym rankiem 2 września 1666 roku ich wysiłki uwieńczył katastrofalny w skutkach sukces. Jeden z gołębi, zwany Nesmith, zdołał podpalić piekarnię położoną o pół mili od katedry świętego Pawła. Kiedy piekarnia stanęła w ogniu, gwałtowny wiatr zaczął popychać płomienie w górę zbocza w stronę katedry. Katedra spłonęła doszczętnie — wraz z nawami, dzwonnicy i całą resztą. Po czterech dniach niszczycielskiej pożogi razem z katedrą przestało istnieć osiemdziesiąt siedem innych kościołów i ponad dziesięć tysięcy domów. Miasto obróciło się w dymiące zgłiszczaz<sup>2</sup>.

Gołębie nie miały zamiaru wyrządzić aż takich zniszczeń i zrobiło im się autentycznie przykro. Pod względem emocjonalnym było to coś zupełnie innego niż najazdy wikingów. Zniszczenia były porównywalne, ale tym razem cała wina spoczywała na gołębiach. Zwołały kolejny wiec i debatowały, czy nie powinny całkowicie opuścić Londynu. Być może — twierdziły niektóre — w ogóle nie mają prawa dłużej tu mieszkać. Głosy rozłożyły się po równo, więc ptaki postanowiły powrócić do debaty następnego dnia.

Tej nocy ludzie zaczęli się mścić. Część z nich najwyraźniej zdawała sobie sprawę, że pożar został wywołany przez gołębie, dlatego postanowili usunąć ptaki z miasta. Nasączali okruchy chleba arsenikiem, żeby je wytruć. Ścinali ulubione drzewa ptaków i niszczyli im gniazda. Przeganiali gołębiemiotłami i kijami, a nawet strzelali do nich z muszkietów. Po czymś takim ani jeden gołąb nie chciał opuścić miasta — miały przecież swoją dumę. Przegłosowały decyzję o kontynuowaniu walki.

Gołębie dziobały, paskudziły, gdzie się dało, roznosiły choroby i robiły wszystko, żeby ludziom odechciało się żyć. Ludzie ze swojej strony zaczęli się dopuszczać coraz dotkliwszych aktów przemocy. Wprawdzie ptaki nie były w stanie im zagrozić (co najwyżej — uprzykrzały życie), ale kiedy ludzie zaczęli odbudowywać katedrę — największy symbol ich arogancji — gołębie wytoczyły wojnę

na całego. Tysiącami zlatywały się na plac budowy, z narażeniem życia i zdrowia próbując przegonić murarzy. Dzień za dniem między ludźmi i ptakami toczyły się regularne bitwy. Bez względu na to, ile gołębi zginęło, nazajutrz pojawiała się ich jeszcze więcej. Sytuacja była patowa. Budowa zamarła. Wydawało się, że na miejscu katedry świętego Pawła nie powstanie nic nowego, a londyńskie gołębie już zawsze będą nękanie i zabijane.

Minął rok. Gołębie kontynuowały walkę, jednak ich liczba kurczyła się stale. Ludzie systematycznie odbudowywali resztę miasta, lecz najwyraźniej porzucili odbudowę katedry. Przemoc nie usPewnego dnia trwał akurat gołębi wiec, kiedy do wyspy przybiła wiosłowa łódź wioząca jednego człowieka. Przestraszone ptaki już chciały na niego spaść całym stadem, gdy mężczyzna uniósł ręce i zawołał: — Nie mam złych zamiarów! Gołębie szybko się przekonały, że ten człowiek różni się od pozostałych. Znał gruchającą, pohukującą mowę gołębi, choć mówił łamanym językiem i co chwila się zacinał. Mężczyzna wyjaśnił, że dużo wie o ptakach, i to w dodatku osobliwych, bo takim właśnie osobliwym ptakiem była jego własna matka. Do tego sprzyjał ich sprawie i pragnął doprowadzić do pokoju pomiędzy nimi i ludźmi. Gołębie były tym zadziwione. Urządziły głosowanie i zdecydowały, że nie wydziobią mężczyźnie oczu (przynajmniej nie od razu). Zaczęły go wypytywać. Mężczyzna nosił ptasie nazwisko: nazywał się Wren, co znaczy Strzyżyk, i był architektem. Ludzcy pobratymcy powierzyli mu dzieło kolejnej odbudowy katedry na wzgórzu. — Tracisz tylko czas — oświadczył Nesmith, przywódca gołębi, który rozniecił wielki pożar. — Zbyt wielu z nas oddało życie, żeby właśnie temu zapobiec. — Oczywiście niczego nie da się zbudować, jeśli nie będzie pokoju — odpowiedział Wren — a pokój nie jest możliwy bez porozumienia. Przybywam tu szukać nowego porozumienia pomiędzy wami a nami. Po pierwsze: uznajemy, że przestworza należą do was i nie zamierzamy w nich niczego budować bez waszej zgody. — A dlaczego mielibyśmy się zgodzić? — Bo nowa budowla będzie inna niż te, które budowaliśmy dotąd. Nie będzie służyła tylko ludziom. Będzie również wasza. Nesmith zaśmiał się. — A na co nam budynek? — Ależ przyjacielu — powiedział inny gołąb — gdybyśmy mieli własną budowlę, moglibyśmy się w niej chronić w niepogodę przed zimmem i deszczem. Moglibyśmy w niej budować gniazda, składać jaja i siedzieć w cieple. — A ludzie mieliby się kręcić i nam przeszkadzać? Nie ma mowy! — odparł Nesmith. — Potrzebujemy przestrzeni wyłącznie dla siebie. — A gdybym wam to właśnie obiecał? — zapytał Wren. — Zbuduję katedrę tak wysoką, że górna połowa nie przyda się ludziom na nic. Na obietnicy się nie skończyło. Wren codziennie wracał, żeby omawiać swoje plany, a nawet zmieniać je zgodnie z kapryсами gołębi. Ptaki zażyczyły sobie najprzeróżniejszych zakątków i zakamarków, dzwonnicy i łuków, które ludziom właściwie były na nic, lecz dla gołębi były niczym przytulne i zaciszne salony, a Wren się na to zgodził. Obiecał nawet gołębiom, że będą miały własne wejście wysoko nad

powierzchnią ziemi, dostępne wyłącznie dla skrzydlatych istot. W zamian gołębie obiecały nie przeszkadzać w budowie, a po jej zakończeniu nie hałasować zbyt często podczas nabożeństw i nie paskudzić z góry na modlących się ludzi. Tak doszło do historycznej ugody. Wojna między gołębiami i ludźmi dobiegła końca i odtąd obie strony najwyżej działały sobie nawzajem na nerwy. Wren wybudował swoją katedrę — ich wspólną katedrę — w formie dumnej, wysokiej budowli, a gołębie już nigdy nie próbowały jej zniszczyć. Przeciwnie, katedra świętego Pawła budziła w nich taką dumę, że przysięgły jej strzec — i strzegą po dziś dzień. Kiedy wybuchł pożar, gołębie zlatują się i gaszą płomień trzepotaniem skrzydeł. Odganiają wandalów i złodziei. Podczas wielkiej wojny całe eskadry gołębi spychały w locie bomby, żeby nie spadły na katedrę. Można śmiało powiedzieć, że katedra świętego Pawła nie stałaby dziś nienaruszona, gdyby nie jej skrzydlaci opiekunowie. Wren zawarł z gołębiami przyjaźń na całe życie. Aż do śmierci ten najbardziej szanowany z angielskich architektów wszędzie chodził w towarzystwie gołębia, który służył mu radami. Nawet po jego śmierci ptaki odwiedzały go od czasu do czasu w świecie w dole. Po dziś dzień można oglądać zbudowaną przez nich katedrę górującą nad miastem oraz strzegące jej osobliwe gołębie. Dzisiaj wyspa nosi nazwę Eel Pie Island. Od wieków stanowi miejsce spotkań osobliwców. Była ulubionym zakątkiem króla Henryka VIII, a w dwudziestym wieku tłumnie odwiedzali ją hippisi, anarchiści i muzycy rockowi. ↵


Niektóre relacje z pożaru wspominają wręcz, że gołębie trzepotały skrzydłami, aby wzniecić płomień. Należy przyznać, że był to haniebny rozdział w dziejach osobliwych istot. ↵

tawała, bo nienawiść między ludźmi i ptakami weszła obu stronom w krew.





## O dziewczynie, która poskramiała senne koszmary



Była raz pewna dziewczyna imieniem Lavinia, która najbardziej ze wszystkiego pragnęła leczyć ludzi, tak jak jej ojciec. Miała dobre serce, bystry umysł i bardzo lubiła pomagać ludziom. Byłaby świetną lekarką, ale ojciec twierdził, że to niemożliwe. On również miał dobre serce i chciał tylko uchronić córkę przed rozczarowaniem — w owych czasach nie było w Ameryce kobiet-lekarzy. Wydawało się to nie do pomyślenia, żeby Lavinie przyjęto do akademii medycznej, dlatego popychał ją ku bardziej praktycznym ambicjom.

— Ludziom można pomagać na wiele sposobów — tłumaczył jej. — Mogłabyś być nauczycielką.

Lavinia jednak nie znosiła swoich nauczycieli. Kiedy jej koledzy chodzili na lekcje przedmiotów ścisłych, Lavinia i koleżanki uczyły się gotować i szydełkować. Jednak dziewczynka nie dawała się zniechęcić. Podbierała chłopcom podręczniki i uczyła się ich na pamięć. Podglądała przez dziurkę od klucza, kiedy ojciec badał w gabinecie pacjentów, i nie przestawała go męczyć pytaniami na temat pracy. Rozcinała złapane na podwórku żaby i badała, co mają w środku. Kiedyś przyjdzie taki dzień, obiecywała sobie, w którym odkryje nowe lekarstwo na jakąś chorobę. Przyjdzie taka chwila, że zdobędzie sławę.

Nigdy nie odgadłaby, jak szybko miała przyjść ta chwila, ani jaką przybierze formę. Młodszego brata Lavinii, Douglasa, zawsze męczyły złe sny, które w ostatnich miesiącach dokuczały mu coraz bardziej. Często budził się w nocy z krzykiem, przekonany, że jakieś potwory chcą go pożreć.

— Potwory nie istnieją — pocieszała go Lavinia pewnego wieczoru. — Kiedy zasypiasz, spróbuj pomyśleć o jakichś miłych, małych zwierzątkach, albo wyobraź sobie, jak nasz Reks baraszkuje po polu. — To mówiąc, poklepała należącego do nich starego psa zwiniętego w kłębek u stóp łóżka.

Następnej nocy Douglas spróbował przed snem myśleć o Reksie i o żółtych kurczaczkach, jednak w jego snach pies zmienił się w potwora, który poodgryzał kurczakom głowy, i Douglas znowu obudził się z krzykiem.

Ojciec niepokoił się, czy chłopcu coś nie dolega. Zajrzał mu do oczu, uszu i gardła, obejrzał go całego, żeby sprawdzić, czy nie ma wysypki, ale nie znalazł żadnych fizycznych objawów choroby. Tej nocy koszmary były tak okropne, że Lavinia postanowiła sama zbadać Douglasa na wypadek, gdyby ojciec coś przeoczył.

— Ale ty nie jesteś lekarzem — zaprotestował Douglas. — Jesteś tylko moją siostrą.

— Siedź cicho i się nie ruszaj — odpowiedziała. — Powiedz: „Aaaa!”.

Zajrzała mu do gardła, nosa i uszu. Świecąc sobie latarką, głęboko w jego uchu zauważyła masę dziwnej, czarnej substancji. Wsadziła bratu palec do ucha i zaczęła nim kręcić, a kiedy go wyciągnęła, do czubka jej palca przyklejona była nitka czegoś dziwnego i czarnego jak sadza. Odsunęła rękę, a z ucha Douglasa wysunął się prawie metr czarnej nici.

— Ej, to łaskocze! — zaśmiał się brat.

Lavinia zwinęła nić w kłębek, który wzięła do ręki. Nić wierciła się lekko jak żywa. Pokazała kłębek ojcu.

— Dziwna sprawa — powiedział, unosząc go do światła.

— Co to takiego? — zapytała.

— Nie jestem pewien. — Ojciec zmarszczył brwi. Nitka wierciła się i powoli wysuwała mu się z dłoni, zmierzając w stronę Lavinii. — Ale chyba cię lubi.

— Może to jakieś nowe odkrycie! — Lavinia była podekscytowana.

— Wątpię — powiedział ojciec. — W każdym razie nie zwracaj tym sobie głowy. — Poglądził ją po włosach i schował nici do szuflady, którą zamknął na klucz.

— Ja też chciałabym się jej przyjrzeć — powiedziała.

— Już pora na obiad — uciszył ją ojciec.

Rozzłoszczona Lavinia poszła do swojego pokoju, tupiąc nogami.

Być może na tym skończyłaby się cała sprawa, gdyby nie to, że ani tamtej nocy, ani żadnej następnej Douglasa nie męczyły już senne koszmary, a swoje wyleczenie brat w pełni przypisał Lavinii.

Ojciec nie był tego taki pewny. Ale gdy niedługo potem odwiedził go pacjent, który uskarżał się na bezsenność spowodowaną koszmarami, a lekarstwa przepisywane przez doktora nie skutkowały, ojciec niechętnie poprosił Lavinie, żeby zajrzała pacjentowi do ucha. Dziewczynka miała zaledwie jedenaście lat i była mała jak na swój wiek, więc musiała stanąć na krześle, żeby zajrzeć do ucha pacjenta. I rzeczywiście, ucho było całe zapchane tą samą czarną, nitkowatą substancją, której nie zauważył ojciec. Wsadziła pacjentowi palec do ucha, powierciła nim nieco i wydobyla nitkę. Nitka była długa i tak mocno trzymała się wnętrza głowy, że Lavinia musiała zejść ze stołka, mocno zaprzeć się obcasami o podłogę i szarpać ją obiema rękami. Kiedy nić w końcu wyszła z głowy pacjenta, Lavinia aż przewróciła się na wznak, a pacjent spadł z lekarskiego stołu, na którym go badała.

Ojciec wyrwał jej czarną nić z ręki i wetknął do szuflady razem z poprzednim kłębkiem.

— Ale to moje! — zaprotestowała Lavinia.

— Tak naprawdę to należy do tego pana — odpowiedział ojciec, pomagając pacjentowi pozbierać się z podłogi. — A teraz idź i pobaw się z bratem.

Mężczyzna wrócił po trzech dniach — odkąd Lavinia usunęła mu z ucha

nitkę, nie miał ani jednego koszmaru.

— Pańska córka to cudotwórczyni! — powiedział ojcu, od ucha do ucha uśmiechając się jednak do Lavinii.

Gdy rozeszła się wieść o jej tajemniczym talencie, do ich domu zaczęli napływać pacjenci pragnący, żeby Lavinia uwolniła ich od koszmarów. Dziewczynka była zachwycona — może w ten sposób będzie mogła nieść ludziom pomoc?<sup>1</sup>

Jednak ojciec odsyłał wszystkich z kwitkiem, a kiedy go zapytała, dlaczego to robi, odpowiedział tylko:

— Nie przystoi, żeby młoda dama grzebała nieznanym osobom palcem w uchu.

Lavinia podejrzewała jednak, że dezaprobata ojca ma inną przyczynę — do niej przychodziło więcej pacjentów niż do ojca. Tata był po prostu zazdrosny. Rozgoryczona i sfrustrowana postanowiła poczekać na swoją okazję. Tak się szczęśliwie złożyło, że kilka tygodni później ojciec musiał wyjechać z domu w pilnej sprawie. Wyj— Obiecuj mi, że nie będziesz... — zaczął ojciec i pokazał palcem na ucho. (Sam nie wiedział, jak ma nazwać umiejętność Lavinii, a zresztą i tak nie lubił o tym rozmawiać). — Obiecuję — powiedziała Lavinia, przezornie krzyżując palce za plecami. Doktor ucałował dzieci, dźwignął z podłogi swoje torby podróżne i wyjechał. Nie było go zaledwie kilka godzin, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Lavinia otworzyła i zastała na ganku młodą kobietę ze zboląłą miną. Kobieta była blada jak śmierć, a jej okolone ciemnymi obwódkami oczy miały zaszczuty wyraz. — Czy to ty potrafisz usuwać koszmary? — zapytała kobieta błagalnym tonem. Lavinia wpuściła ją do środka. Gabinet ojca był zamknięty na klucz, dlatego kazała kobiecie wejść do salonu i położyć się na kanapie, a następnie wydobyła jej z ucha wielką obfitość czarnych nici. Kiedy skończyła, młoda kobieta rozplakała się z wdzięczności. Lavinia podała jej chusteczkę, nie przyjęła zapłaty i odprowadziła ją do drzwi. Kiedy kobieta wyszła, Lavinia odwróciła się i zobaczyła, że z korytarza patrzy na nią Douglas. — Tata mówił, że masz tego nie robić — powiedział surowo. — Nic ci do tego, to moja sprawa — odparła Lavinia. — Chyba nie wygadasz? — Może tak, a może nie — odpowiedział nieprzyjemnym tonem. — Jeszcze nie wiem. — Uważaj, bo jeśli to zrobisz, wszystko wróci na swoje miejsce! — Uniosła spleciony koszmar i udała, że wkłada go Douglasowi do ucha, a brat uciekł z pokoju. Kiedy tak stała, czując lekkie wyrzuty sumienia, że nastraszyła brata, nic w jej dłoni uniosła się jak wąż przed zaklinaczem i wskazała na drugi koniec korytarza. — O co chodzi? — zapytała. — Wybierasz się dokądś? Ruszyła w kierunku wskazanym przez nią. Na końcu korytarza nic się wygięła i wskazała w lewo — na gabinet ojca. Kiedy Lavinia stanęła przed zamkniętymi na klucz drzwiami, nitka wyciągała się do zamka. Lavinia uniosła rękę i pozwoliła nici wślizgnąć się do dziurki od klucza, a po paru chwilach zamek szcęknął i drzwi były otwarte. —

Ojej — powiedziała. — Ale z ciebie spryciarz, mój mały koszmar! Wślizgnęła się do gabinetu i zamknęła drzwi. Nic wysunęła się z zamka, zsunęła się z powrotem do jej dłoni, a następnie wskazała na szufladę po drugiej stronie pokoju, gdzie ojciec ukrył pozostałe kłębki. Nitka chciała dołączyć do przyjaciół! Lavinie przez moment ruszyło sumienie, ale odepchnęła od siebie to uczucie. Przecież odbiera tylko swoją własność. Podeszła do szuflady, a nitka powtórzyła swoją sztuczkę z wiszącą kłódką i szuflada wysunęła się. Na swój widok obie nici zeszywniały i odsunęły się lekko. Krążyły wokół siebie niepewnie po biurku, obwąchując się niczym psy. W końcu każda najwyraźniej uznała, że jej towarzyszka nie jest groźna, i w jednej chwili splątały się, tworząc kulę wielkości pięści. Lavinia roześmiała się i klasnęła w dłonie. Ależ to fascynujące! Jakie wspaniałe! Przez cały dzień do drzwi pukali ludzie szukający jej pomocy: matka, którą dręczyły sny o utraconym dziecku; maluchy przyprowadzane przez zaniepokojonych rodziców; staruszek co noc przeżywający sceny z krwawej wojny, w której walczył przed półwieczem. Lavinia wydobyła tuziny koszarów i wszystkie dodała do kłębka. Po trzech dniach kłębek był już wielkości arbuza. Po sześciu stał się niewiele mniejszy od ich psa Rekxa, który na widok nici szczyrzył kły i warczał. (Kiedy kłab odwarwnął, Reks wypadł z domu przez otwarte okno i więcej nie wrócił). Nocami Lavinia długo nie kładła się spać, uważnie przyglądając się kłebowi. Szturczała go, wtykała w niego palce i oglądała jego kawałki pod mikroskopem. Ślęczała nad podręcznikami medycznymi ojca, szukając wzmianek o niciach w kanale słuchowym, ale niczego nie znalazła. A to oznaczało, że dokonała przełomowego odkrycia — a może nawet, że sama jest przełomową postacią! Rozgorączkowana Lavinia marzyła, że otworzy własną przychodnię, żeby nieść ludziom pomoc swoim talentem. Będą do niej przychodzić wszyscy, od nędzarzy po prezydentów, i kto wie, może kiedyś koszmary staną się przeszłością! Na tę myśl poczuła się tak szczęśliwa, że przez kilka dni niemal fruwała nad ziemią. W tym czasie brat głównie jej unikał. Na widok kłębu czuł się nieswojo — nawet kiedy kłab tkwił w jednym miejscu, nie przestawał się wiercić i dygotać, a do tego czuć było od niego nikły, ale wszechobecny zapach zgniłych jajek i wydawał z siebie niski, monotony pomruk, którego nie dawało się nie zauważyć w nocy, gdy w domu milkły inne odgłosy. Kłab ciągle trzymał się blisko jego siostry — jak oddane zwierzątko skubał ją po piętach, razem z nią wchodził i schodził po schodach, pchał się za nią do łóżka, do stołu (tu cierpliwie czekał na rzucane mu kęsy jedzenia) — a nawet do łazienki, gdzie stukał w zamknięte drzwi, dopóki Lavinia nie wyszła<sup>2</sup>. — Powinnaś się tego pozbyć — powiedział Douglas siostrze. — To zwykle śmieci powyciągane ludziom z głów. — Lubię mieć Baxtera przy sobie — oświadczyła Lavinia. — Nadałaś temu czemuś imię? Lavinia wzruszyła ramionami. — Dla mnie jest uroczy. Jednak w rzeczywistości Lavinia nie wiedziała, jak się ma go pozbyć. Spróbowała zamknąć Baxtera w kufrze, żeby pójść do miasta bez toczącego się za nią

kłębu, ale ten wyłamał wieko. Wrzeszczała na niego, karciała go, ale Baxter tylko podskakiwał w miejscu, podekscytowany okazywaną mu uwagą. Spróbowała nawet wsadzić go do worka, zawiązać i wrzucić do rzeki na obrzeżach miasteczka, ale Baxter jakoś zdołał się uwolnić i wrócił jeszcze tej samej nocy: przecisnął się przez otwór do wrzucania listów, wtoczył się po schodach i zaczął jej skakać po klatce piersiowej, cały brudny i przemoczony. Z czasem Lavinia doszła do wniosku, że jeśli nada myślącej kuli koszmarów jakieś imię, przynajmniej poczuje się mniej nieswojo w jej towarzystwie. Przez cały ten czas Lavinia nie chodziła do szkoły, jednak po tygodniu nie mogła już więcej opuszczać lekcji. Wiedziała, że Baxter pójdzie za nią, więc żeby nie musiała wyjaśniać nauczycielom i dzieciom, co robi u niej kłęb koszmarów, wepchnęła go do plecaka, przerzuciła przez ramię i zabrała ze sobą. Dopóki trzymała plecak blisko siebie, Baxter siedział cicho i nie sprawiał problemów. Jednak Baxter nie był jej jedynym problemem. Wieść o jej talencie rozeszła się wśród uczniów i kiedy nauczycielka akurat patrzyła w inną stronę, pewien puciołowaty łobuz nazwiskiem Glen Farcus wcisnął Lavinii na głowę kapelusz czarownicy zrobiony z papieru. — To chyba twoje! — powiedział, a wszyscy chłopcy wybuchli śmiechem. Lavinia podarła kapelusz i rzuciła go na podłogę. — Nie jestem czarownicą — syknęła. — Jestem lekarką! — Co ty powiesz? — nie dowierzał. — Czy to dlatego musisz chodzić na zajęcia z robienia na drutach, kiedy chłopcy uczą się przedmiotów ścisłych? Chłopcy śmiali się tak głośno, że nauczycielka straciła cierpliwość i kazała wszystkim przepisywać do zeszytu hasła ze słownika. Kiedy klasa pracowała w ciszy, Lavinia sięgnęła do plecaka, wyciągnęła z Baxtera pojedynczą nitkę i coś do niej zaszeptła. Nitka spełzła niczym gąsienica po nodze ławki, przeszła po podłodze, wspięła się na krzesło Glena i weszła mu do ucha. Glen niczego nie zauważył, tak samo jak pozostali. Jednak następnego dnia przyszedł do szkoły błądy i roztrzęsiony. — Co ci jest, Glen? — zapytała go Lavinia. — Czyżby źle ci się spało w nocy? Chłopiec spojrział na nią szeroko otwartymi oczami. Powiedział nauczycielce, że musi wyjść, i już nie wrócił do klasy. Tego wieczoru Lavinia i Douglas dostali wiadomość, że ojciec wróci następnego dnia. Lavinia wiedziała, że musi jakoś ukryć Baxtera przed ojcem, przynajmniej na początku. Wykorzystała więc umiejętności opanowane na znienawidzonych zajęciach z prowadzenia gospodarstwa domowego: rozplotła Baxtera, zrobiła z niego na drutach pończochy i naciągnęła je sobie na nogi. Nogi swędziały w nich jak szalone, ale przynajmniej ojciec niczego nie zauważył. Ojciec wrócił nazajutrz po południu, pokryty kurzem i zmęczony podróżą. Przytulił dzieci i powiedział Douglasowi, żeby zajął się sobą, bo musi porozmawiać z Lavinią na osobności. — Czy byłaś grzeczna? — zapytał ojciec. Lavinie nagle zaczęły okropnie swędzieć nogi. — Tak, tato — odpowiedziała, trąc jedną stopą o drugą. — W takim razie jestem z ciebie dumny — rzekł ojciec. — Zwłaszcza że przed wyjazdem nie wyjaśniłem ci zbyt dobrze, dlaczego nie chcę, żebyś korzystała ze swojego

daru. Ale może teraz uda mi się to lepiej wytłumaczyć. — Tak? — zapytała Lavinia. Nie mogła się na niczym skupić. Tylko ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się od drapania po nogach. — Koszmary to nie to samo co guzy albo ropiejące rany. Oczywiście są nieprzyjemne, ale czasami rzeczy nieprzyjemne też mogą czemuś służyć. Może nie należało ich wszystkich usuwać. — Myślisz, że koszmary mogą być dobre? — spytała Lavinia. Znalazła odrobinę ulgi, pocierając stopą o twardą nogę krzesła. — Może niekoniecznie dobre — odparł ojciec. — Ale wydaje mi się, że jedni ludzie zasługują na dręczące ich koszmary, a inni nie. Skąd możesz wiedzieć, czy ktoś zasłużył, czy nie? — Ja to po prostu czuję — wyjaśniła Lavinia. — A jeśli się mylisz? — spytał ojciec. — Laviniu, wiem, że jesteś mądrą dziewczynką, ale błędy zdarzają się każdemu. — Wtedy mogłabym je włożyć z powrotem. Zaskoczony ojciec spojrział na nią z niepokojem. — Potrafisz wkładać koszmary z powrotem na miejsce? — Tak, ja... — Już chciała opowiedzieć ojcu o Glenie, ale się rozmyśliła. — Tak mi się przynajmniej wydaje. Ojciec westchnął głęboko. — To zbyt wielka odpowiedzialność jak na dziecko w twoim wieku. Obiecuj, że nie będziesz tego więcej próbować, dopóki nie będziesz starsza. O wiele starsza. Lavinie tak bardzo dręczyło już swędzenie, że słuchała ojca tylko jednym uchem. — Obiecuję! — zawołała i rzuciła się pędem po schodach do sypialni, żeby zdjąć pończochy. Zamknęła drzwi na klucz, zdjęła sukienkę i zaczęła szarpać pończochy, ale nie chciały schodzić z jej nóg. Baxterowi podobało się, że tak ciasno przylega do jej skóry. Ciągnęła, szarpała i podwahała, lecz pończochy ani drgnęły. Spróbowała nawet użyć nożyka do otwierania listów, jednak metalowe ostrze wygięło się, nie mogąc nawet odrobinę oddzielić pończoch od skóry. Wreszcie zapaliła zapałkę i przysunęła ją do stopy. Baxter zaczął się wiercić i piszczeć. — Nie zmuszaj mnie do tego! — powiedziała Lavinia i bliżej przysunęła zapaloną zapałkę. Baxter niechętnie odkleił się od niej i powrócił do swej kulistej postaci. — Niedobry Baxter! — skarciła go. — Bardzo źle się zachowałeś! Baxter spłaszczyl się nieco, skulony ze wstydu. Wyczerpana Lavinia padła na łóżko i zaczęła się zastanawiać nad tym, co powiedział ojciec: że usuwanie koszmarów wiąże się z wielką odpowiedzialnością. Niewątpliwie miał rację. Baxter już teraz dawał jej się we znaki, a im więcej koszmarów Lavinia zbierze od ludzi, tym większy urośnie. Co ona ma z nim zrobić? Nagle zerwała się i usiadła na łóżku z rozjaśnioną miną. Miała nowy pomysł. Ojciec mówił, że niektórzy zasługują na dręczące ich koszmary. Przyszło jej do głowy, że nawet jeśli koszmary zabrała, to przecież nie znaczy, że musi je wszystkie zachować. Lavinia stałaby się Robin Hoodem sennych koszmarów — mogłaby uwalniać od koszmarów ludzi dobrych i oddawać je złym, a w dodatku nie chodziłby za nią wszędzie kłębek koszarnej nici! Znaleźć ludzi dobrych nie będzie trudno, za to trzeba będzie ostrożnie wybierać tych złych — nie chciałyby skazać na koszmary kogoś niewłaściwego. Usiadła więc do biurka i przygotowała listę najgorszych ludzi w miasteczku. Na samej górze listy znalazła

się pani Hennepin, dyrektorka miejscowego sierocińca. Wszyscy wiedzieli, że bije podopiecznych jeździecką szpicrutą. Drugi był pan Beatty, miejscowy rzeźnik, o którym mówiono, że się wywinął od kary za zabójstwo żony. Następny był Jimmy, kierowca omnibusu, który po pijanemu przejechał psa-przewodnika niewidomego pana Fergusona. Dalej znaleźli się ci wszyscy, którzy byli po prostu niegrzeczni albo nieprzyjemni (ta lista była znacznie dłuższa), a na końcu ludzie, których Lavinia zwyczajnie nie lubiła. Ta lista była najdłuższa ze wszystkich. — Baxter, do nogi! Baxter przytoczył się do krzesła Lavinii. — Czy chciałbyś mi pomóc w pewnej bardzo ważnej sprawie? Kłab wiercił się niecierpliwie. Tej samej nocy wzięli się do pracy. Lavinia, cała ubrana na czarno, włożyła Baxtera do torby, którą zarzuciła sobie na plecy. Gdy zegar wybił północ, wymknęli się z domu i okrążyli miasteczko, rozdając koszmary osobom z jej listy: najgorsze tym na samej górze, a kolejnym — pomniejsze. Lavinia wyciągała z Baxtera pojedyncze niteczki i kazała im się wspinać po rynnach i przez otwarte okna ku wyznaczonym celom. Do rana obeszli kilkadziesiąt domów, a Baxter skurczył się do rozmiarów jabłka i znowu się mieścił w kieszeni Lavinii. Wróciła do domu bardzo zmęczona i gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, zapadła w głęboki, pogodny sen. Po kilku dniach było jasne, że uczynek Lavinii nie pozostanie bez następstw. Kiedy zeszła rano na śniadanie, zobaczyła ojca siedzącego przy stole nad gazetą i kręcącego z niezadowoleniem głową. Jimmy, kierowca omnibusu, spowodował straszny wypadek, bo jeździł wyczerpany brakiem snu. Nazajutrz Lavinia usłyszała, że pani Hennepin, przejęta jakąś niewiadomą dolegliwością, tak dotkliwie pobiła kilka sierot, aż zapadły w śpiączkę. Dzień później wiadomości dotyczyły pana Beatty'ego, rzeźnika, o którym mówiono, że zabił żonę — mężczyzna rzucił się z mostu. Dręczona poczuciem winy Lavinia przysięgła sobie nie używać talentu, dopóki nie będzie starsza i nie nauczy się podejmować roztropniejszych decyzji. Ludzie nadal pukali do jej drzwi, jednak odsyłała wszystkich z niczym, nawet kiedy próbowali przemówić do jej uczuć łzawymi historiami. — W tej chwili nie przyjmuję nowych pacjentów — odpowiadała. — Przykro mi. Jednak ludzie nie przestawali przychodzić i Lavinii zaczęła się kończyć cierpliwość. — Nic mnie to nie obchodzi, idźcie sobie! — krzyknęła, trzaskając im drzwiami przed nosem. Nie było to prawdą. W rzeczywistości bardzo ją to wszystko obchodziło, jednak to drobne okrucieństwo było niczym zbroja chroniąca przed cudzym cierpieniem. Musiała otoczyć swe serce murem, żeby nie wyrządzić jeszcze większych szkód. Po kilku tygodniach wyglądało na to, że już umie panować nad uczuciami. Wtedy jednak, późnym wieczorem, do okna jej sypialni ktoś zastukał. Odsunęła okienną żaluzję i na rozświetlonej księżycowym blaskiem trawie zobaczyła młodego chłopaka. Tego dnia odprawiła go już wcześniej spod drzwi. — Czy nie mówiłam, że masz sobie pójść? — zawołała przez pękniętą szybę. — Przepraszam — odpowiedział — ale jestem w rozpaczliwej sytuacji. Jeśli ty nie możesz mi pomóc, może znasz kogoś, kto

zdoła zabrać moje koszmary. Boję się, że mnie doprowadzą do obłądu. Za dnia Lavinia prawie nie spojrzała na chłopaka, ale teraz coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że przyjrzała mu się uważniej. Miał łagodną twarz i dobre, życzliwe oczy, ale jego ubranie było brudne, a włosy potargane, jakby ledwie uszedł z życiem z jakiejś tragedii. Choć noc była ciepła i sucha, cały się trząsał. Lavinia wiedziała, że powinna opuścić żaluzje i znowu odesłać go spod okna. Jednak na przekór głosowi rozsądku słuchała, jak chłopak wylicza dręczące go we śnie potworności: diabły i potwory, inkuby i sukuby, sceny jakby prosto z piekła rodem. Od samego słuchania o tym Lavinie przeszedł dreszcz, a nie była osobą podatną na dreszcze. Mimo to nie dawała się skusić. Nie chciała mieć więcej do czynienia z uciążliwymi niemi koszmarów, więc odpowiedziała, że z wielką przykrością musi mu odmówić. — Idź do domu — powiedziała. — Już późno, twoi rodzice będą się niepokoić. Chłopak wybuchnął płaczem. — Wcale nie — zaszlochał. — Dlaczego? — zapytała, choć czuła, że nie powinna tego robić. — Czy są dla ciebie okrutni? Źle cię traktują? — Nie — odpowiedział. — Moi rodzice nie żyją. — Nie żyją! — zawołała. Jej matka zmarła na szkarlatynę, kiedy Lavinia była mała, a i tak bardzo przeżyła jej stratę. Ale stracić oboje rodziców! Czuła, że w jej zbroi pojawił się słaby punkt. — Może jakoś bym to zniósł, gdyby mieli spokojną śmierć, ale tak nie było — powiedział chłopak. — Zostali zabici, zamordowani na moich oczach. Stąd biorą się moje straszne koszmary. Lavinia wiedziała już, że mu pomoże. „Jeśli wrodzony talent miałby uwolnić od koszmarów choć jedną jedyną osobę, to z pewnością był to ten chłopak” — pomyślała. Nawet jeśli Baxter znowu od tego urośnie i nie da się go już ukryć, cóż, w takim razie trzeba go będzie pokazać ojcu i przyznać się, co zrobiła. „Ojciec zrozumie, kiedy usłyszy opowieść chłopaka”. Wpuściła go do środka, kazała się położyć na swoim łóżku i wyciągnęła mu z ucha zdumiewające ilości czarnej nici. Lavinia nigdy dotąd nie widziała osoby o umyśle zapchanym tak ogromną liczbą koszmarów. Kiedy skończyła, nici pokrywały całą podłogę pokoju niczym szeroki, wiercący się materac. Chłopak podziękował jej z dziwnym uśmiechem i wyslizgnął się przez okno tak szybko, że rozdarł sobie koszulę o framugę. Godzinę później przyszedł świt, ale Lavinii wciąż nie dawał spokoju dziwny uśmiech chłopaka. Nowa nić jeszcze nie zebrała się w kulę, a Baxter, który chyba się bał nowego kłębu, tkwił zalękniony w jej kieszeni. Ojciec zawołał dzieci na śniadanie. Lavinia zdawała sobie sprawę, że nie jest jeszcze gotowa się przyznać. To była długa noc, najpierw musi coś zjeść. Zamiotła nową nić pod łóżko, zamknęła drzwi sypialni na klucz i zeszła na śniadanie. Ojciec siedział przy stole pochłonięty lekturą gazety. — Coś potwornego — mruknął, kręcąc głową. — Co się stało? — zapytała Lavinia. Ojciec odłożył gazetę. — To coś tak zwyrodniałego, że nawet nie wiem, czy ci powiedzieć. Ale to się zdarzyło w naszych stronach, więc pewnie i tak się dowiesz prędzej czy później. Kilka tygodni temu pewien człowiek i jego żona zostali zamordowani z zimną krwią. A zatem chłopak mówił



prawdę. — Rzeczywiście, coś o tym słyszałam — powiedziała Lavinia. — Nie to jest najgorsze — dodał ojciec. — Policjanci chyba w końcu wpadli na trop głównego podejrzanego. To był adoptowany syn tych ludzi. Teraz trwa za nim pościg. Lavinia poczuła, że robi jej się słabo. — Co takiego? — Sama przeczytaj. — Ojciec przesunął jej gazetę po stole. Na samej górze pierwszej strony widniało niewyraźne zdjęcie chłopaka, który ledwie parę godzin wcześniej był u niej w pokoju. Lavinia padła na krzesło i kurczowo chwyciła się krawędzi stołu, czekając, aż pokój przestanie wokół niej wirować. — Wszystko w porządku? — zapytał ojciec. Zanim zdążyła odpowiedzieć, z jej sypialni dobiegł głośny łoskot. Nowy koszmar skończył się zwijać w kłęb i teraz chciał być blisko niej. Łup. Łup. — Douglas, czy to jakieś twoje kawały? — zawołał ojciec. — Ja jestem tutaj — odparł Douglas, wychodząc z kuchni w piżamie. — Co to za hałas? Lavinia popędziła do pokoju, odsunęła na bok krzesło i otworzyła drzwi. Nic rzeczywiście przybrała kształt kuli. Nowy Baxter był ogromny. Miał szerokość drzwi, sięgał jej prawie do pasa, a do tego miał paskudny charakter. Zataczał wokół Lavinii ciasne kręgi, warcząc i węsząc, jakby się zastanawiał, czy ma ją pożreć. Kiedy ojciec wielkimi susami wbiegł do niej po schodach, Nowy Baxter rzucił się na niego. Lavinia błyskawicznie wyciągnęła rękę i zdołała go złapać za jedną z nitek. Ciągnąc z całej siły, jakoś utrzymała potwora. Silnym szarpnięciem wciągnęła Nowego Baxtera do sypialni i zatrzaskała drzwi. Serce waliło jej jak młotem: kłęb właśnie pożerał jej krzesło, pozostawiając za sobą strużkę trocin niczym ślady odchodów. Oj, niedobrze. Coś przeokropnego! Jakby tego było mało, że Nowy Baxter w porównaniu ze Starym przypominał wściekłego psa, bo nie powstał ze snów niewinnych dzieci, tylko z koszmarów mordercy o duszy przeżartej zbrodnią, to jeszcze w dodatku zabójca pozostawał na wolności, a ona uwolniła go od lęku i wszelkich zahamowań. Jeśli znowu kogoś zabije, przynajmniej w jakimś stopniu będzie to również jej wina. Nowego Baxtera nie wystarczy po prostu wrzucić do ognia i pozbyć się go — kłęb musi wrócić na swoje miejsce w głowie chłopaka. Ta myśl ją przeraziła. Jak go znaleźć? A nawet jeśli go znajdzie, co go powstrzyma przed zabiciem i jej? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że musi spróbować. Wyciągnęła z Nowego Baxtera grubą garść nitek i owinęła je sobie wokół ręki jak smycz. Szarpnęła nią i pociągnęła kłęb w stronę okna, żeby wyjść z domu. Pod oknem leżał oddarty strzęp koszuli chłopaka. Podniosła go i dała Nowemu Baxterowi do powąchania. — Kola-cja — powiedziała. Skutek był natychmiastowy. Nowy Baxter omal nie wyrwał Lavinii ręki, ciągnąc ją przez podwórze i dalej drogą. Biegł tropem chłopaka przez większą część dnia, ciągnąc za sobą Lavinie i krążąc między domami, aż opuścili granice miasteczka. Ruszyli wiejską drogą i dotarli na zupełne pustkowie. Wreszcie, kiedy zachodziło już słońce, natknęli się na duże, samotnie stojące budynki — sierociniec pani Hennepin. Z okien na parterze buchał dym. Sierociniec płonął. Lavinia usłyszała krzyki dobiegające z drugiej strony budynku. Rzuciła się pędem

za róg, ciągnąc za sobą Nowego Baxtera. W oknie na piętrze stała piątka sierot. Dzieci z trudem chwytały oddech w spowijających je kłębach dymu. Pod nimi stał na ziemi znajomy chłopak i śmiał się. — Co ty zrobiłeś?! — krzyknęła Lavinia. — W tym potwornym domu upłynęły mi najważniejsze lata dzieciństwa — powiedział. — Teraz robię to samo, co ty: usuwam koszmary z powierzchni ziemi. Nowy Baxter zaczął się szarpać na smyczy, ciągnąc ją w kierunku chłopaka. — Bierz go! — krzyknęła Lavinia i puściła smycz. Nowy Baxter potoczył się w kierunku chłopaka, ale zamiast go pożreć, wskoczył mu na ręce i polizał po twarzy. — Witaj, stary druhu! — powiedział chłopak ze śmiechem. — Teraz nie mam czasu się bawić, ale proszę bardzo: aport! Podniósł z ziemi kij i rzucił. Nowy Baxter skoczył za kijem i wbiegł prosto do płonącego budynku. Po chwili dobiegł ich nieludzki wrzask — Nowego Baxtera pochłonęły płomienie. Bezbronna Lavinia próbowała uciekać, ale chłopak dogonił ją, przewrócił i chwycił rękami za szyję. — Przygotuj się na śmierć — powiedział spokojnym tonem. — Wiele ci zawdzięczam, bo wyciągnęłaś mi z głowy te potworne koszmary, ale nie mogę cię puścić, bo będziesz knuła, jak mnie zabić. Lavinia bezskutecznie próbowała złapać powietrze. Poczula, że robi jej się ciemno przed oczami i traci przytomność. Wtedy w kieszeni spodni poczuła szarpnięcie. Stary Baxter. Wyjęła go i wcisnęła chłopakowi do ucha. Chłopak puścił jej szyję i zaczął dłubać w uchu, ale było za późno — Stary Baxter zdążył mu się wślizgnąć do głowy. Chłopak popatrzył przed siebie nieobecnym wzrokiem, jakby czytał jakieś tylko dla siebie widoczne wyrazy. Lavinia szarpała się, ale nie mogła się wyrwać. Chłopak opuścił na nią wzrok i uśmiechnął się. — Jakiś klaun, kilka olbrzymich pajaków i potwór pod łóżkiem — zaśmiał się. — Dziecięce sny. Jakie urocze. To będzie dla mnie czysta przyjemność. Znowu zaczął ją dusić. Lavinia rąbnęła go kolanem w brzuch, więc na chwilę uniół ręce z jej szyi. Zaciśnął pięść, ale zanim zdążył ją uderzyć, zawołała: — Baxter, do nogi! A Baxter — stary, wierny Baxter — nagle z całą siłą wyskoczył chłopakowi z głowy. Wyleciał mu z uszu, oczu i ust, wyrzucając przy tym obfite strugi krwi. Chłopak przewrócił się na plecy i zacharczał, a Lavinia usiadła. Dzieci nadal krzyczały o pomoc. Zebrała się na odwagę i wbiegła do budynku. Zaczął ją dławić gęsty dym. W salonie leżała na podłodze martwa pani Hennepin z nożyczkami wbitymi w oczodół. Drzwi prowadzące na schody zagraadzała szafa — z pewnością przystawił ją chłopak. — Baxter, pomóż mi! Pchaj! Z pomocą Baxtera Lavinia odsunęła szafę, po czym otworzyła drzwi i wbiegła po schodach. Na piętrze płomienie i dym były nieco mniejsze. Kolejno wyniosła wszystkie dzieci z budynku, zasłaniając im oczy, kiedy mijali panią Hennepin. Kiedy już wszyscy byli bezpieczni, padła jak długa na trawę, pólżywa od oparzeń i dymu. Obudziła się kilka dni później w szpitalu i spotkała wzrok ojca i brata, którzy stali obok jej łóżka. — Jesteśmy z ciebie bardzo dumni — powiedział ojciec. — Jesteś bohaterką, Laviniu. Po ich minach widziała, że mają mnóstwo pytań, ale na szczęście nie musiała na

nie jeszcze odpowiadać. — Strasznie się rzucałaś i jęczałaś przez sen — powiedział Douglas. — Chyba przyśnił ci się jakiś koszmar. Tak właśnie było — koszmary miały ją męczyć jeszcze przez wiele lat. Lavinia mogłaby bez trudu sięgnąć ręką do ucha i je powyciągać, ale tego nie zrobiła. Zamiast tego poświęciła się badaniu ludzkiego umysłu i pomimo wielu przeciwności jako pierwsza kobieta w Ameryce uzyskała tytuł doktora psychologii. Założyła cenioną klinikę i pomogła wielu ludziom, a choć nieraz podejrzewała, że w uszach jej pacjentów mogą się kryć jakieś koszmary, nigdy nie wykorzystwała swojego talentu, by je usunąć. Doszła do wniosku, że są na to lepsze sposoby. *Od redaktora:*

*Ta baśń jest z kilku powodów nietypowa, zwłaszcza ze względu na zakończenie. Tempo akcji i obrazy w ostatniej scenie wydają się zdecydowanie współczesne, zapewne za sprawą zmian wprowadzonych w nieodległej przeszłości. Udało mi się odnaleźć starszy wariant zakończenia, gdzie koszmar usunięty przez Lavinie z głowy chłopaka spowija ją całą, tak jak wcześniej pończochy zrobione na drutach. Nie mogąc zderzyć z siebie drżącej drugiej skóry, Lavinia ucieka od ludzi i sama staje się koszmarem. Taka wersja wydaje mi się tragiczna i niesprawiedliwa, dlatego nie dziwi mnie, że jakiś późniejszy autor wymyślił nowe, pozytywne zakończenie.*

*Niezależnie od tego, które zakończenie wolisz, morał pozostaje z grubsza ten sam, przy czym on również jest nietypowy. Baśń stanowi ostrzeżenie dla osobliwych dzieci, że pewne talenty są zbyt skomplikowane i niebezpieczne, żeby z nich korzystać, i lepiej pozostawić je w spokoju. Sam fakt, że ktoś się urodził z pewnymi umiejętnościami, nie oznacza, że mamy ich używać — a w pewnych rzadkich przypadkach wręcz nie należy ich używać. W gruncie rzeczy jest to dość przynębiająca lekcja: które osobliwe dziecko, które przecierpiało wiele problemów związanych z własną osobliwością, chciałoby usłyszeć, że jego zdolność nie jest błogostawieństwem, lecz przekleństwem? Jestem przekonany, że moja nauczycielka czytała tę baśń tylko starszym dzieciom i dlatego opowiedzieć ta, choć fascynująca, pozostaje jedną z najmniej znanych.*

MN

Osobliwa historia zna wiele przykładów osób, które potrafiły manipulować snami, jednak poza Lavinia słyszano tylko o jednej osobie, która umiała nadawać namacalny kształt sennym marzeniom. Był to mężczyzna imieniem Cyrus, który kradł przyjemne sny, bo były mu one niezbędne do życia. Cyrus okrył się złą sławą, bo noc po nocy i dom po domu okradał ze szczęścia całe miasteczka. ↵


Badacze poświęcili temu fragmentowi wiele uwagi, bo niektórzy wzięli go za wskazówkę, że kłęb koszmarów mógł mieć demoniczne pochodzenie, a Lavinia była czymś w rodzaju egzorcystki sennych marzeń. Osobiście uważam to za niedorzeczność i wydaje mi się, że niektórzy tak zwani ludzie nauki naoglądali się w wolnych chwilach zbyt wielu horrorów. Kłęb miał po prostu pewne uciążliwe

nawyki i tyle. ⇐

azd był niespodziewany i ojciec nie znalazł nikogo, kto zająłby się dziećmi.



## Szarańcza



Był kiedyś pewien pracowity imigrant imieniem Edvard, który przyjechał z Norwegii szukać szczęścia w Ameryce. W tamtych czasach Europejczycy nie dotarli jeszcze nawet do połowy kontynentu, a ziemie na zachodzie nadal należały do ludów, które po nich wędrowały od ostatniej epoki lodowcowej. Żyzne równiny pośrodku kontynentu nazywano wówczas „pograniczem” — miejscem dzikim, gdzie na odważnych czekały wielkie możliwości i jeszcze większe niebezpieczeństwa — i tam właśnie osiedlił się Edvard.

W Norwegii sprzedał wszystko, co miał, a za uzyskane pieniądze kupił ziemię uprawną i sprzęty rolnicze na terenach, które wtedy nosiły nazwę Terytorium Dakoty i gdzie osiedlało się wielu innych osadników z Norwegii. Zbudował sobie prosty dom i założył niewielkie gospodarstwo. Po kilku latach ciężkiej pracy nawet zaczęło mu się lepiej powodzić.

Mieszkańcy pobliskiego miasteczka radzili mu, żeby znalazł sobie żonę i założył rodzinę.

— Młody jesteś i krzepki — mówili. — Taka jest naturalna kolej rzeczy!

Ale Edvard nie chciał się żenić. Bardzo lubił swoje gospodarstwo i wątpił, czy w sercu znajdzie jeszcze miejsce dla żony. Zawsze uważał miłość za coś niepraktycznego, co tylko zawadza ludziom w ważniejszych sprawach. Jeszcze jako młodzieniec w Norwegii Edvard widział, jak jego najlepszy przyjaciel odrzucił szansę na dostatnie i pełne przygód życie, bo zakochał się w dziewczynie, która nawet nie chciała słyszeć o wyjeździe z Norwegii, gdzie mieszkała cała jej rodzina. W starym kraju trudno było zarobić pieniądze i teraz przyjaciel z największym trudem był w stanie wykarmić żonę i dzieci — dla kaprysu młodzieńczego serca skazał się na kompromisy i życie w niedostatku.

Los jednak sprawił, że nawet Edvard poznał taką dziewczynę, która mu przypadła do gustu. Znalazł w sercu miejsce i dla gospodarstwa, i dla dziewczyny, więc ją poślubił. Nawet nie mógł sobie wyobrazić większego szczęścia — jego dzielne serce i tak już od niego niemal pękało — więc kiedy żona poprosiła, żeby jej dał dziecko, sprzeciwił się. Jak miałby pokochać i gospodarstwo, i żonę, i jeszcze do tego dziecko? A jednak kiedy żona powiedziała, że jest w ciąży, Edvard sam się zdziwił, jak wielką radością go to przejęło, i wprost nie mógł się doczekać narodzin.

Dziewięć miesięcy później na świat przyszedł ich synek. Poród był trudny, żona była osłabiona i długo niedomagala. Z dzieckiem też nie było najlepiej. Chłopiec miał tak ogromne serce, że jego klatka piersiowa była wyraźnie większa po

jednej stronie.

— Czy dziecko przeżyje? — zapytał Edvard lekarza.

— Czas pokaże — odparł lekarz.

Nie zadowolilo to Edvarda. Zabrał więc dziecko do starego Eryka, uzdrowiciela, który w Norwegii uchodził za człowieka niepospolicie mądrego. Eryk położył dłonie na chłopcu i po chwili uniósł gwałtownie brwi.

— Ten chłopiec jest osobliwy! — wykrzyknął.

— To samo mówił lekarz — rzekł Edvard. — Ma za duże serce.

— Tu chodzi o coś więcej — powiedział Eryk. — Ale być może całe lata upłyną, zanim się okaże, co w nim jest takiego wyjątkowego<sup>1</sup>.

— Ale będzie żył? — zapytał Edvard.

— Czas pokaże — odpowiedział Eryk.

Syn Edvarda przeżył, za to jego żona była coraz słabsza i w końcu zmarła. Z początku Edvard był zdruzgotany, ale potem ogarnął go gniew. Był na siebie wściekły, bo pozwolił, żeby miłość popsuła mu plany na praktyczne życie. Teraz miał na głowie gospodarstwo, a do tego jeszcze niemowlę — i nawet nie miał żony do pomocy! Był też wściekły na dziecko: za to, że jest wyjątkowe i delikatne, ale zwłaszcza za to, że jego narodziny wpędziły matkę do grobu. Oczywiście wiedział, że to nie wina dziecka i że nie ma sensu gniewać się na niemowlę, ale nic nie mógł na to poradzić. Miłość, której niebaczenie pozwolił w sobie rozkwitnąć, teraz przemieniła się w gorycz, która tkwiła w nim niczym żółciowy kamień, i nie wiedział, jak ma ją z siebie wyrzucić.

Nazwał chłopca Ollie i wychowywał samotnie. Posłał go do szkoły, gdzie chłopiec uczył się języka angielskiego i innych przedmiotów, o których Edvard miał małe pojęcie. Pod pewnymi względami widać było od razu, że Ollie jest jego synem — przypominał ojca z wyglądu i był tak samo jak on pracowity. Poza czasem poświęcanym na naukę i sen chłopak każdą godzinę spędzał u boku ojca, zajęty orką i uprawą plonów, a z jego ust nigdy nie padło nawet jedno słowo skargi. Jednak pod innymi względami chłopiec był dla Edvarda obcy. Mówił po norwesku z amerykańskim akcentem. Wbił sobie do głowy dziwaczny amerykański pogląd, że człowieka może spotkać w życiu coś dobrego. A co najgorsze, chłopiec był ofiarą swego przerośniętego serca. Zakochiwał się w okamgnieniu. Do siódmych urodzin zdążył się oświadczyć koleżance z klasy, córce sąsiadów oraz młodej kobiecie, która grała w kościele na organach i była od niego piętnaście lat starsza. Wystarczyło, żeby z nieba spadł jakiś martwy ptak, a Ollie już całymi dniami pociągał nosem i popłakiwał. Kiedy zdał sobie sprawę, że mięso na talerzu pochodzi od zwierząt, całkiem odmówił jedzenia. Niestety, chłopak był miękki jak wosk.

Prawdziwe problemy z Olliem zaczęły się, kiedy miał czternaście lat — w roku, w którym nadciągnęła szarańcza. W całej Dakocie nie widziano dotąd czegoś takiego: ciągnące się milami roje szarańczy zasłaniały słońce niczym kłatwa

rzuciona przez Boga. Nie dało się zrobić kroku, żeby nie deptać owadów setkami. Szarańcza objadała każdy skrawek roślinności, a kiedy nie zostało ani źdźbła trawy, owady zaczęły pożerać kukurydzę i pszenicę, a potem również drewno, skórę, roślinne plecionki i darniowe poszycia dachów. Zjadały nawet wełnę owiec pasących się na polu. Kiedy pewien nieszczęśnik znalazł się w samym środku roju, szarańcza całkowicie pożarła na nim ubranie<sup>2</sup>.

Klęska szarańczy sprawiła, że osadnikom na pograniczu — w tym również Edvardowi — zajrzało w oczy całkowite zniszczenie źródeł utrzymania. W walce z szarańczą rolnicy chwyтали się wszelkich sposobów, jakie im przyszły do głowy. Usiłowali odganiać owady ogniem, dymem i trucizną. Próbowali je miażdżyć ciężkimi, kamiennymi rolnymi ciągniętymi po ziemi. Władze sąsiedniego miasteczka nakazały pod karą grzywny, żeby każdy człowiek powyżej dziesiątego roku życia dostarczył raz na tydzień na śmietnisko trzydzieści funtów zabitej szarańczy. Edvard ochoczo zabrał się do tego zadania, jednak syn odmówił zabicia choćby jednego owada. Kiedy wychodził z domu, szurał stopami po ziemi — One pożarły nam wszystkie plony! — krzyczał na syna Edvard. — Rujnują nasze gospodarstwo! — Po prostu są głodne — odpowiedział syn. — Nie robią nam krzywdy specjalnie, więc to niesprawiedliwe, żeby je specjalnie krzywdzić. — Sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy — powiedział Edvard, próbując nie stracić panowania nad sobą. — Tak już w życiu bywa, czasem trzeba zabić, żeby samemu przeżyć. — Ale teraz tak nie jest — powiedział Ollie. — Zabijanie ich nic nie dało. Edvard był całkiem czerwony na twarzy. — Masz zdeptać tę szarańczę! — zażądał, wskazując palcem siedzącego na ziemi owada. — Nie ma mowy! — powiedział Ollie. Edvarda posiniał z wściekłości. Uderzył nieposłusznego syna, ale ten nadal odmawiał zabijania owadów. Edvard spuścił mu więc lanie pasem i kazał iść do pokoju bez kolacji. Słuchając przez ścianę szlochania Olliego, Edvard patrzył przez okno na wirujący obłok szarańczy, który unosił się z jego spustoszonych pól, i czuł, jak serce twardnieje mu na myśl o synu. Wśród osadników rozeszła się wieść, że Ollie odmówił zabijania szarańczy, co rozgniewało ludzi. Władze ukarały jego ojca grzywną. Koledzy z klasy złapali Olliego, przycisnęli do ziemi i próbowali go zmusić do zjedzenia szarańczy. Jacyś ludzie, których Ollie ledwie znał, rzucali za nim przekleństwa na ulicy. Ojciec był tak wściekły i zażenowany, że przestał się odzywać do syna. Ollie nagle stracił wszystkich znajomych i nawet nie miał się do kogo odezwać. Samotność doskwierała mu tak bardzo, że zaopiekował się zwierzątkiem. Było to jedyne żywe stworzenie, które potrafiło znieść jego obecność — szarańcza. Nadał jej imię Thor, jakie nosił pradawny nordycki bóg, i trzymał pupila w ukryciu pod łóżkiem w pudełku po cygarach. Dawał Thorowi do jedzenia resztki z kolacji i posłodzoną wodę, i rozmawiał z nim do późnej nocy, kiedy już dawno powinien spać. — To nie twoja wina, że wszyscy cię nienawidzą — szeptał do Thora. — Po prostu robiłeś to, do czego jesteś stworzony. — Cirrr-cirrr! — odpowiedziała szarańcza pocie-



raniem skrzydeł. — Óóó! — szepnął Ollie, wsunął do pudełka kilka ziaren ryżu i zamknął wieczko. Ollie zaczął wszędzie nosić Thora ze sobą. Bardzo polubił swego małego owada, który siadał mu na ramieniu i ćwierkał, kiedy świeciło słońce, a wesoło podskakiwał, kiedy Ollie gwizdał jakąś melodię. Pewnego dnia ojciec odkrył pudełko Thora. Rozwścieczony złapał szarańczę, zaniósł ją do paleniska i wrzucił w płomień. Rozległ się wysoki pisk, ciche pyknięcie i Thora nie było. Kiedy Ollie zaczął płakać za utraconym przyjacielem, Edvard wygonił go z domu. — Nikt mi nie będzie płakał za szarańczę w moim własnym domu! — wrzasnął i wypchnął syna za drzwi. Ollie całą noc spędził, drżąc z zimna wśród pól. Następnego ranka ojciec pożałował swojej surowości i wyszedł szukać chłopca, jednak znalazł tylko olbrzymią szarańczę śpiącą między rzędami spustoszonej pszenicy. Edvard cofnął się o krok z odrazą. Stworzenie było wielkie jak mastif, miało uda niczym świąteczne szynki i czułki wielkości jeździeckiego bicza. Edvard pobiegł do domu po strzelbę, ale kiedy wrócił, żeby je zastrzelić, wokół potwora zaroilo się od szarańczy. Owady wylatywały do lufy, żeby ją zapchać, a następnie rozdzieliły się i utworzyły w powietrzu napis: OLLIE

Wstrząśnięty Edvard wypuścił strzelbę z rąk i wlepił wzrok w olbrzymią szarańczę, która teraz stała na tylnych nogach, zupełnie jak człowiek. Jej oczy nie były czarne jak u szarańczy, tylko niebieskie jak oczy jego syna. — Nie — powiedział Edvard. — To niemożliwe! Ale wtedy zauważył, że stworzenie ma wokół szyi porwany kołnierzyk z koszuli syna, a z jednej z nóg zwisa mu koniec nogawki spodni Olliego. — Ollie? — spytał z wahaniem. — Czy to ty? Owad poruszył głową w górę i w dół, jakby potakiwał. Edvard poczuł na całej skórze dziwne mrowienie. Miał wrażenie, że patrzy na tę scenę gdzieś spoza własnego ciała. Jego syn zmienił się w szarańczę. — Czy możesz mówić? — zapytał Edvard. Ollie potarł tylnymi nogami i rozległ się wysoki pisk, ale najwyraźniej nic więcej nie mógł zrobić. Edvard nie wiedział, jak zareagować. Na sam widok Olliego ogarniało go obrzydzenie, ale przecież coś trzeba było z chłopcem zrobić. Nie chciał, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział, dlatego zamiast wezwać lekarza z miasteczka, który był znanym gadułą, posłał po starego, mądrego Eryka. Eryk pokuśtykał za nim w pole, żeby się przyjrzeć Olliemu. Kiedy minął mu pierwszy szok, powiedział: — Jest dokładnie tak, jak przewidywałem. Trwało to wiele lat, ale w końcu jego osobliwa cecha daje o sobie znać. — Tak, niewątpliwie — powiedział Edvard — ale dlaczego? I jak to teraz odwrócić? Eryk zajrzał do starej, postrzępionej książki, którą przyniósł ze sobą. Był to ludowy zbiór wiedzy o osobliwych cechach i właściwościach, przekazywany w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie od czasów prababki, która sama była osobliwcem<sup>3</sup>. — A, proszę bardzo — powiedział, zwilżając kciuk śliną, żeby przewrócić stronę. — Tu napisali, że jeśli ktoś ma pewne szczególne osobliwe usposobienie, a do tego wielkie i szczodre serce, to kiedy ktoś taki poczuje się odrzucony i niekochany przez swój własny rodzaj, przybierze

kształty takiego stworzenia, z którym poczuje się najsilniej związany. Eryk spojrział na Edvarda z dziwnym wyrazem twarzy, a Edvard poczuł wstyd. — Twój chłopak przyjaźnił się z szarańczę? — Tak, to był jego pupil — przyznał Edvard. — Wrzuciłem mu ją do ognia. Eryk mlasnął z dezaprobatą językiem i potrząsnął głową. — Może byłeś dla niego zbyt twardy. — On jest za miękki jak na ten świat — mruknął Edvard niezadowolony. — Ale mniejsza o to. Jak mam go teraz naprawić? — To wiem i bez żadnych książek — rzekł Eryk, zamykając postrzępiony tomik. — Musisz go pokochać, Edvardzie. Eryk życzył Edvardowi powodzenia i zostawił go samego ze stworzeniem, które kiedyś było jego synem. Ten patrzył na jego długie, podobne do papieru skrzydła i okropne żuwaczki, które miał w miejscu ust. Przeszedł go dreszcz. Jak tu pokochać coś takiego? Postanowił spróbować, ale serce miał pełne urazy i jego wysiłki nie były szczerze. Zamiast okazać chłopcu dobroć, Edvard przez cały dzień prawił mu kazania. — Synu, czy ja ciebie nie Kocham? Czy ja ci nie daję jeść, nie zapewniam ci dachu nad głową? Sam musiałem zrezygnować ze szkoły i iść do pracy w wieku ośmiu lat, ale czy nie pozwoliłem ci siedzieć z nosem w książkach i pracach domowych, ile tylko dusza zapragnie? Co to niby jest, jeśli nie miłość? Co jeszcze miałbym dla ciebie zrobić, ty rozpuszczony amerykański bachorze? I tak dalej. Kiedy zapadł zmrok, Edvard nie mógł się zmusić do tego, żeby wpuścić Olliego do domu, więc przygotował mu posłanie w stodołę i dał do jedzenia resztkę z kolacji w cebrzyku. Edvard był zdania, że z chłopakiem trzeba postępować twardo, bo jeśli będzie dla Olliego zbyt miękki, tylko jeszcze bardziej go wepchnie w słabość, przez którą się zmienił w szarańczę. Rano syna nie było. Edvard cał po calu przeszukał stodołę i zajrzał do każdej bruzdy na polu, ale nigdzie nie znalazł chłopca. Kiedy Ollie nie wrócił po trzech dniach, Edvard zaczął się zastanawiać, czy na pewno podszedł do niego właściwie. Kierował się swoimi zasadami, ale co z tego? Osiągnął tylko tyle, że odepchnął od siebie jedyne go syna. Teraz, kiedy Olliego nie było, Edvard zrozumiał, jak mało ważne jest gospodarstwo w porównaniu z synem. Jednak lekcja ta przyszła za późno. Edvarda zdjął taki smutek i żal, że poszedł do miasteczka i każdej napotkanej osobie wyznał, co się stało. — Przeze mnie mój syn zmienił się w szarańczę — mówił. — Teraz już wszystko straciłem. Z początku nikt mu nie wierzył, więc poprosił starego Eryka, żeby potwierdził jego słowa. — To prawda — przytakiwał zapytany Eryk. — Jego syn stał się olbrzymią szarańczę. Jest wielkości psa. Edvard złożył mieszkańcom propozycję. — Moje serce jest jak zeschnięte, pomarszczone jabłko. Nie umiem pomóc synowi. Ale jeśli komuś się uda pokochać go na tyle, żeby się zmienił z powrotem w chłopca, w zamian oddam mu swoje gospodarstwo. Na te słowa w miasteczku zapanowało ogromne poruszenie. Właściwie nie ma takiej rzeczy, mówili sobie ludzie, której nie dałoby się pokochać dla równie hojnej nagrody. Oczywiście najpierw trzeba było chłopca-szarańczę odnaleźć, więc po okolicy rozesłano grupy poszukiwaczy, żeby przeczesywali pola i drogi. Ollie, który miał

teraz nadzwyczajnie wrażliwe uszy szarańczy, usłyszał wszystko. Słyszał, co mówi o nim ojciec, słyszał też kroki poszukujących go ludzi, ale nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Ukrył się z innymi poznanymi szarańczami na polu w sąsiednim gospodarstwie, a kiedy ktoś się zbliżał, szarańcze podnosiły się rojem i otaczały przechodniów, tworząc mur, za którym Ollie mógł się bezpiecznie oddalić. Jednak po kilku dniach skończyło się pożywienie i szarańcze zerwały się do lotu, żeby przenieść się w inne miejsce. Ollie próbował polecieć z nimi, ale był za duży i za ciężki, żeby się wznieść nad ziemię. Szarańcze nie należą do sentymentalnych stworzeń, dlatego żadna nie została, żeby dotrzymać mu towarzystwa. Ollie znowu został sam. Teraz nie mógł już liczyć na pomoc przyjaciół i nie trwało długo, zanim grupie chłopców udało się podkraść do Olliego podczas snu i schwytać go w sieć. Byli to bracia, ci sami, którzy wcześniej dokuczali mu w szkole. Najstarszy przetrząsnął sobie Olliego przez ramię i w podskokach ruszyli do miasteczka, śpiewając i pokrzykując z radości. — Zmienimy go z powrotem w chłopca i będziemy mieli całe gospodarstwo Edvarda na własność! — wołali. — Będziemy bogaci! W domu wsadzili Olliego do klatki i czekali. Kiedy po tygodniu chłopak nadal trwał uparcie w postaci szarańczy, zmienili taktykę. — Powiedzcie mu, że go kochacie — podsunęła mama chłopaków. — Kocham cię! — wrzasnął najmłodszy z chłopców przez kraty klatki i zaczął się krztusić ze śmiechu. — Przynajmniej powiedz to z poważną miną — powiedział starszy chłopiec i sam spróbował. — Szarańczo, kocham cię! Jednak Ollie nie zwracał na niego uwagi. Spał zwinięty w rogu klatki. — Ej, mówię do ciebie! — zawołał chłopak i kopnął w kraty. — KOCHAM CIĘ! Jednak nie było to prawdą i nie potrafił się zmusić do miłości, a kiedy Ollie zaczął przez całą noc wydawać ćwierkające odgłosy szarańczy, rodzina poddała się i sprzedała go sąsiadowi. Był to stary myśliwy, który nie miał rodziny ani doświadczenia w sercowych sprawach. Kilka razy spróbował bez przekonania okazać chłopcu miłość, ale szybko się zniechęcił, wygonił Olliego z domu i kazał mu zamieszkać wśród swoich myśliwskich psów. Olliemu znacznie bardziej się podobało towarzystwo psów niż myśliwego. Jadał z nimi posiłki i spał w psiarni u ich boku, a choć psy z początku się go bały, Ollie był tak dobry i łagodny, że szybko się przyzwyczały i stał się członkiem stada. Między psami było mu tak dobrze, że pewnego dnia myśliwy zauważył, iż brakuje mu jednej olbrzymiej szarańczy, za to wzbogacił się o dodatkowego, bardzo dużego psa. Miesiące spędzone w postaci psa należały do najszcześniejszych w życiu Olliego. Potem jednak nadszedł sezon polowań, kiedy myśliwskie psy muszą pracować. Pierwszego dnia myśliwy wyprowadził sforę na pole porośnięte wysoką trawą. Wykrzyknął komendę i psy ruszyły z ujadaniem przez pole. Ollie biegł z nimi, szczekając i hałasując. Zabawa była świetna! Nagle potknął się o gęś ukrytą w trawie. Ptak poderwał się do lotu i zaczął uciekać, ale po chwili rozległ się głośny huk i gęś spadła na ziemię nieżywa. Ollie patrzył z przerażeniem na jej martwe ciało. Za chwilę podbiegł do niego inny pies

i zapytał: — Na co czekasz? Nie zaniesiesz jej panu? — Oczywiście że nie! — odpowiedział Ollie. — Jak sobie chcesz — powiedział pies. — Ale jeśli pan się dowie, na pewno cię zastrzeli. — Potem chwycił martwą gęś w szczęki i odbiegł truchtem. Następnego ranka Olliego już nie było. Uciekł z gęsiami, biegnąc za ich kluczem lecącym po niebie. Kiedy Edvard usłyszał, że syn się odnalazł, a następnie znowu zaginął, popadł w taką rozpacz, że znajomi martwili się, czy w ogóle zdoła się z niej podnieść. Nie wychodził z domu. Pozwolił, żeby jego pola leżały odłogiem. Gdyby nie stary Eryk, który raz w tygodniu przynosił mu coś do zjedzenia, pewnie zagłodziłby się na śmierć. Jednak tak jak plaga szarańczy, mroczne chwile w życiu Edvarda w końcu minęły. Zaczął się znowu zajmować gospodarstwem i pojawiać się na targu oraz w kościele, gdzie siadał w swojej dawnej ławce na niedzielnym nabożeństwie. Po jakimś czasie znowu się zakochał i ożenił, a żona urodziła mu córkę, której nadali imię Asgard. Edvard był gotów zrobić wszystko, żeby dać Asgard miłość, której zabrakło mu dla Olliego, więc kiedy dorastała, bardzo się starał zachować otwarte serce. Pozwolił jej kochać bezpańskie zwierzęta i płakać nad błahostkami, i nigdy jej nie łajał, kiedy coś robiła z dobroci serca. Kiedy córka miała osiem lat, dla gospodarstwa przyszły trudne chwile. Plony nie obrodziły i rodzina nie miała do jedzenia nic oprócz rzepy. Wtedy nad gospodarstwem przeleciało stado gęsi, a jedna odłączyła się od klucza i usiadła niedaleko ich domu. Był to bardzo duży gąsior, prawie dwa razy większy od zwyczajnej gęsi, a że zupełnie się nie bał, Edvardowi udało się podejść blisko i go schwytać. — Będzie z ciebie dzisiaj porządna kolacja! — powiedział Edvard. Zaniósł gęś do gospodarstwa i zamknął ją w klatce. Na rodzinnym stole już od wielu tygodni nie gościło mięso, więc żona Edvarda była bardzo podekscytowana. Roznieciła ogień i przygotowała garnek, a Edvard naostrzył nóż do krojenia mięsa. Lecz kiedy Asgard weszła do kuchni i zobaczyła, co się dzieje, bardzo się zdenerwowała. — Nie możecie jej zabić! — zawołała. — To dobra gęś, nie zrobiła nam nic złego! To niesprawiedliwe! — Sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy — powiedział jej Edvard. — Tak już w życiu bywa, że czasem trzeba zabić, aby samemu przeżyć. — Ale jej wcale nie trzeba zabijać — odpowiedziała. — Możemy znowu zjeść na kolację zupę z rzepy, wcale mi to nie przeszkadza! Po czym rzuciła się na ziemię przed klatką i zaczęła płakać. Kiedyś Edvard pewnie skarciłby córkę i wygłosił kazanie o tym, że niebezpiecznie jest mieć zbyt miękkie serce, ale tym razem przypomniał mu się syn. — No już dobrze, nie zabijemy gąsiora — powiedział i ukląkł obok córki, żeby ją pocieszyć. Asgard przestała płakać. — Dziękuję ci, tato! Czy on może być mój? — Ale pod warunkiem, że sam będzie tego chciał — odparł Edvard. — To dzikie zwierzę, trzymanie go w klatce byłoby okrucieństwem. Otworzył klatkę. Gęś wyszła kołyszającym się krokiem, a Asgard zarzuciła jej ręce na szyję. — Kocham pana, panie Gąsiorze! — Łaaak! — odpowiedziała gęś. Tego wieczoru rodzina zjadła na kolację zupę z rzepy. Położyli się do łóżek z burczeniem w brzuchach, ale

całkowicie szczęśliwi. Gąsior stał się ukochanym pupilem dziewczynki. Spał w stodole i co rano wędrował za Asgard do szkoły. Tam przez cały dzień siedział na szkolnym dachu, pogęgując i czekając na jej powrót. Asgard wyjaśniła wszystkim, że gąsior jest jej najlepszym przyjacielem i nikomu nie wolno do niego strzelać ani przerabiać go na zupę, więc ludzie dali mu spokój. Asgard lubiła wymyślać niestworzone historie o przygodach, które przeżywała z gąsiorem, na przykład o tym, jak wybrali się na księżyc, gdzie gąsior zaniósł ją na własnych plecach, żeby się mogła przekonać, jak smakuje księżycowy ser. Często zabawiała takimi opowieściami rodziców przy kolacji, dlatego nie zdziwili się nawet, kiedy pewnego ranka Asgard obudziła ich podniecona i oznajmiła, że gąsior zmienił się w młodego mężczyznę. — Wracaj do łóżka — ziewnął Edvard. — Nawet kogut jeszcze śpi! — Ja mówię poważnie! — zawołała Asgard. — Chodźcie się sami przekonać! I tak długo szarpała zmęczonego ojca za ramię, aż wynurzył się spod kołdry. Edvard omal nie zemdlał, kiedy wszedł do stodoły. Na uwitym ze słomy gnieździe siedział jego dawno utracony syn. Ollie bardzo wyrósł — miał teraz sześć stóp wzrostu, wyraziste rysy twarzy i podbródek pokryty szczecina zarostu. Wokół bioder zawiązał sobie płócienny worek, który znalazł na podłodze stodoły. — Widzisz, nie kłamałam! — powiedziała Asgard. Podbiegła do Olliego i mocno go przytuliła. — Co ty wyprawiasz, mój głupiutki gąsiorku? Ollie uśmiechnął się szeroko. — Dzień dobry, ojcze — przywitał się. — Tęskniłeś za mną? — Bardzo mocno — odpowiedział Edvard. Serce bolało go tak bardzo, że zebrało mu się na płacz. Podszedł do syna i przytulił go. — Mam nadzieję, że będziesz umiał mi przebaczyć — szepnął. — Przebaczyłem ci już całe lata temu — odparł Ollie. — Tylko trochę trwało, zanim znalazłem drogę do domu. — Tato? — spytała Asgard. — Co tu się dzieje? Edvard wypuścił Olliego z objęć, otarł łzy i odwrócił się do córki. — To twój starszy brat. Ten, o którym ci opowiadałem. — Ten, co się zmienił w robaka? — zapytała, patrząc na nich szeroko otwartymi oczami. — I potem uciekł? — Ten sam — odpowiedział Ollie i wyciągnął rękę do Asgard. — Miło cię poznać. Nazywam się Ollie. — Wcale nie! — powiedziała. — Ty jesteś Gąsior! — Nie zwróciła uwagi na wyciągniętą rękę Olliego, tylko przytuliła go znowu. — Ale jak to się stało, że zmieniłeś się w gęś? Ollie też uściskał siostrę. — To dosyć długa opowieść — powiedział. — Świetnie — odparła Asgard. — Uwielbiam opowieści. — Ollie wszystko nam opowie przy śniadaniu — powiedział Edvard. — Prawda, synu? Ollie znowu się uśmiechnął. — Z wielką przyjemnością. Edvard wziął go za rękę, drugą ręką uściskał dłoń Asgard i tak we dwoje wprowadzili Olliego do domu. Kiedy żona Edvarda doszła już do siebie po przeżytym wstrząsie, usiedli razem do stołu i zjedli na śniadanie grzanki z rzepą, a Ollie opowiedział im o latach spędzonych w gęsiej postaci. Od tamtej pory stał się członkiem rodziny. Edvard kochał syna bezwarunkowo, a Ollie nigdy więcej nie utracił ludzkich kształtów. I żyli długo i szczęśliwie. Nie jest jasne, w jaki sposób Eryk samym nałożeniem rąk

rozpoznał, że chłopak jest osobliwcem. Być może sam był osobliwy, a jego zdolność polegała na tym, że wykrywał osobliwości u innych, nawet jeśli ich talenty były ukryte lub jeszcze nierozwinięte. ⇐


Nadzwyczajne plagi szarańczy spadały na Dzikie Zachód przez cały wiek osiemnasty i dziewiętnasty. Największą zanotowano w 1875 r. — amerykańskie równiny spustoszył wtedy rój złożony z ponad dwunastu bilionów owadów, które pokryły obszar większy od stanu Kalifornia. ⇐

Najprawdopodobniej chodzi o *Vitaligis peculiaris*, księgę, którą w dawnych wiekach spisał po łacinie (na poły zmyślonej) jakiś nieznany szarlatan. Niektóre z zawartych tam porad są całkiem rozsądne, ale większość to czyste wariactwa; cała sztuka w tym, żeby odróżnić jedne od drugich. ⇐

emi, żeby przypadkiem jakiegoś nie zdeptać. Ojca doprowadzało to do szału.



## O chłopcu, który potrafił zatrzymać morze



Był raz pewien osobliwy młodzieniec imieniem Fergus, który potrafił okiełznać moc przyptywów, odpływów i morskich prądów. Działo się to w Irlandii podczas straszliwej klęski głodu. Fergus mógłby użyć swojego talentu, żeby nałowić ryb do jedzenia, ale niestety mieszkał na suchym lądzie z dala od morskich wybrzeży, a w jeziorach i rzekach jego talent nie zdawał się na nic. Mógłby się udać nad morze — widział je kiedyś w dzieciństwie i stąd wiedział o swojej umiejętności — jednak matka była zbyt osłabiona, żeby wyruszyć w podróż, a Fergus nie mógł jej zostawić samej, gdyż z całej jego rodziny żyła już tylko ona. Chłopak oddawał matce każdy kęs jedzenia, który udało mu się znaleźć, a sam tymczasem żywił się trocinami i ugotowaną skórą z butów. Jednak matkę zamiast głodu w końcu pokonała choroba i Fergus nie mógł na to nic więcej poradzić.

Na łożu śmierci matka kazała mu obiecać, że zaraz po jej pogrzebie wyruszy nad morze.

— Z twoim talentem będziesz najlepszym rybakiem, jaki pływał po morzu. Nigdy więcej nie będziesz musiał głodować. Tylko nikomu nie zdradzaj, co potrafisz, bo ludzie zrobią ci z życia piekło.

Obiecał, że zrobi tak, jak prosiła, a dzień później matka zmarła. Fergus pochował ją na przykościelnym cmentarzu, spakował swój skromny dobytek do worka i wyruszył na długą wędrówkę ku morzu. Maszerował sześć dni w jednym bucie i bez zapasów żywności. Przymierał głodem, tak samo jak mieszkańcy wszystkich mijanych po drodze miasteczek. Niektóre miejscowości stały zupełnie opuszczone, bo rolnicy wyjechali szukać szczęścia i pełnego brzucha w Ameryce.

Wreszcie dotarł do morskiego wybrzeża w miasteczku zwanym Skelligeen, gdzie żaden z domów nie stał pusty i żaden z mieszkańców nie sprawiał wrażenia głodnego. Uznał to za dobry znak: skoro mieszkańcy Skelligeen nie wyjechali i wyglądają na najedzonych, połowy ryb muszą tu być udane. I całe szczęście, bo bez jedzenia już dużo dłużej nie wytrzyma. Zapytał jakiegoś mężczyznę, gdzie mógłby kupić wędkę albo sieci, ale mężczyzna powiedział mu, że niczego takiego nie znajdzie w Skelligeen.

— My tu nie łowimy ryb — wyjaśnił mężczyzna.

Powiedział to dziwnie dumnym tonem, tak jakby praca rybaka była czymś wstydliwym.

— Skoro nie łowicie ryb — zapytał Fergus — to z czego żyjecie?

Kręcąc się po mieście, Fergus nie zauważył żadnych oznak przemysłu: ani zagród z gospodarskimi zwierzętami, ani plonów na polach, jeśli nie liczyć tych



samych gnijących ziemniaków, które widział w całej Irlandii.

— Zajmujemy się odzyskiem mienia — odpowiedział mężczyzna, ale nie wdawał się w szczegóły.

Fergus zapytał, czy nie mógłby dostać jedzenia.

— Chętnie na nie zapracuję — zaproponował.

— A do czego ty mógłbyś się nadawać? — Mężczyzna zmierzył chłopca wzrokiem od stóp do głów. — Przydałby mi się ktoś, kto da radę dźwigać ciężkie skrzynie, ale ty jesteś chudy jak ptaszyna. Założę się, że nie ważysz nawet siedemdziesięciu funtów!

— Może i nie potrafię dźwigać ciężkich skrzyń, ale za to umiem coś, czego nie umie nikt inny.

— A co takiego? — spytał mężczyzna.

Fergus już miał mu powiedzieć, ale przypomniał sobie obietnicę złożoną matce. Bąknął coś wymijająco i poszedł dalej swoją drogą.

Postanowił, że ze sznurowadła swojego jedyne buta zrobi wędkarską linkę i spróbuje coś złowić w ten sposób. Zatrzymał na ulicy jakąś pulchną panią i zapytał, gdzie tu najlepiej biorą ryby.

— Oszczędź sobie trudu — odpowiedziała. — Z brzegu możesz co najwyżej nałapać trujących nadymek.

Mimo to Fergus spróbował, używając kawałka czerstwego chleba jako przynęty. Łowił przez cały dzień, ale nie złapał nic — nawet trującej nadymki. Głód szarpał mu wnętrzności, więc w desperacji zapytał jakiegoś mężczyznę idącego wzdłuż plaży, czy w mieście dałoby się wypożyczyć łódź.

— Wtedy mógłbym wypłynąć głębiej w morze — wyjaśnił Fergus. — Może tam będzie więcej ryb.

— Nie dałbyś rady — oświadczył mężczyzna. — Prądy morskie roztrzaskałyby cię na drobne kawałki o skały!

— Mnie? Nie ma obawy — powiedział Fergus.

Mężczyzna na odchodnym spojrzął na niego z powątpiewaniem. Fergus nie chciał łamać obietnicy, ale wyglądało na to, że musi komuś opowiedzieć o swoim talencie, jeśli nie chce umrzeć z głodu. Dlatego dodał:

— Ja potrafię kontrolować morskie prądy.

— Ha! — odpowiedział mężczyzna. — Słyszałem już w życiu niejedną bujdę, ale czegoś takiego jeszcze nigdy.

— A jeśli to udowodnię, czy da mi pan coś do jedzenia?

— No jasne — odpowiedział rozbawiony mężczyzna. — Wyprawię ucztę na twoją cześć!

Fergus zszedł więc z mężczyzną nad samą wodę, gdzie właśnie zaczynał się odpływ. Fergus zacisnął zęby i z wielkim sapaniem i postękiwaniem zdołał przyciągnąć odpływające morze z powrotem do brzegu. Po paru minutach woda się-

gnęła im obu po kostki, potem po kolana. Mężczyzna osłupiał i wpadł w wielką ekscytację. Zaprowadził Fergusa do swojego domu i urządził dla niego wystawną ucztę, tak jak obiecał.

Zaprosił wszystkich sąsiadów i kiedy Fergus napychał się jedzeniem, mężczyzna opowiedział mieszkańcom miasteczka, jak chłopak przyciągnął morski odpływ z powrotem do brzegu.

Mieszkańcy również wpadli w ogromną ekscytację. Dziwną ekscytację. Wręcz nadmierną ekscytację.

— Pokaż swoją sztuczkę z przyciąganiem odpływu! — zawołała do niego jakaś kobieta.

— Niech chłopak odzyska siły — powiedział gospodarz. — Najpierw dajcie mu się najeść!

Kiedy Fergus nie mógł już w siebie wcisnąć ani jednego kęsa, rozejrzał się znad talerza po pokoju. W każdym rogu piętrzyły się skrzynie i pudła wypełnione po brzegi różnymi przedmiotami: w jednej skrzyni leżały butelki wina, w innej suszone korzenne przyprawy, w jeszcze innej całe bele tkanin— Przepraszam, ale do czego panu aż tyle młotków? — zapytał Fergus. — Zajmuję się odzyskiem mienia — wyjaśnił mężczyzna. — Pewnego ranka znalazłem je na plaży, gdzie wyrzuciło je morze. — A to wino i bele materiału, i suszone przyprawy? — spytał Fergus. — Tak samo — odpowiedział mężczyzna. — Chyba mam po prostu szczęście! Z jakiegoś powodu rozbawił tym pozostałych gości, którzy wybuchli śmiechem. Fergusowi zrobiło się nieswojo. Podziękował gospodarzowi za posiłek i wyjaśnił, że na niego już pora. — Ale on nie może stąd pójść, dopóki nam nie pokaże swojej sztuczki! — powiedział jeden z gości. — Już późno, na pewno jest zmęczony — wyjaśnił gospodarz. — Niech się chłopak najpierw wyśpi! Fergus rzeczywiście był zmęczony i propozycja noclegu była dla niego nie do odrzucenia. Mężczyzna wskazał mu przytulną sypialnię i gdy tylko Fergus przyłożył głowę do poduszki, zapadł w głęboki sen. W środku nocy zbudził się nagle i stwierdził, że w pokoju są jacyś ludzie. Tłoczyli się wokół łóżka i zdzierali z niego pościel. — Wystarczy tego spania — oznajmili. — Pora pokazać twoją sztuczkę! Fergus zrozumiał, że popełnił błąd. Trzeba się było wymknąć z sypialni przez okno i uciec z miasta, albo jeszcze lepiej w ogóle nie wspominać o swoim talencie. Teraz było już jednak za późno. Ludzie wyciągnęli go z łóżka i sprowadzili nad brzeg morza, gdzie zażądali, żeby znowu przyciągnął do siebie fale. Fergus nie lubił być do niczego zmuszany, ale im bardziej się opierał, tym bardziej byli wściekli. Nie mieli zamiaru go puścić, dopóki nie zrobi tego, co każą. Fergus postanowił w duchu, że ucieknie przy najbliższej okazji, a tymczasem przyciągnął wody odpływu do brzegu. Powracająca woda wezbrała gwałtownie. Ludzie zaczęli podskakiwać i wiwatować. Rozległ się dźwięk dzwonu bijącego w kierunku morza. W tej samej chwili jęzor mgły wiszącej nad wodą uniósł się, odsłaniając światła przepływającego statku, gwałtownie

niesionego w stronę brzegu przez falę przyływu. Kiedy Fergus uświadomił sobie, co się dzieje, spróbował odepchnąć przyływ z powrotem w morze, ale już było za późno. Z przerażeniem patrzył, jak statek roztrzaskuje się na kawałki o przylądek najeżony ostrymi skałami. Zaczęło świtać. Fale znosiły na brzeg skrzynie i pudła z ładunkiem statku, a wraz z nimi ciała utopionych marynarzy. Miejscowi podzielili skrzynie między siebie i zaczęli je znosić do miasteczka. To właśnie mieli na myśli, mówiąc o „odzysku mienia”: byli morskimi rabusiami, którzy podstępem sprowadzali przepływające statki na skały z pomocą zwodniczych świateł i sygnałów. Byli to złodzieje i mordercy, którzy podstępem skłonili Fergusa, żeby za nich wykonał tę nikczemną robotę<sup>1</sup>. Fergus wyrwał się i spróbował uciekać, ale tłum stanął mu na drodze. — Nigdzie się nie wybierasz! — mówili. — Dzisiaj wieczorem będzie tędy przepływał następny statek handlowy i też pomożesz nam go rozbić. — Wolę raczej umrzeć! — krzyknął Fergus i rzucił się pędem w stronę, której nikt się nie spodziewał: w kierunku wody. Wbiegł z pluskiem między spienione fale przy brzegu, chwycił jakąś deskę z rozbitego statku i zaczął wiosłować rękami. Rabusie próbowali go zatrzymać, ale Fergus wykorzystał swój talent i utworzył cofającą się falę, która uniosła go daleko od brzegu. Wkrótce znalazł się poza ich zasięgiem. — Głupcze! — wołali za nim. — Utoniesz! Jednak Fergus nie utonął. Kurczowo trzymał się deski, a fala ominęła skały i zaniósła go daleko w morze, na głębokie, zimne wody, po których kursowały statki. Czekał tak wiele godzin, rzucały fale i dygocząc z zimna, aż na horyzoncie pojawił się statek. Wtedy utworzył jeszcze jedną falę i dał się jej ponieść w stronę statku, a kiedy znalazł się bliżej, zaczął nawoływać. Statek był bardzo wysoki i obawiał się, że nikt go nie zauważy, ale w końcu spostrzeżono go. Marynarze opuścili linę i wciągnęli Fergusa na pokład. Statek nosił nazwę „Hannah”. Tłoczyło się na nim mnóstwo ludzi, którzy podróżowali do Ameryki, uciekając przed klęską głodu w Irlandii. Żeby kupić bilety, sprzedali cały dobytek i byli teraz bez grosza przy duszy: jedyne, co mieli, to ubrania na grzbiecie. Kapitanem był okrutny, chciwy człowiek nazwiskiem Shaw. Gdy tylko marynarze wyciągnęli Fergusa z morza, kapitan Shaw chciał go wyrzucić z powrotem za burtę<sup>2</sup>. — Na moim statku nie ma miejsca dla pasażerów na gapę — powiedział. — Wstęp tylko z biletem! — Ale ja nie jestem pasażerem na gapę — przekonywał Fergus. — Jestem uratowanym rozbitek! — Ja tu decyduję, kto jest kim — warknął kapitan. — A ja wiem tylko tyle, że nie zapłaciłeś za bilet. — Mogę zapracować na koszty podróży — prosił Fergus. — Błagam, nie wrzucajcie mnie z powrotem do morza! — Zapracować! — zaśmiał się kapitan. — Ręce masz cienkie jak kluski, a nogi jak kurcze udka. Do jakiej pracy mógłbyś się nadać? Fergus wiedział, że umiejętność kontrolowania przyływów i morskich prądów mogłaby się bardzo przydać kapitanowi statku, ale nauka ze Skelligeen nie poszła w las. Nabrał wody w usta i powiedział tylko: — Potrafię pracować ciężiej od każdego z pańskich marynarzy i nigdy nie usłyszy pan ode

mnie słowa skargi, choćbym miał robić nie wiem co! — Doprawdy? — spytał kapitan. — To się jeszcze zobaczy. Dajcie chłopakowi szczotkę do szorowania pokładu! Kapitan uczynił Fergusa swoim niewolnikiem. Chłopak musiał codziennie sprzątać kapitańską kajutę, prasować ubrania kapitana, polerować mu buty do połysku i podawać posiłki, a kiedy skończył, szorował jeszcze pokłady i opróżniał wiadra z latryny. Wiadra były ciężkie, a nieczystości, które wylewał za burtę, ochlapływały mu nogi. Fergus pracował najciężej ze wszystkich członków załogi, ale tak jak powiedział, nigdy się nie skarżył. Nie przeszkadzała mu ciężka praca, ale wyżywienie — owszem. Kapitan zabrał na pokład zbyt wielu pasażerów jak na wiezione zapasy żywności. Choć sam kapitan i jego załoga jadali po królewsku, Fergus i pasażerowie musieli się zadowalać czerstwymi skórkami chleba i cienką zupą, w której więcej pływało mysich odchodów niż mięsa. Racje żywnościowe prawie nie nadawały się do jedzenia, ale i ich brakowało. Nawet gdyby „Hannah” płynęła najszybciej, jak się dało, zapasów ledwie wystarczyłoby na całą podróż. Na morzu zrobiło się zimno jak na tę porę roku. Pewnego ranka zaczął nawet padać śnieg, choć była już późna wiosna. Jeden z pasażerów zauważył, że słońce jest po niewłaściwej stronie nieba, gdyby mieli żeglować na zachód, do Ameryki. Najwyraźniej żeglowali na północ. Grupa pasażerów udała się do kapitana. — Gdzie jesteśmy? — zapytali. — Czy naprawdę tędy się płynie do Ameryki? — Płyniemy na skróty — zapewnił ich kapitan. — Ani się obejrzyjecie, a już będziemy u celu. Tego popołudnia Fergus zauważył na horyzoncie płynące góry lodowe. Zaczął podejrzewać, że wystrychnięto ich na dudka, dlatego wieczorem podsluchiwał pod drzwiami kapitańskiej kajuty, udając, że szoruje podłogę w korytarzu. — Jeszcze dzień, może dwa i będziemy na Pelt Island — usłyszał, jak kapitan mówi pierwszemu oficerowi. — Tam weźmiemy ładunek futer i dostarczymy go do Nowego Jorku. Już samo to podwoi nasz zysk za podróż! Fergus był wściekły. Wcale nie płyną na skróty do Ameryki! Celowo zoczyli z kursu, a zatem podróż potrwa dłużej i pasażerowie niemal na pewno będą przymierać głodem przed dotarciem do portu! Zanim Fergus zdążył się wymknąć, otworzyły się drzwi kapitańskiej kajuty. Został przyłapany. — On tu szpieguje! — zawołał kapitan. — Coś ty usłyszał? — Każdziuteńkie słowo! — zawołał Fergus. — A kiedy powiem pasażerom, co zrobiłście, wyrzucą was za burtę! Kapitan i pierwszy oficer wyciągnęli kordelasy z pochw, ale zanim do niego podeszli, rozległ się straszny huk i statek zaczął dygotać jak podczas trzęsienia ziemi. Wszyscy trzej przewrócili się na podłogę. Kapitan i pierwszy oficer zerwali się i wybiegli z kajuty, zapominając o Fergusie i jego pogroźkach. „Hannah” zderzyła się z górą lodową i szybko nabierała wody. Na statku była tylko jedna szalupa i zanim pasażerowie się zorientowali, kapitan Shaw ze swą tchórzliwą załogą wsiedli do niej i odpłynęli. Zrozpaczone matki błagały kapitana, żeby zabrał ze sobą ich dzieci, jednak jego ludzie dobyli pistoletów i zagrozili, że zastrzelą każdego, kto się zbliży do szalupy. W końcu kapitan

z załogą zniknęli. Na statku nie było już szalup, a Fergus i inni pasażerowie pozostali sami na tonącym statku wśród lodowatego morza<sup>3</sup>. Księżyc stał wysoko na niebie i w jego świetle Fergus widział górę lodową, z którą się zderzyli. Nie była daleko i wyglądała na dostatecznie szeroką i płaską, żeby się dało na niej stanąć. Statek był mocno przechylony, ale jeszcze nie zatonął, więc Fergus przywołał morski prąd, którym popychał rozbity statek, aż jego burta stuknęła o brzeg góry. Pasażerowie pomogli sobie wdrapać się na lód. Kiedy ostatnie osoby zeszły z pokładu, statek poszedł pod wodę. Ludzie wiwatowali i cieszyli się, ale ich głosy przytłumiło wycie porywistego, zimowego wiatru. Najwyraźniej szybką śmierć w odmętach zamienili na długą śmierć z wychłodzenia i głodu. Noc spędzili, trzęsąc się z zimna na lodzie, przytuleni do siebie, żeby choć trochę się ogrzać. Rano obudzili się i zobaczyli polarnego niedźwiedzia czyhającego nieopodal. Niedźwiedź był wychudzony i wyglądał nędznie. Ludzie i zwierzę patrzyli na siebie niespokojnym wzrokiem, a po kilku godzinach niedźwiedź podniósł się i zszedł na skraj lodowej góry. Wydawało się, że zwierzę coś słyszy, a kiedy Fergus ruszył w bezpiecznej odległości za niedźwiedziem, zobaczył wielką ławicę ryb kłębiących się w wodzie kilkaset jardów dalej. Ryb były tysiące — wystarczyłoby ich dla wszystkich, gdyby tylko udało się do nich dotrzeć! Niedźwiedź skoczył do wody i ruszył w kierunku ryb. Nie miał jednak siły, żeby do nich dopłynąć, i szybko wgramolił się z powrotem na górę lodową, nieszczęśliwy i wyczerpany. Fergus wiedział, co musi zrobić, nawet jeśli wymagałoby to ponownego złamania obietnicy złożonej matce. Uniósł ręce, zacisnął pięści i utworzył morski prąd, który zniósł ryby prosto na górę lodową. Wkrótce ryby uderzały setkami o brzegi góry, wyskakiwały z wody i trzepotały na lodzie. Podniecony niedźwiedź głośno ryknął, wciągnął kilka ryb do pyska, a następnie wyłowił łapą jeszcze kilka sztuk i uciekł. Pasażerowie byli uszczęśliwieni. Wprawdzie nie smakowały im surowe ryby, ale było to lepsze niż śmierć głodowa. Fergus ich ocalił! Unieśli go wysoko na ramionach i skandowali jego imię, po czym jedli do sytości. Ratunek Fergusa okazał się jednak niewystarczający. Teraz mieli wprawdzie zapas ryb na wiele tygodni, ale po południu spadła temperatura i zaczęła się śnieżna zawieja. Najedzeni ludzie stłoczyli się, żeby się nieco ogrzać, ale zrozumieli, że bez ciepłych koców nie dożyją poranka. Robiło się już ciemno, kiedy spoza ich kręgu dobiegło warczenie. Niedźwiedź powrócił. — Czego chcesz? — Fergus skoczył na równe nogi i stanął przed niedźwiedziem. — Teraz masz ryb pod dostatkiem, zostaw nas w spokoju! Ale niedźwiedź zachowywał się już inaczej. Nie wydawał się zdesperowany ani groźny, tak jak wtedy, kiedy przymierał głodem. Wyglądał na wdzięcznego i chyba rozumiał, że Fergus i reszta są w tarapatach. Niedźwiedź podszedł, położył się obok i zasnął. Ludzie spojrzeli po sobie niepewnie. Fergus zbliżył się do niedźwiedzia na palcach, przysiadł na lodzie i ostrożnie przytulił się do zwierzęcia. Futro niedźwiedzia było cudownie miękkie, a z jego ciała biło ciepło. Najwyraźniej nie miał nic przeciwko

temu, że Fergus się do niego przytula. Ludzie podchodzili jeden po drugim. Dzieci i starsze osoby wtuliły się w futro niedźwiedzia, przy nich przycupnęły kobiety, a wokół usiedli mężczyźni. Jednym było ciepłej, innym zimniej, ale jakimś cudem wszyscy przeżyli noc. Następnego dnia niedźwiedź i ludzie właśnie jedli ryby, kiedy w pobliżu przepłynęła kolejna góra lodowa. Stały na niej trzy polarne niedźwiedzie, a gdy niedźwiedź zaprzyjaźniony z ludźmi je zobaczył, stanął na tylnych łapach i zaryczał. „Ej, koledzy!” — wydawał się mówić. „Jest tu chłopak, które potrafi dla nas nałapać tyle ryb, ile tylko będziemy chcieli. Chodźcie tutaj!” Wszystkie trzy niedźwiedzie zanurkowały i podpłynęły do nich. — No, pięknie — powiedział któryś z mężczyzn. — Teraz mamy ze sobą już cztery niedźwiedzie. — Nie martw się — odpowiedział Fergus. — Ryb wystarczy dla wszystkich. Nic nam nie zrobią. Niedźwiedzie cały dzień ucztowały nad rybami, a kiedy zapadły ciemności, zebrały się w kłębowisko i usnęły, a do nich przytulili się ludzie. Tej nocy wszystkim było zupełnie ciepło — i mężczyznom, i kobietom, i dzieciom. Naza jutrz z mijanej góry podpłynęły do nich jeszcze trzy niedźwiedzie, a dzień później cztery kolejne. Ludzie zaczęli się niepokoić. — Jedenaście niedźwiedzi to nie jest mało — powiedziała jedna z kobiet do Fergusa. — Co będzie, kiedy skończą się ryby? — Nałapię następnych — odpowiedział Fergus. Przez cały ten dzień i następny wpatrywał się w morze, szukając wzrokiem kolejnej ławicy, ale żadnej nie znalazł. Zapasy ryb były na wyczerpaniu. Teraz nawet Fergus zaczął się martwić. — Trzeba było niedźwiedzia zabić, kiedy jeszcze był sam — marudził jakiś staruszek. — A tak ten osobliwy chłopak sprowadził dziesięć następnych i dopiero wpakowaliśmy się w kłopoty! Fergus poczuł, że ludzie odwracają się od niego. Zastanawiał się, co będzie, kiedy ryby się skończą. Może teraz jego rzucą niedźwiedziom na pożarcie? Wieczorem wszyscy poszli spać zadowoleni, w wielkim futrzastym kłębie, ale kiedy rankiem otworzyli oczy, stwierdzili, że jedenastka polarnych niedźwiedzi zjadła już całą resztę ryb i teraz patrzy na nich łakomym wzrokiem. Fergus podbiegł do skraju góry lodowej i z rozpaczą w sercu spojrzął w morze. Zobaczył widok, od którego serce niemal fiknęło mu koziołka z radości. Nie była to ławica ryb — lecz stały ląd! W oddali z morza wyrastała wyspa pokryta śniegiem. Mało tego, Fergus zauważył, że nad wyspą unosi się dym, a zatem będą tam ludzie, a z nimi żywność. Zapominając na chwilę o zagrożeniu ze strony niedźwiedzi, Fergus pobiegł przekazać wszystkim świetną nowinę. Na nikim nie zrobił wrażenia. — Co nam po lądzie, skoro niedźwiedzie zjedzą nas, zanim tam dotrzemy? — zapytał jeden z mężczyzn, do którego chwilę później podszedł niedźwiedź, podniósł go za nogę i zaczął nim potrząsać, jakby liczył, że mężczyźni wypadnie ryba z kieszeni. Mężczyzna wrzeszczał wniebogłosy, ale zanim rozczarowany niedźwiedź go ugryzł, rozległ się huk wystrzału. Wszyscy odwrócili się i zobaczyli uzbrojonego w strzelbę mężczyznę ubranego w białe futra. Mężczyzna jeszcze raz strzelił tuż nad głową niedźwiedzia, który wypuścił zwisającego mu

z paszczy mężczyznę i uciekł, a z nim pozostałe niedźwiedzie. Ubrany w futra mężczyzna wyjaśnił, że zauważył ich z wyspy przez lunetę i przyplłynął na ratunek. Gestem nakazał gromadce pójść za sobą i doprowadził ich do zatoczki ukrytej w górze lodowej, gdzie czekała już flotylla niewielkich, lecz solidnych wiosłowych łodzi. Wsiadając do łódek, ludzie łkali z wdzięczności i powiosłowali w bezpieczne miejsce. Fergus też czuł wdzięczność, ale po drodze zaniepokoił się, czy ktoś z uratowanych nie opowie mężczyźnie o jego talencie. Już i tak niedobrze się stało, że tyle osób wie, co potrafi. Jednak nikt nie wspomniał o tym nawet słowem — nic nie mówili ani o nim, ani do niego. Większość ludzi unikała jego wzroku, a pozostali łypali na niego z niechęcią, jakby to on był winny ich nieszczęść. „Matka miała rację” — pomyślał z goryczą Fergus. Za każdym razem, kiedy wspomniał o swoim sekrecie, miał z tego same kłopoty. Ludzie zaczynali go traktować jak narzędzie: wykorzystywali go w potrzebie, a potem odrzucali, kiedy stawał się zbędny. Postanowił, że już nigdy, przenigdy nie podzieli się z nikim wiedzą o swoim talencie — żeby nie wiem co. Łodzie przybiły do niewielkiej przystani, wokół której stały drewniane domy. Z kominów unosił się dym, a w powietrzu pachniało ugotowanym jedzeniem. Wydawało się, że gorący posiłek przy ciepłym palenisku jest na wyciągnięcie ręki. Ubrany w futra mężczyzna przywiązał łódkę i zszedł na nabrzeże. — Witajcie na Pelt Island — powiedział. Fergusa przeszedł zimny dreszcz, bo przypomniał sobie, że już słyszał tę nazwę: była to wyspa handlarzy futrami, do której zmierzał kapitan Shaw, kiedy zderzyli się z górą lodową. Zanim to sobie poukładał w głowie, na nabrzeżu zobaczył coś, od czego osłupiał jeszcze bardziej — była to sponiewierana przez deszcze i wiatry szalupa, na której burcie widniał napis „Hannah”. A zatem kapitan i jego załoga dotarli do wyspy. Oni tutaj są. Po chwili szalupę zauważyli inni. Wieść rozeszła się natychmiast i gniewny tłum zaczął się dopytywać, gdzie jest kapitan Shaw ze swoją załogą. — Oni nas zostawili na pewną śmierć! — zawołała jedna z kobiet. — Grozili nam pistoletami, kiedy próbowaliśmy ratować dzieci! — zawołał mężczyzna. — Musieliśmy jeść zupę z mysich bobków! — poskarżył się chudy chłopiec. Ubrany w futra mężczyzna próbował ich uspokoić, jednak ludzie łaknęli zemsty. Wyrwali mu z rąk strzelbę, wpadli do osady i odkryli kapitana z załogą w tawernie, pijanych jak bela. Wywiązała się zaciekle walka. Gromada ludzi zaatakowała kapitana i jego załogę wszystkim, co mieli pod ręką: kamieniami, kawałkami połamanych mebli, a nawet płonącymi żagwiami wyciągniętymi z paleniska. Choć byli bez broni, mieli wielką przewagę liczebną nad kapitanem i jego ludźmi, którzy w końcu — pobici i zdziśiatkowani — uciekli między zaśnieżone wzgórza górujące nad osadą. Pasażerowie zwyciężyli. Kilku zginęło, ale wyrównali rachunki z niegodziwym kapitanem i dotarli do suchego lądu i ludzkich siedzib. Było co świętować — jednak ich triumfalne okrzyki wkrótce przerwało wołanie o pomoc. W osadzie wybuchł pożar. Nadbiegł ubrany w futra mężczyzna. — Podpaliliście nam osadę, wy, durnie! —

krzyknął do tłumu. — No to zgaście pożar! — odpowiedział jeden z wyczerpanych walką ludzi. — Nie mamy jak! — powiedział mężczyzna. — Pali się nasza remiza! Ludzie próbowali pomagać handlarzom w walce z ogniem, nosząc z przystani wiadra z morską wodą, ale wiader było za mało, a ogień rozprzestrzeniał się szybko. W desperacji tłum zwrócił się o pomoc do Fergususa. — Czy nie mógłbyś coś z tym zrobić? — błagali go. Próbował się wymówić. Obiecał sobie przecież, że więcej się na nic takiego nie zgodzi. Ale kiedy od błagań przeszli do pogroźek, Fergus znalazł się w beznadziejnej sytuacji. — No dobrze — warknął. — Odsuńcie się. Kiedy już wszyscy wycofali się na wzniesienie, Fergus zebrał wszystkie siły i przyzwał z oceanu olbrzymią falę. Fala runęła na osadę i zgasła wszystkie ogniska pożaru, ale kiedy wezbrane wody zaczęły się cofać, zerwały domy z fundamentów i poniosły je ze sobą. Tłum patrzył przerażony, jak woda zmywa osadę do morza. Fergus rzucił się do ucieczki, żeby ratować skórę. Wściekły tłum gonił go po ulicach i zboczach wzgórz, aż w końcu chłopak zdołał się skryć w śnieżnej zaspie i zmylić pościg. Kiedy został sam, wydostał się ze śniegu i zziębnięty do kości ruszył dalej przez pustkowie, potykając się co chwila. Kilka godzin później natknął się w lesie na innych ludzi: był to kapitan i jego pierwszy oficer. Kapitan siedział oparty o drzewo, a jego koszula była cała przesiąknięta krwią. Umierał. Na widok Fergususa kapitan Shaw się zaśmiał. — Więc i na ciebie się rzucili. To chyba oznacza, że jesteśmy towarzyszami broni. — Wcale nie — powiedział Fergus. — Nie jestem taki jak pan. Pan jest potworem. — Ja jestem tylko człowiekiem — odparł kapitan. — To ciebie uważają za potwora. A liczy się tylko to, co ludzie o tobie myślą. — Ale ja tylko próbowałem pomóc! — powiedział Fergus. Mówiąc to, zaczął się jednak zastanawiać, czy tak jest naprawdę. Kiedy przywoływał falę, żeby zgasić płomień, wściekły tłum obrzucał go pogroźkami. Może rzeczywiście w gniewie utworzył większą falę, niż to było konieczne? Może jest w nim jakaś mroczna cząstka, która celowo zniszczyła osadę? Może rzeczywiście jest potworem. Uznał, że jedyne, co mu pozostało, to spędzić resztę życia w samotności. Fergus pozostawił umierającego kapitana i zboczami wzgórz zszedł w kierunku osady. Kiedy przemykał przez zrujnowane ulice, zapadał już zmrok i nikt go nie zauważył. W przystani rozejrzał się za łodzią, ale żadna nie była przycumowana i fala rozrzucała je po morzu. Wskoczył do wody i podpłynął do czegoś, co w ciemnościach wydało mu się dużą, odwróconą do góry dnem łodzią, a z bliska okazało się jednym z drewnianych domów, który leżał na boku i dryfował na falach. Wczołgał się do środka przez frontowe drzwi, przywołał falę, która odwróciła dom dachem do góry, i wypłynął na morze, utrzymując kurs prosto na południe. Przez wiele dni popychał swój żeglujący dom coraz dalej na południe, żywiąc się rybami, które wlewały mu się do domu przez frontowe drzwi. Po tygodniu na morzu przestały się pojawiać góry lodowe. Po dwóch zrobiło się cieplej. Po trzech szron zniknął z szyb, morze uspokoiło się, a przez okna zaczęła wpadać tropikalna bryza.



W domu zostało sporo mebli. Za dnia siedział w bujanym fotelu i czytał książki. Kiedy przychodziła mu ochota poopalać się trochę, wychodził przez okno i kładł się na dachu. W nocy kładł się do łóżka, gdzie usypiało go delikatne kołysanie fal. Dryfował tak przez wiele tygodni, całkowicie zadowolony ze swego samotniczego życia. Pewnego dnia zauważył na horyzoncie statek. Nie miał ochoty na nowe znajomości, więc spróbował tak wysterować domem, żeby odpłynąć w drugim kierunku, ale statek zmienił kurs, ruszył w jego stronę z żaglami wydętymi na wietrze i szybko go dogonił. Był to imponujący trójmasztowy szkuner, który górował wysoko ponad jego domem. Na burcie pojawiła się zrzucona z góry sznurowa drabinka. Wyglądało na to, że statek nie da mu spokoju, więc Fergus postanowił wejść na pokład i wyjaśnić, że nie potrzebuje pomocy i mogą ruszać dalej swoją drogą. Kiedy jednak wspiął się po drabince i wgramolił na pokład, ze zdziwieniem zobaczył, że statek jest pusty z wyjątkiem jednej osoby — dziewczyny, która wyglądała mniej więcej na jego rówieśniczkę. Dziewczyna miała ciemne włosy i brązową skórę. Przyglądała się Fergusowi bardzo uważnie. — Co ty właściwie robisz w domu na środku oceanu? — zapytała. — Uciekam z pewnej wyspy na lodowatej północy — odpowiedział Fergus. — Ale jak to możliwe, że dom nie tonie? — spytała podejrzliwym tonem. — I że dotarłeś aż tutaj bez żagli? — Wygląda na to, że miałem sporo szczęścia — powiedział Fergus. — Nie gadaj głupot — odpowiedziała dziewczyna. — Mów prawdę. — Przykro mi — odparł Fergus — ale mama nie pozwoliła mi o tym nikomu mówić. Dziewczyna spojrzała na niego przymrużonymi oczami, jakby się zastanawiała, czy ma go wyrzucić za burtę. Nie patrząc jej w oczy, Fergus nerwowo zerknął ponad jej ramieniem. — A gdzie kapitan? — zapytał. — Właśnie na niego patrzysz — odpowiedziała dziewczyna. — Ach tak — powiedział Fergus, bezskutecznie próbując ukryć zaskoczenie. — W takim razie gdzie jest twoja załoga? — Właśnie na nią patrzysz — odpowiedziała. Fergus popatrzył na nią z niedowierzaniem. — Chcesz mi powiedzieć, że przyłynęłaś tym ogromnym statkiem aż z... — Z Wysp Zielonego Przylądka — podpowiedziała dziewczyna. — Aż z samych Wysp Zielonego Przylądka, i to sama? — Owszem — powiedziała dziewczyna. — Ale jak? — Przykro mi — powiedziała — ale mama nie pozwoliła mi o tym nikomu mówić. Po czym odwróciła się do niego plecami i uniosła ramiona, a wtedy zerwał się wielki wiatr i wypełnił żagle. Kiedy dziewczyna odwróciła się do niego z powrotem, miała na twarzy uśmiech. — Nazywam się Cesaria — powiedziała i wyciągnęła do niego rękę. Fergus osłupiał. Nigdy wcześniej nie spotkał kogoś podobnego do siebie. — M... miło cię poznać — wyjąkał i uściśnął jej dłoń. — Jestem Fergus. — Ej, Fergus, dom ci odpływa! Fergus gwałtownie odwrócił się na pięcie i zobaczył, że jego dom odpływa od statku. Potem uderzyła w niego spora fala, a dom przewrócił się na bok i zaczął tonąć. Fergusowi nie przeszkadzało to w niczym. Doszedł do wniosku, że dom nie będzie mu więcej potrzebny. Kto wie, czy to nie on przyzwał falę, która go zatopiła? —

Wygląda na to, że u ciebie utknąłem. — Wzruszył ramionami. — Mnie to nie przeszkadza — odparła Cesaria i uśmiechnęła się szeroko. — To świetnie — ucieszył się Fergus i odpowiedział jej uśmiechem. Dwoje osobliwych dzieci długo stało i uśmiechało się do siebie, bo każde wiedziało, że nareszcie ma kogoś, z kim może się podzielić swoim sekretem. Istnieje wiele historycznych relacji o nikczemnikach, którzy światłami zwodzili załogi statków, żeby sprowadzić na ich zgubę, jednak ta baśń stanowi jedyną wzmiankę — zarówno w źródłach historycznych, jak i w tradycji ustnej — o wykorzystaniu do tego celu osobliwej zdolności. ⇐


„Hannah” nie jest zmyślona. Był to prawdziwy statek, dzisiaj owiany złą sławą, który 3 kwietnia 1849 r. wypłynął z irlandzkiego portu Newry pod wodzą niedoświadczonego kapitana nazwiskiem Curry Shaw. Zaledwie dwudziestotrzyletni kapitan już wtedy był znany z bezwzględności i budził powszechną wzdrgę, zanim jeszcze na jego statek spadły późniejsze straszne wypadki. ⇐

Ten fakt również znalazł potwierdzenie w pracach historyków: późnym wieczorem 27 kwietnia „Hannah” uderzyła w górę lodową, a kapitan Shaw uciekł ze swoją załogą w jedynej szalupie ratunkowej. ⇐

. Obok krzesła Fergususa stała skrzynka po brzegi wypełniona tuzinami młotków.



## Historia Cuthberta



Dawno, osobliwie dawno temu, w starym ciemnym lesie żyło wiele, bardzo wiele zwierząt. Nie brakowało w nim królików, jeleni i lisów, tak jak w każdym lesie, ale były tam i zwierzęta mniej pospolite, takie jak szcudłonogie niedźwiedzie, dwugłowe ponurysie i gadające emurafy. Te osobliwe zwierzęta stanowiły ulubiony cel zakusów myśliwych, którzy uwielbiali do nich strzelać, wieszać je na ścianach i przechwalać się zdobyczami przed zaprzyjaźnionymi myśliwymi. Jeszcze bardziej lubili sprzedawać je właścicielom ogrodów zoologicznych, którzy za pieniądze pokazywali stwory zamknięte w klatkach. Możecie sobie pomyśleć, że znacznie lepiej jest trafić do klatki, niż wylądować w charakterze trofeum na ścianie, jednak osobliwe istoty są szczęśliwe wyłącznie na wolności. Po pewnym czasie duch uwięzionego marnieje i zwierzę zaczyna zazdrościć przyjaciom na ścianie.

Wtedy po ziemi ciągle wędrowały olbrzymy, tak jak dawno temu, w czasach Aldinna, choć było ich coraz mniej<sup>1</sup>. Zdarzyło się pewnego razu, że jeden z tych gigantów zamieszkał pod lasem. Był bardzo miły, mówił cicho, jadł tylko rośliny, a na imię mu było Cuthbert. Pewnego dnia Cuthbert poszedł do lasu zbierać jagody i ujrzał myśliwego pochłoniętego łowami na emurafę. Dobrotliwy olbrzym podniósł małą emurafkę za długą szyję i stanął wyprostowany, wspinając się na palce, a nie robił tego często, bo wówczas strzykało mu w starych kościach. Mógł więc teraz sięgnąć bardzo wysoko i postawił emurafkę na szczycie góry, z dala od niebezpieczeństwa. Potem na wszelki wypadek zrobił z myśliwego mokrą plamę, miażdżąc go między palcami stóp.

Po lesie rozeszły się wieści o dobroci Cuthberta, a osobliwe zwierzęta wkrótce zaczęły się zjawiać u niego codziennie, prosząc, by postawił je na szczycie góry, z dala od niebezpieczeństwa.

— Ochronię was, mali bracia i siostry — powiedział Cuthbert. — W zamian proszę jedynie, byście ze mną rozmawiały i dotrzymywały mi towarzystwa. Nie wiele olbrzymów pozostało na świecie, więc od czasu do czasu doskwiera mi samotność.

A one odpowiedziały:

— Oczywiście, Cuthbercie, tak zrobimy.

I tak każdego dnia Cuthbert ratował coraz więcej osobliwych zwierząt przed myśliwymi, podnosząc je za karki i stawiając na górze, aż zebrała się tam cała osobliwa menażeria. Zwierzęta były szczęśliwe, bo wreszcie żyły w spokoju, i Cuthbert był szczęśliwy, bo kiedy stał na palcach i opierał brodę na szczycie wzgórza,

mógł rozmawiać z nowymi przyjaciółmi, ile mu się podobało.

Pewnego ranka na spotkanie z Cuthbertem przysła czarownica. Właśnie brał kąpiel w niewielkim jeziorze w cieniu góry, kiedy do niego przemówiła:

— Bardzo mi przykro, ale teraz muszę zamienić cię w kamień.

— Dlaczego chcesz to zrobić? — spytał. — Poczciwy ze mnie olbrzym i uczynny.

— Zatrudniła mnie rodzina myśliwego, którego rozgniotłeś na miazgę — wyjaśniła czarownica.

— Ach, zupełnie mi to wyleciało z głowy.

— Naprawdę ogromnie mi przykro — powtórzyła czarownica, a następnie machnęła brzoową witką i biedny Cuthbert obrócił się w kamień.

Nagle stał się bardzo ciężki — tak ciężki, że zaczął się zapadać w jeziorze. Pogrążał się i pogrążał, i nie przestawał się pogrążać, aż woda sięgnęła mu do samej szyi. Zaprzyjaźnione zwierzęta spostrzegły, co się dzieje, i choć czuły się okropnie, uznały, że w żaden sposób pomóc mu nie mogą.

— Wiem, że mnie nie ocalicie! — krzyknął Cuthbert do przyjaciół. — Ale przynajmniej przyjdźcie tu i ze mną porozmawiajcie! Utkwiłem tu i jestem bardzo samotny!

— Ale jeśli tam zejdziemy, myśliwi nas zastrzelą! — odkrzyknęły zwierzęta. Cuthbert wiedział, że mają rację, ale nie ustawał w błaganiach.

— Rozmawiajcie ze mną! — zawołał. — Proszę, przyjdźcie i porozmawiajcie ze mną!

Zwierzęta próbowały śpiewać i porozumieć się z biednym Cuthbertem z bezpiecznego szczytu wzgórza, ale znajdowały się zbyt daleko, a ich głosy były zbyt ciche, więc nawet w olbrzymich uszach Cuthberta przypominały jedynie szelest liści na wietrze.

— Mówcie do mnie! — błagał. — Przyjdźcie i porozmawiajcie ze mną!

Nie zrobiły tego jednak. A Cuthbert nadal płakał, gdy jego gardło kamieniało, tak jak reszta jego olbrzymiego ciała.

*Uwaga od redaktora:*

*Tak kończyły się historyczne wersje tej baśni. Ale że taka opowieść jest okropnie smutna i pozbawiona przydatnych moralnych nauk, a do tego pozostawia słuchaczy zalanych łzami, stąd wzięła się tradycja, że każdy opowiadający stara się wymyślić dla niej nowe, mniej przygnębiające zakończenie. Dlatego pozwalam sobie dopisać tutaj własne.*

MN

Zwierzęta próbowały śpiewać i wołać do niego z bezpiecznego wierzchołka,

jednak były zbyt daleko, a ich głosy były zbyt nikłe. Nawet w olbrzymich uszach Cuthberta ich głosy były cichsze niż szept liści na wietrze.

— Rozmawiajcie ze mną — błagał. — Przyjdźcie ze mną porozmawiać!

Po pewnym czasie zwierzętom zrobiło się okropnie przykro, w szczególności emurafie.

— Jak słowo daję! — wybuchła. — On prosi tylko o odrobinę towarzystwa. Czy to naprawdę zbyt wiele?

— Muszę powiedzieć, że tak — odpowiedział niedźwiedź. — W dole jest niebezpiecznie, a Cuthbert obrócił się w kamień. Jak potem zdołamy się wspiąć po urwiskach do naszego bezpiecznego schronienia?

— W żaden sposób nie możemy mu pomóc — potaknął dwugłowy ponuryś. — Chyba że wiesz, jak odwrócić klątwę czarownicy.

— Oczywiście, że nie wiem — odpowiedziała emurafa — ale to nie ma znaczenia. Wszyscy kiedyś umrzemy i możliwe, że dzisiaj przyszła kolej na Cuthberta. Ale nie możemy pozwolić, żeby umierał w samotności. Nie mogłabym żyć z tą myślą.

Pozostałe zwierzęta też doszły do wniosku, że nie zniosą takiego poczucia winy i wkrótce wszystkie postanowiły dołączyć do emurafy, nie bacząc na czyhające w dole niebezpieczeństwa. Za jej sugestią utworzyły długi łańcuch, łapiąc się nawzajem za nogi, i tak udało im się zgramolić z urwiska. Na razie nie zastanawiały się, jak zdołają powrócić w bezpieczne miejsce. Podbiegły do Cuthberta i pocieszały go, a olbrzym zapłakał z wdzięczności, choć już obracał się w kamień. Zwierzęta rozmawiały z nim, a jego głos był coraz cichszy i cichszy, jego w końcu zrobił się tak cichy i nieruchomy, że zwierzęta nie wiedziały, czy jeszcze żyje. Emurafka przycisnęła głowę do piersi Cuthberta. — Słyszę, że jego serce jeszcze bije — powiedziała po chwili. Pewien strzyżyk, który potrafił się zmieniać w kobietę, przysiadł na brzeżku ucha Cuthberta i zapytał: — Przyjacielu, czy nas słyszysz? A z kamiennego gardła dobiegł ich głos cichy niczym powiew wietrzyka: — Tak, przyjaciele. Rozległy się wiwaty! A zatem Cuthbert wciąż żyje w swojej kamiennej skórze! I tak pozostało. Klątwa czarownicy była mocna, ale nie dość mocna, żeby obrócić olbrzyma w kamień do reszty. Teraz zwierzęta zaopiekowały się Cuthbertem, tak jak on kiedyś opiekował się nimi. Dotrzymywały mu towarzystwa, zbierały żywność i wrzucały mu ją do otwartych ust oraz rozmawiały z nim całymi dniami (odpowiadał im coraz rzadziej, ale wiedziały, że żyje, bo słyszały bicie jego serca). I choć te, które nie umiały latać, nie miały jak wrócić do bezpiecznego schronienia na szczycie urwiska, Cuthbert zapewnił im ochronę innego rodzaju. Nocami sypiały w jego ustach i nawet kiedy nadchodzili myśliwi, mogły się schronić w głębi jego gardła i wydawać donośne wycia, które budziły w ludziach przerażenie. Cuthbert stał się dla nich domem i bezpiecznym schronieniem, i choć nie mógł nawet poruszyć palcem, był najzupełniej szczęśliwy. Wiele

lat później serce Cuthberta przestało bić. Olbrzym zmarł spokojnie, szczęśliwy i otoczony przyjaciółmi, a strzyżyk w wieku dorosłym stał się ymbrynką. Kiedy ymbrynka uznała, że zwierząt jest zbyt wiele, żeby wszystkie mogły mieszkać wewnątrz kamiennego olbrzyma, zebrała je i umieściła w pętli czasu, którą stworzyła na szczycie urwiska<sup>2</sup>. Wejście do pętli umieściła wewnątrz Cuthberta. W ten sposób mogła być spokojna, że ich przyjaciel nie zostanie zapomniany, a każdy, kto wchodził do pętli albo z niej wychodził, mógł się z nim przywitać. Za każdym razem, kiedy ona sama albo któreś ze zwierząt przechodzili przez Cuthberta, poklepywali go po ramieniu i mówili: — Cześć, przyjacielu. A jeśli się ktoś zatrzymał i uważnie posłuchał, i jeśli wiatr akurat wiał tak jak trzeba, jego szum brzmiał prawie jak słowo „cześć”. Nie twierdzę przez to, że olbrzymy zniknęły całkowicie — po prostu przestały chodzić po ziemi. Jeśli chcesz się dowiedzieć, co się z nimi stało, przeczytaj baśń pod tytułem *Kokobolo*. ↵

Dotarły na szczyt urwiska dzięki pomysłowemu urządzeniu złożonemu z lin i wielokrażków, które samodzielnie opracowała panna Wren. ↵

usta i gardło zaś zmieniały się w kamień, aż ledwie mógł nimi poruszać.



PHOTO BY LEAH GALLO

MILLARD NULLINGS jest znanym filologiem i wybitnym uczonek. Przebywając jako podopieczny w domu dla osobliwych dzieci pani Peregrine, ukończył ponad dwadzieścia kursów korespondencyjnych, napisał najbardziej szczegółowy w historii opis wydarzeń jednego dnia na małej wysepce, a także pomógł pokonać kilka naprawdę nieprzyjemnych potworów. Ma uczulenie na niedźwiedzi łupież i masło migdałowe. Jest niewidoczny gołym okiem.





PHOTO BY TAHEREH MAFI

RANSOM RIGGS to autor książek o osobliwym domu pani Peregrine, które stały się bestsellerami magazynu „New York Times”. Riggs urodził się na wsi w stanie Maryland, a dorastał na południu Florydy. Studiował literaturę w Kenyon College oraz film na University of Southern California. Mieszka w Los Angeles z żoną, autorką bestsellerów Tahereh Mafi.



PHOTO BY JULIA DAVIDSON

ANDREW DAVIDSON ukończył grafikę w Royal College of Art w Londynie. Jego styl artystyczny łączy projektowanie graficzne z tradycyjnym rzemiosłem. Pracował jako ilustrator na wielu polach: stworzył m.in. drzeworytowe ilustracje do powieści *The Iron Man* Teda Hughesa, kilkanaście serii znaczków dla Royal Mail oraz trawienia na szklanych drzwiach kortu centralnego Wimbledonu. Z żoną Julią ma dwóch synów: Lewisa i Hugh.

**Zanim pani Peregrine dała im dom, opowieści o osobliwych istotach zostały spisane w Baśniach osobliwych.**

Zamożni ludożercy żywiący się niepotrzebnymi kończynami osobliwców, księżniczka o wężowym języku, pochodzenie pierwszej ymbrynki – to tylko kilka z wielu pięknych, przejmujących *Baśni osobliwych*, ujawniających historię świata, który po raz pierwszy przedstawił czytelnikom Ransom Riggs w powieści *Osobliwy dom pani Peregrine*.

Teraz, w tym luksusowym zbiorze *Baśni*, Riggs zaprasza na kolejne spotkanie w osobliwym świecie, prezentując nowe opowiadania, zebrane i opatrzone przypisami przez Millarda Nullingsa, podopiecznego pani Peregrine i badacza wszelkiej wiedzy osobliwej.

*Osobliwy dom pani Peregrine*

TERAZ RÓWNIEŻ PRZEBÓJ KINOWY!

Odkryj całą serię książek:

